ORTHODOXIA

ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Chrześcijanie na pożarcie bestiom
- Jak genetyk ihumenią została
- Szkoła modlitwy
- Jak amerykański adwokat przyjął prawosławie

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 4 (430) kwiecień 2021 cena 7 zł (w tym 8% VAT)



Bizantyńska ikona Trimfu Prawosławia z XIV wieku

O Niedzieli Triumfu Orthodoxii w Boratyńcu Ruskim piszemy na ss. 15 i 16

W numerze

LIST METROPOLITY SAWY

Słowo na Wielki Post

Nadszedł czas, początek duchowych zmagań
i zwycięstwa nad demonami,
wszelka broń wstrzemięźliwości,
anielska wspaniałość, odwaga wobec Boga.
Przez nie Mojżesz został rozmówcą
ze Stwórcą i głos niewidzialny przyjął swymi uszami.
Panie, jako Przyjaciel człowieka uczyń
i nas godnymi pokłonienia się
Twoim cierpieniom i świętemu zmartwychwstaniu.

Stichera na *Chwalcie*. Niedziela seropustna

Tymi słowami nasza Matka – Święta Cerkiew – wzywa nas do spotkania i przejścia przez Wielki Post 2021 roku, przygotowującego nas do święta Zmartwychwstania Chrystusa.

Dla prawosławnych chrześcijan w naszych złożonych, trudnych czasach, pełnych duchowych rozczarowań, wszelkiego rodzaju pokus i ograniczeń, Wielki Post ma ogromne znaczenie duchowe. To czas specjalnych modlitw, oczyszczenia i wstrzemięźliwości. To one dają człowiekowi impuls w postaci nowych sił do zmagań z pokusami naszych czasów. Główną ideą postu jest wyniesienie duszy ponad ciało, wzbudzenie do pokuty za grzechy i postanowienia, aby ich więcej nie popełniać i patrzeć na otaczający nas świat oczyma osoby oczyszczonej duchowo. Osoba zdrowa duchowo widzi oczyma duszy otaczającą rzeczywistość i ocenia ją w sumieniu wiary i z czystym sercem.

Nigdy wcześniej, jak ma to miejsce dzisiaj, człowiek nie był tak silny w świecie materialnym. I nigdy wcześniej nie był tak słaby i pusty duchowo.

Jaki jest tego powód – pytamy. Jest ich wiele. Jednym z głównych jest katastrofalna zamiana wartości, polegająca na tym, że współczesny człowiek zamiast służyć duchowi, służy ciału i pożądliwościom. Z tego to powodu rozmnożyło się bezprawie, ostygła miłość. Człowiek, utraciwszy zdolność kochania, stracił wewnętrzną siłę i stał się zabawką w rękach swoich namiętności i wszelkiego rodzaju złych mocy, które go opętały. Obraz szatańskiej mocy nie jest już niczym przykryty, wykonuje swoją destrukcyjną pracę. Na naszych oczach na całym świecie trwa proces uwodzenia ludzi.

Bracia i siostry! Co możemy zrobić my, prawosławni, wierni Chrystusowi?

Dzisiejszemu złu możemy oprzeć się jedynie dzięki rozumnej wierze i pomocy Chrystusa. Aby była ona w nas skuteczna, trzeba we wszystkim – i dużym, i małym – być całkowicie wiernym Chrystusowi i swojej Cerkwi. Nasza wierność Chrystusowi umacnia się podczas Wielkiego Postu. To czas pokory i pokuty. Szatan, według słów Jezusa Chrystusa, przepędzany jest „postem i modlitwą”. Post oczyszcza ducha ludzkiego, przywraca siłę duchową nad słabościami ciała. Duch ludzki został stworzony przez Stwórcę nie po to, aby służyć ciału i zewnętrznemu światu, lecz by odziedziczyć wieczne Królestwo. Cerkiew nawołuje: „Bracia, poszcząc ciałem, pośćmy i duchowo: pokonajmy wszelką jedność nieprawości”. W naszych nabożeństwach pokuta nazywana jest „sprawiającą radość”. Należy opłakiwać swoje grzechy i radować się z miłosierdzia Bożego. Skrucha rodzi

radość, ponieważ skruszonej osobie znowu dawana jest radość z odpuszczenia grzechów i nadzieja, że zdrowe życie duchowe będzie kontynuowane. Oczyszczone sumienie widzi wiele dobra. Kiedy dusza pokocha Chrystusa, wiele jej się przebacza (Łk 7,47).

Kiedy przez pokutę zjednoczymy się z Chrystusem, Chrystus będzie z nami i żadne moce zła nie mogą nam zaszkodzić.

Taka jest droga współczesnego prawosławnego człowieka w walce ze złem. Święty Izaak Syryjczyk mówi: „Ten, kto dostąpi ujrzenia swojego grzechu, jest ponad tym, który dostąpił widzenia aniołów". Święty Antoni Wielki dodaje: „Najwspanialszym ze wszystkich czynów, jakich człowiek może dokonać, jest wyznanie grzechów przed Bogiem, potępienie samego siebie i gotowość stawienia czoła każdej pokusie aż do ostatniego tchnienia".

Prawosławny chrześcijanin wie, że nie ma takiego grzechu, który nie poddałby się w świetle pokuty. Pokuta to cecha ludzkiej natury. Łączy ziemię z niebem. To drabina, która prowadzi człowieka do niebios. Oczyszcza ona i usuwa wszelki grzech.

Głównym warunkiem pokuty jest wzajemne przebaczenie, do którego Cerkiew wzywa nas u progu Świętej Czterdziesiątnicy, w Niedzielę Przebaczenia Win.

Bracia i siostry! Zgodnie z naszą cerkiewną praktyką, w przededniu Wielkiego Postu proszę Was wszystkich, dla siebie i całego duchowieństwa, o przebaczenie naszych grzechów: zgrzeszyliśmy słowem, czynem, myślą i uczuciami. Przebaczcie nam, grzesznikom.

„Nadziejo wszystkich krańców ziemi i tych, którzy są daleko w morzu, Boże, który zapowiedziałeś te święte, postne dni", pomóż nam spokojnie i z korzyścią dla duszy przejść przez Wielki Post i oddać cześć Twojemu świętemu Zmartwychwstaniu.

Z Bożej łaski pokorny + SAWA
metropolita warszawski
i całej Polski
Warszawa, 2021 rok

Chorzy potrzebują lekarza

W sobotę trzeciego tygodnia Wielkiego Postu, przed Niedzielą Krestopokłonną, wierni słyszą ewangeliczne czytanie o powołaniu kolejnego apostoła – Lewiego (Mateusza) oraz uniwersalne słowa nawiązujące do istoty zarówno Chrystusowego posługiwania, jak i postu, który właśnie przeżywamy. W odpowiedzi na zarzut, że Jezus obcuje z „celnikami i grzesznikami", ten odpowiedział: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników".



„Powołanie apostoła Mateusza" Andrieja Mironowa

Powołanie celnika apostoła to wybór kandydata najgorszego z możliwych. Gorszego od zdziercy rodaków na służbie u okupantów wprost trudno sobie wyobrazić. „Celnik" i „grzesznik" wymawiano jednym tchem. Jednak Chrystus widzi nie tylko obecny stan, ale potencjał człowieka, nie to kim jest teraz, ale kim może się stać. Widzi serce tego grzesznika i dostrzega w nim coś podobnego, jak u innego poborcy, Zacheusza – wolę przemiany swego życia, ponieważ dotychczasowe mu obmierzło. Tłum gotów byłby tego niegodziwca rozszarpać na strzępy, lecz Jezus łagodnie mówi mu: „Idź za mną" i ten, ponoć bezwzględny groszorób, bez żalu porzuca swe intratne zajęcie i idzie na poniewierkę, by później stać się autorem jednej z Ewangelii. To jeszcze jeden dowód na to, żeby unikać pospiesznego osądu. Grzesznik jest jak dziecko, o którym nie wiemy, kim stanie się w dorosłym życiu. Podobnie odrzucamy karę śmierci z powodu nieodwracalności wyroku w przypadku pomyłki sądowej. Skoro pierwszym zbawionym został łotr, bynajmniej niebezpodstawnie ukrzyżowany razem z Chrystusem, to pokazuje, jak bardzo różna od naszej jest Boża optyka.

Opis powołania celnika Mateusza na apostoła odnotowują jeszcze św. Łukasz (Łk 5,27-32) i św. Mateusz (Mt 9,9-13). Ten drugi dodaje ważne, godne osobnego omówienia, zdanie: *Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: «Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary»*. Całkowicie odmienny stosunek do Prawa i człowieka, miłość i troska o „chorych i grzeszników" zamiast ich odrzucenia na rzecz „zdrowych i sprawiedliwych", to przedmiot bezustannego sporu i konfliktu Chrystusa z ówczesnymi elitami duchownymi. „Dlaczego my postępujemy tak, jak należy, a ty – na odwrót? Dlaczego nie przestrzegasz szabatu? Dlaczego nie dbasz o czystość rytualną? Dlaczego zadajesz się z wyrzutkami społecznymi?". To „dlaczego", ciągły wyrzut i potępienie, Chrystus słyszał na każdym kroku. Ci, formalnie przyzwoici, ludzie uważali, że „kto z kim przestaje, takim się staje" i bez ogródek nazwali Jezusa *przyjacielem celników i grzeszników, żarłokiem i pijakiem* (Łk 7,34). Inaczej mówiąc, uważali: *Jak On może twierdzić, że przyszedł od Boga, skoro zadaje się z takimi ludźmi? Gdyby był od Boga, od takich jak tamci trzymałby się*

jak najdalej. I już u początku swego posługiwania Jezus tłumaczy im: *Nie przyszedłem wzywać do nawrócenia sprawiedliwych, lecz grzesznych* (Łk 5,32). Przyszedłem właśnie do tych wzgardzonych przez was, do zagubionych owiec, do grzeszników takich jak celnicy, do ludzi skalanych i upadłych jak nierządnice, aby ich podnieść, uleczyć, oczyścić i naprawić. Przyszedłem, by leczyć i uzdrawiać chorych, oczyszczać z brudu, podnosić i podźwigać słabych, ratować i ocalać grzesznych, opatrywać rannych, uwalniać niewolników i wszystkim ubogim nieść Dobrą Nowinę (to dlatego wczesne chrześcijaństwo nazywano „religią wdów i niewolników). Przecież sami rozumiecie, że nie zdrowi potrzebują lekarza, ale ci co się źle mają – mówił Chrystus.

Argument nie do obalenia, ale dla oponentów i tak był nieprzekonywujący. Grzesznicy, według nich, zasługują na ostracyzm, pobożni na uznanie. Pierwszych należy karać lub unikać, drugich wielbić i honorować. Jednakowe traktowanie dobrych i złych, było dla nich zaprzeczeniem elementarnej sprawiedliwości.

Nie chodzi o to, by dzielić ludzi na sprawiedliwych i grzeszników, ale na względnie grzesznych i absolutnie grzesznych. Jedni nie upadli aż tak dalece, by nie przyjąć Chrystusa, natomiast drudzy okazali się gorsi, bo przed obliczem żywej, pełnej Prawdy i Świętości uważali się za nienagannych i nie mogli zaakceptować Chrystusa. Jezus nigdy nie mówił, że wszyscy Go powinni przyjąć, przyjęli lub przyjmą.

Aleksander Łopuchin

Chrystus nie przyszedł do bezgrzesznych w tym sensie, że takich po prostu nie ma. *Wszyscy zgrzeszyli i brak im chwały Bożej* (Rz 3,23). *Jeśli mówimy, że grzechu nie mamy, sami siebie zwodzimy, i prawdy w nas nie ma* (1 J 1,8). W oczach Bożych każdy jest winny, jakkolwiek każdy po swojemu i w niejednakowym stopniu. Psalmista pisał: *Pan spogląda z nieba na synów ludzkich (...) Wszyscy zbłądzili, stali się nikczemni, nie ma takiego, co dobrze czyni, nie ma ani jednego* (Ps 14,2-3). Uczeni w Piśmie i faryzeusze uważali siebie za wzór cnót i byli w błędzie. Byli grzesznikami, nawet większymi od celników z ich kompanami.



Niektórzy nie dostrzegają i nie uświadamiają sobie własnej grzeszności, upadku ani choroby. W oczach Boga tacy ludzie są godni politowania i na nic dobrego nie zasługują. Jeśli czuję się człowiekiem bez zarzutu, to Ewangelia, którą oferuje Jezus, nie jest dla mnie. Bóg nie ma mi nic do zaoferowania, bo nic od Boga nie potrzebuję.

Z tym właśnie mieli problem faryzeusze i im podobni, z tym ma problem wielu ludzi również dziś. Ten ich problem polega na tym, że nie potrzebują Zbawiciela, bo czują się dobrzy i sprawiedliwi, pełni zasług przed Bogiem i godni nagrody.

Jednak my w pięknej modlitwie przed *Priczastijem*, z rękami złożonymi na piersiach, uroczyście powtarzamy za kapłanem słowa: „Wierzę, Panie, i wyznaję, że naprawdę: „Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego”, który przyszedł na świat zbawić grzeszników, z których pierwszy jestem ja”.

Odpowiedź Jezusa to odpowiedź na wszystkie przyczyny ukrytej choroby faryzeuszy, na ogólny stan ich serc. Ta odpowiedź zawiera w sobie groźne potępienie i odrzucenie sprzed oblicza Bożego wszelkiej iluzorycznej pobożności ludzkiej, idącej w parze z osądem bliźniego.

św. Ignacy (Branczaninow)

W okresie Wielkiego Postu ta myśl o chorych i grzesznikach jest ważna, ponieważ mówi o nas, jest optymistyczna i podnosi na duchu. Krzepi zapewnieniem, że Chrystus nie przyszedł do świętych, ale do grzesznych, słabych, małych, nikczemnych ludzi, czyli do nas. Nie przyszedł po to, by każdego pogłaskać po głowie, oznajmić „to drobiazg, nic się nie stało”, jak sądzili faryzeusze, ale z łagodnością i z szacunkiem dla Bożego obrazu w nas przemówić do sumienia, obudzić wolę

nawrócenia i przemiany na lepsze. Chrystus wcale nie jest „przyjacielem grzeszników”! Jest przyjacielem człowieka, również wtedy, gdy ten upada pod brzemieniem grzechu. Z pomocą Jego łaski grzesznik może wyprostować swe pogmatwane ścieżki, odzyskać zdrowie duchowe i poczuć się pełnowartościowym dzieckiem Bożym. Cerkiew jest według określenia Ojców„lecznicą”, nie „sądem”. Jest w pierwszej kolejności dla biednych, złych i chorych duchowo ludzi, ale nie po to, by ich takimi pozostawić, lecz zmienić i uświęcić.

> Chrystus przyszedł wezwać do nawrócenia i pojednać z Bogiem wszystkich, włącznie z zadufanymi w sobie świętoszkami, ale dopóki nie wyzbędą się oni swej pychy i nie uświadomią grzeszności, ich powołanie będzie bezowocne, a zbawienie – niemożliwe.
> arcybiskup Awierkij (Tauszew)

Wykorzystajmy najlepiej jak umiemy ten zbawienny czas postu. Dokonajmy gruntownego przeglądu swego życia w ostatnim czasie i należycie przystąpmy do spowiedzi. Niech cały kwiecień upłynie nam ze wzmożoną troską zarówno o zdrowie ciała, jak i duszy wraz z modlitwą kończącą Liturgię Uprzednio Poświęconych Darów (przekład mój – KB): „Panie Wszechwładny! Któryś wszelkie stworzenie w swej mądrości powołał do istnienia i w niezbadanej Twej Opatrzności, w bezgranicznej dobroci, wprowadził nas w te błogosławione dni, ku oczyszczeniu dusz i ciał, ku poskromieniu żądz, ku nadziei Zmartwychwstania. Ty, któryś po czterdziestu dniach tablice przykazań, Bożą ręką wyryte, wręczyć raczyłeś miłemu Tobie słudze Mojżeszowi, pozwól i nam, o Dobry, zbożne wysiłki kontynuować, okres postu owocnie przeżyć, wiarę niezachwianą zachować, głowy niewidzialnych wrogów utrącić, zwycięzcami nad grzechem się okazać i bez zarzutu móc oddać pokłon i świętemu Zmartwychwstaniu”. *Amiń.*

o. Konstanty Bondaruk

Głos ludu czy Boga?

Podczas nabożeństw pasyjnych i w Wielkim Tygodniu kilkakrotnie słyszymy opis sądu nad Chrystusem. Rozumiemy, że tak musiało się stać, by spełniły się wszystkie proroctwa i Boży plan zbawienia. Wiemy, czym kierował się Piłat, kapłani, nawet Judasz, tylko nie przestaje nas zdumiewać nieobliczalna postawa tłumu – gwałtowne przejście od aplauzu „Hosanna” w Niedzielę Palmową do wściekłego żądania „ukrzyżuj go” w Wielki Piątek. Jak się to ma do słynnego przysłowia: „Głos ludu, głosem Bożym?”.

Ewangeliści pisali rzeczowo i krótko, a mimo to wystarczająco plastycznie oddali ten najważniejszy proces sądowy w historii świata. W istocie nie autentyczny sąd, lecz parodię sądu. Nie wyznaczono obrońcy, nie zastosowano żadnego z przyjętych i respektowanych praw. Oskarżonego odsyłano od jednego do drugiego trybunału, aby wszystko załatwić w kilka godzin. Do cna zepsuty Herod nie chciał nawet zbadać sprawy, oczekując co najwyżej cudu i widowiska. Również rzymski namiestnik Piłat zetknął się tylko z niepotrzebnym kłopotem, bo trzeba było podjąć jakąś decyzję, gdyż *naród Twój i arcykapłani wydali mi Ciebie* (J 18,35). Natomiast arcykapłani także wydali już wyrok i żądali jego wykonania ustami podburzonego motłochu. Dopięli swego. Za zgodą politycznej władzy państwowej zrealizowali religijny plan usunięcia tego, który *sam siebie uczynił Synem Bożym* (J 19,7). Ewangelista Mateusz zanotował straszne, wręcz złowróżebne, słowa. Oto gdy *Piłat, widząc że nic nie osiąga, a wzburzenie raczej wzrasta, wziął wodę i umył ręce wobec tłumu, mówiąc: „Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego. To wasza rzecz”. A cały lud zawołał: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze*” (Mt 27,24-25). Nieprawdopodobna zawziętość. Niełatwe zadanie dla psychoanalityków. Jezus widzi, że wszyscy ci ludzie pobłądzili, dlatego z Krzyża prosił Boga Ojca: *Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią* (Łk 23,34). To był moment czasowego triumfu szatana, *władcy tego świata* (J 14,30).

CZY BÓG STAJE PO STRONIE WIĘKSZOŚCI?

Istnieje popularne powiedzenie *Vox populi, vox Dei*. Przywołuje się je bardzo często i chętnie, zwłaszcza wtedy, gdy obejmuje się jakąś wysoką posadę wybieralną. W Cerkwi jednomyślna zgoda całego ludu jest znakiem Bożej zgody. Aklamacja *Aksios* pojawiła się we wczesnym chrześcijaństwie i funkcjonuje do dziś przy wyborze i kapłanów, i biskupów oraz kanonizacji świętych. Mimo iż etymologia sentencji jest bardzo stara, to zawsze łączy się ją z osobą Alkuina. W roku 798 ten anglosaski mnich, teolog i filozof w swym „Liście” do Karola Wielkiego pisał: (cytuję kluczowe zdanie). *Populus iuxta sanctiones divinas ducendus est, non sequendus: et ad testimonium persone magis eliguntur honeste. Nec audiendi qui solent dicere: Vox populi, vox Dei, quum tumultuositas vulgi semper insaniae*



proxima sit. (Zgodnie z przykazaniami Bożymi należy prowadzić za sobą, a nie iść za ludem; bardziej należy polegać na świadectwie szlachetnych ludzi. I nie należy słuchać tych ludzi, którzy wciąż mówią, że „głos ludu jest głosem Boga”, ponieważ wrzawa tłumu jest zawsze bliska szaleństwu.) Z tego zdania został wyjęty ten właśnie słynny cytat o jedności ludzkiego i Bożego głosu. Jednak ten mądry mnich uważał, że roztropny władca w ogóle nie powinien się oglądać na bezmyślny tłum. Nie może być tak, że Bóg ma się zniżać do poziomu wzburzonego tłumu. Zdarzało się, że za mniejsze bluźnierstwa ludzie lądowali za kratami lub płonęli na stosach. Chętnie cytowany Alkuina twierdził więc coś zupełnie przeciwnego, niż się mu przypisuje.

Natrafiłem na jeszcze jeden ciekawy fakt historyczny. Potwierdza on pogląd uczonego mnicha sprzed tysiąca dwustu lat. Pod koniec X wieku (991 rok) w mieście Rheims wskutek intryg i konfliktów nowym arcybiskupem został Herbert Aureliacus (przyszły papież Sylwester II). Jednak na ulicach wielki tłum manifestował oburzenie i niezgodę, domagano się uznania oczywistego faktu, że „głos ludu jest głosem Bożym”. Jednak zwolennicy nowego arcybiskupa oznajmili, że tak mogą mówić tylko ci, którzy nie znają Pisma Świętego, albo mylnie go interpretują, bo: *non errat quippe vox Domini vox populi clamantis: Crucifige, crucifige* (Ponieważ nie był głosem Boga głos ludu krzyczącego: ukrzyżuj! ukrzyżuj go). To mocny argument. Bóg miałby chcieć swojej śmierci? To w ogóle jakaś straszliwa niedorzeczność!

PODPIERANIE SIĘ BOŻYM AUTORYTETEM

Podczas wielkich niepokojów społecznych, gdy tzw. masy głośno domagają się zmian, powołują nowych przywódców, można uznać ten gniew ludu za uzasadniony albo potępić jako warcholstwo i rebelię. Gdy jednak ci rebelianci zwyciężają, zwłaszcza z bronią w ręku, to wcześniej czy później pojawi się usprawiedliwienie nawet krwawych wydarzeń, że taka oto była wola ludu, a „głos ludu to głos Boży”. Formułuje się wtedy wytłumaczenie, że walka była słuszna i sprawiedliwość zatriumfowała. Liderzy rewolucji, nawet najwięksi zbrodniarze, są ubóstwiani, wrogowie wycięci w pień.

Jednak mija czas i przychodzi rozczarowanie nową władzą i jej porządkami. Ponownie podburzony przez innych ambitnych prowodyrów tłum rozszarpuje obecne elity i wyłania inne. I znów powtarza się znany refren: „Głos ludu, głosem Boga”. Czy Bóg rzeczywiście sankcjonuje każdy nowy ludzki pomysł? Przeciwnie. To ludzie raz po raz chytrze podpierają się rzekomym wsparciem Najwyższego autorytetu, przywołują imię Boże dla usprawiedliwienia swych zmiennych kaprysów, nastrojów, poglądów i fanaberii.

Szczególnie donośnie głos ludu brzmiał podczas zbrojnych powstań, które w razie klęski zyskiwały miano „krwawego buntu” lub „próby przewrotu stanu”, natomiast w wypadku zwycięstwa urastały do rangi „wielkiej rewolucji”. Gdy chodzi o masowość poparcia dla „nowego porządku”, to w latach 30. XX wieku absolutna większość Niemców, udręczonych kryzysem i bezrobociem, z nadzieją, bezkrytycznie i entuzjastycznie poparła zwolennika „powstania z kolan”, wodza nacjonalistów – Hitlera. Z podobnym zachwytem miliony ludzi wielbiły Stalina i nawet dziś są tacy, którzy go samowolnie „kanonizowali”, jak też Iwana Groźnego. Po jego śmierci nawet wielcy poeci, również polscy, pisali płaczliwe wiersze, których później najchętniej by się wyparli, ale *napisannoje pierom, nie wyrubisz toporom*. Jeżeli głos zmanipulowanych mas miałby być „głosem Bożym”, to aż strach pomyśleć, że Bóg popierał Lenina, Stalina, Hitlera i im podobnych. Naturalnie, to są nowsze czasy. Wcześniej byli władcy typu Nerona, a rzymski tłum żądał najokrutniejszych kaźni dla zwolenników „niebezpiecznej sekty” chrześcijan. W wiekach późniejszych tłum w Hiszpanii i Niemczech zgodnie i z lubością torturował heretyków i czarownice. Przez kilka stuleci białe społeczeństwo Ameryki popierało niewolnictwo, a w prawosławnej Rosji przez kilkaset lat trwało praktycznie to samo, tylko pod nazwą *kriepostnoho* prawa. Czy Bóg to wszystko akceptował? W żadnym razie.



„Godzien jest śmierci” Nicolai Ghe

BÓG SUROWYM WYCHOWAWCĄ

Bóg, jakim Go znamy z Biblii, jest Stworzycielem, królem, sędzią, pasterzem, ojcem, natomiast Izrael jest „umiłowanym synem” Bożym. Izrael ma być przede wszystkim wierny przymierzu z Bogiem, poddany woli Bożej, ma poznawać i realizować plan Boży, który Stwórca ma wobec swojego stworzenia. Jednak nie zawsze Izrael przyjmował właściwą postawę i odwracał się od Boga, o czym przypomina prorok Izajasz w słowach Pana skierowanych do ludu: *Wykarmiłem i wychowałem synów, lecz oni wystąpili przeciw Mnie. Wół rozpoznaje swego pana i osioł żłób swego właściciela, Izrael na niczym się nie zna, lud mój niczego nie rozumie* (Iz 1,2-3). W każdym przypadku odstępstwa i wiarołomności Bóg jako pierwszy podejmuje inicjatywę, troszczy się o Izraela, wychowuje go, karci, strofuje i karze, jednak ten nadal nic nie rozumie, jak teraz podczas sądu nad Chrystusem.

W Biblii nie znajdziemy ani jednego wypadku, kiedy Bóg bezkrytycznie utożsamiałby się z głosem ludu. Zdarzało się tylko, że „swój” lud popierał. Pismo Święte jasno mówi: *Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami – wyrocznia Pana. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje nad waszymi drogami i myśli moje nad myślami waszymi* (Iz 55,8-9). *Bóg nie jest jak człowiek, by kłamał, nie jak syn ludzki, by się wycofywał. Czyż On powie coś, a nie uczyni tego, lub nie wykona tego, co oznajmił?* (Lb 23,19). Zdarzyło się, że Bóg nakazał przychylić się do głosu ludu. Żyjący w teokracji Izraelici zapragnęli mieć króla tak jak inne narody i Bóg rzekł Samuelowi: *Wysłuchaj głosu ludu we wszystkim, co mówi do ciebie, bo nie ciebie odrzucają, lecz Mnie odrzucają jako króla nad sobą* (1 Sm 8,7). Jednak Bóg nakazał Samuelowi uczciwie uprzedzić ludzi, że to się źle dla nich skończy, bo królowie będą ciemiężyć swój lud, zresztą na jego własne życzenie.

VOX POPULI, VOX DIABOLI

Gdy się analizuje słynne maksymy i ich objaśnienie takich myślicieli jak Homer i Seneka, to przy „głosie ludu jako Bożym” można znaleźć wytłumaczenie, że „zdanie ogółu ludzi nie podlega kwestii; trzeba się z nim liczyć”. Wielcy pisarze, jak Fiodor Dostojewski, cytowali to dawne powiedzenie jako mądre, słuszne i nie podlegające żadnej wątpliwości. Wygląda na to, że jeżeli najbardziej aktywna, rozpolitykowana, hałaśliwa i bezwzględna część społeczeństwa uzyska znaczne poparcie, ustanowi w charakterze władcy nawet krwawego tyrana, to tamta cicha większość nie tylko powinna się z tym zgodzić, ale uznać ten wybór za głos całego ludu, a więc głos Boży. Otóż tak nie jest!

Wielkim krytykiem rzekomej słuszności twierdzenia *Vox populi, vox Dei* był prof. Tadeusz Stefan Zieliński (1859-1944), rosyjski i polski historyk kultury, wielki znawca świata antycznego, autor wielu prac dostępnych również obecnie w języku polskim. Był wielkim przeciwnikiem wszelkich rewolucji i w czasie tej w 1905 roku napisał pracę „Świat antyczny i my”. Z przykrością przyznawał, że w każdej polemice pojedyncze głosy przegrywają z głosami większości, niezależnie od faktycznej słuszności. Jednak to nie upoważnia do stwierdzenia, że Bóg utożsamia się z tą większością. „Cała historia ludzkości dowodzi, że prawda była raczej po stronie szlachetnych jednostek niż prymitywnego tłumu”. XIX wieczny satyryk, pieśniarz Artur Bartels pisał: „Głos ludu, czyli większości, / Jest najczęściej głosem tłumu, / Bez serca i bez rozumu, / Najopłakańszej mierności”.

Racja była po stronie Jezusa, a nie tłumu jego wrogów, po stronie garstki chrześcijan, a nie potężnego Rzymu, garstki prawowiernych hierarchów, a nie heretyków, nawet gdy ci byli w zdecydowanej większości. Tadeusz Zieliński radził szukać „głosu Bożego” nie w ogłuszającym wrzasku i erupcji pobudzonych instynktów, ale w cichym i łagodnym głosie tajemniczej woli Bożej, która podpowiada człowiekowi właściwą drogę. Jego zdaniem we wrzawie zamieszek ulicznych brzmi raczej głos diabła, niż Boga. Gdyby profesor dożył naszych czasów i przyjrzał się marszom ONR-wców, którzy w dymie rac i huku petard, imitując nazistowskie heilowanie, z pianą na ustach drą się, „my chcemy Boga”, „Polski dla Polaków”, „Tylko Polski katolickiej”, to po dwakroć przyznałby, że to jest właśnie recydywa sił nieczystych i wielkie zagrożenie dla mniejszości narodowych. Jednak Pan nasz pociesza nas: *Teraz odbywa się sąd nad tym światem. Teraz władca tego świata zostanie precz wyrzucony* (J 12,31).

Bo po Wielkim Piątku nastąpi Niedziela Zmartwychwstania.

o. Konstanty Bondaruk

Radość Zwiastowania

W szóstym zaś miesiącu wysłany został przez Boga anioł Gabriel do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do dziewicy powierzonej mężowi imieniem Józef, z domu Dawida, imię zaś dziewicy Maria. Wszedłszy do niej anioł, rzekł: – Raduj się, łaską obdarowana, Pan z tobą. Błogosławiona jesteś między niewiastami. Ona zaś przelękła się tego słowa i zastanawiała się, co by znaczyło to pozdrowienie. I powiedział jej anioł: Nie lękaj się, Mario, łaskę bowiem u Boga znalazłaś. Oto poczniesz i urodzisz Syna, i dasz Mu imię Jezus. On będzie wielki i otrzyma imię: Syn Najwyższego, i da Mu Pan, Bóg, tron Dawida, jego ojca. Na wieki będzie królował nad domem Jakuba i królestwu Jego nie będzie końca. Powiedziała Maria do anioła: – Jak to będzie, przecież nie znam męża? Odpowiadając rzekł jej anioł: Duch Święty zstąpi na ciebie i moc Najwyższego okryje cię, przeto Święte, które się narodzi, otrzyma imię: Syn Boży. A oto Elżbieta, krewna twoja, i ona w starości swej poczęła syna, i ten miesiąc jest już szósty dla tej, która jest nazywana bezpłodną. Bo u Boga żadne słowo nie będzie niemocne. Maria powiedziała: – Oto ja, służebnica Pana, niech mi się stanie według Słowa Twego. I odszedł od niej anioł (Łk 1,26-38).

Dziś nadeszła radość dla wszystkich, wynagradzając dawny smutek. Przyszedł Ten, który jest wszędzie, aby wszystko napełnić radością. Pojawił się bez straży, bez zastępów aniołów, bez przepychu i hałasu, lecz cicho i spokojnie, aby wyrwać wężowi cały rodzaj ludzki, który został podstępnie zniewolony. Jego bezgraniczna, wielka dobroć nie pozwoliła, aby zginęło tak wielkie dzieło, jakim jest człowiek, dla którego rozciągnął niebiosa, utwierdził ziemię, rozpostarł powietrze, utworzył morze i dał początek wszelkiemu widzialnemu stworzeniu. Właśnie dlatego Bóg pojawia się na ziemi, Bóg z nieba wśród ludzi, Bóg w łonie Dziewicy, Bóg, którego nie jest w stanie ogarnąć cały wszechświat. Teraz natura ludzka napełnia się radością i otrzymuje początek przebóstwienia, odrzucając zwodnicze bogactwo grzechu.



Niech radują się niebiosa, a obłoki niech wydadzą sprawiedliwość, niech góry sączą słodycz i pagórki radość, gdyż Bóg okazał miłosierdzie swojemu ludowi. Dziś ukryta przed wiekami tajemnica staje się jawną i wszystko w Chrystusie odnawia się. Wszechpotężna moc Stwórcy doprowadza do końca zamiar, który istniał od stworzenia świata, aby wodzowi zła zniweczyć obmyślany przeciwko nam zgubny plan. Dlatego radują się aniołowie i wraz z nimi ludzie, a cały odnowiony świat wraca do siebie. Jaki umysł to zrozumie i jaki język to wszystko wyrazi? Ani słowo nie jest w stanie tego opisać, ani słuch pojąć. Zatem słusznie świętujemy prawdziwy triumf z radością.

Cóż to za uroczystość? Jest to radość całego stworzenia i odnowienie rodzaju ludzkiego. Dziś nadeszło zwiastowanie

radości, świadectwo Bożej miłości do ludzi, radosna wieść o zbawieniu całego świata. Archanioł Gabriel, zstępując z nieba na ziemię, przybył do Nazaretu do Dziewicy z wieścią o niezwykłym Bożym planie zbawienia, tajemnicy pojednania ludzi z Bogiem. Dlatego dziś wszystko się raduje.

Wielki król i praojciec Boga Dawid proroczo niegdyś śpiewał: *Łaskawość i wierność spotkają się z sobą, ucałują się sprawiedliwość i pokój* (Ps 85,11). Czyż nie oznacza to łaskawości Syna względem nas, którą okazał nam z woli Ojca i z litości do nas stał się podobny nam we wszystkim z wyjątkiem grzechu, aby zgładzić grzech i podnieść ludzkość z upadku? Przyjął On naturę ludzką z prawdziwym ciałem bez jakiejkolwiek zmiany swej natury boskiej. Zjednoczył On to, co niebiańskie z tym, co ziemskie i dzięki temu otworzył ludziom nową drogę do nieba. Bóg Ojciec posłał na ziemię swego umiłowanego Syna, aby mogło dokonać się nasze zbawienie. Tę oto ważną wieść głosi dziś Dziewicy archanioł Gabriel.

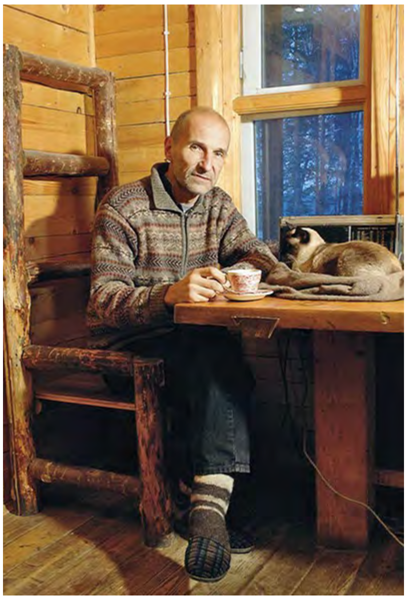
Błogosławiona jesteś między niewiastami, gdyż pobłogosławił cię Bóg jako swe mieszkanie. Jesteś skarbem niebiańskim, w którym są ukryte wszystkie skarby mądrości. Ciebie błogosławią pokolenia, sławną nazywają królowie, wielbią książęta. Prorok Daniel ujrzał ciebie jako wielką górę, a Habakuk jako górę cienistą, na której spodobało się Bogu mieszkać. Prorok Zachariasz widział ciebie jako złoty świecznik z siedmioma lampami.

Raduj się, przyczyno radości i wspaniała świątynio chwały. Raduj się, przed narodzeniem wybrana przez Boga i pojednanie Boga z ludzkością. Raduj się, skarbie nieśmiertelnego życia i pomieszczenie nieobjętego Boga, ogarnionego w Tobie. Raduj się, nowa arko chwały i rodzicielko niewypowiedzianej radości. Raduj się, chwało wszystkich proroków i patriarchów oraz prawdziwe świadectwo niezgłębionych zamysłów Bożych.

św. Andrzej z Krety
tłum. **Andrzej Charyło**
fot. **www.artisgr.com**

Przeszedł długą drogę, od legendarnego rosyjskiego rockmana, alkoholika, narkomana i skandalisty, po szanowanego aktora i muzyka, chrześcijanina, który głęboko wierzy w Boga i Bogu, o czym nie przestaje opowiadać z nadzieją i radością. Piotr Mamonow, odtwórca roli starca Anatolija w niezapomnianym filmie „Ostrow", którego warsztat aktorski wielu z nas mogło ocenić osobiście. I chociaż zdaniem reżysera Pawła Łungina Mamonow zagrał tam samego siebie, on uważa, że z bohaterem łączy go tylko próba pokajania i przemyślenia całego życia.

Wyspa Piotra Mamonowa



Piotr Mamonow swoje życie i przemyślał, i przemienił. Bóg szczodrze obdarzył go nie tylko wieloma talentami, także kochającymi rodzicami. Mamonowie mieszkali w centrum Moskwy, mama tłumaczyła literaturę z języków skandynawskich, tata był naukowcem, specjalistą od wielkich pieców. A Pietię od najmłodszych lat „roznosiło". Już jako ośmiolatek z nieukrywanym podziwem patrzył przez szybę na mroczną, pogrążoną w oparach alkoholu, być może także narkotyków, grupę *beatników* (członków nieformalnego ruchu awangardowego), którzy przesiadywali w nowo otwartej kawiarni „Siewier". „I ja też taki będę" – marzy.

Być innym od wszystkich, wyróżnić się. Tego chce.

Lubi szokować. Jako nastolatek z prześcieradła szyje białe spodnie, wokół szyi zakręca ręcznik frotte, do okularów przymocowuje łańcuch od spłuczki tak, żeby drewniana rączka wisiała za uchem. I wyrusza na spacer po ulicy Gorkiego.

Innym razem wraz z kolegami siada na chodniku, co wtedy już samo w sobie było dużym aktem protestu, nabierają do ust gazowanej wody i plują na przechodniów. „Chłopcy, dlaczego to robicie" – pyta ich starszy mężczyzna. „Żeby wyprowadzić obywatela ze stanu bezmyślnego letargu" – i na to mają gotową odpowiedź.

Pietia sięga po alkohol, potem narkotyki, na swoim podwórku w Karetnym Zaułku, na którym kiedyś wychowywał się Wysocki, bierze udział we wszelkich bójkach, najpierw uderza, potem myśli za co.

I wylatuje ze szkoły za wybuch, do jakiego doprowadził tuż obok pracowni chemicznej.

Mama po jednej z awantur szybko zmusza go do podjęcia pracy – zamyka lodówkę na klucz. Chłopak ima się różnych zawodów, pracuje najpierw w Instytucie Energii Atomowej jako drukarz. Szybko staje się samodzielny. Gdy w wieku 21 lat żeni się z ukochaną dziewczyną, umie ugotować, sprzątnąć, wbić gwóźdź, nareperować podstawowe sprzęty. Nie umie, nie potrafi porzucić dotychczasowego życia. Nawet wtedy, gdy podczas jednej z bójek otrzymuje cios pilnikiem w okolice serca. Ma przebite płuco,

Kadr z filmu „Ostrow", niżej ze statuetką za najlepszą rolę męską, rok 2006
Z prawej audiencja u patriarchy Aleksego II, w głębi reżyser filmu „Ostrow", Paweł Łungin

traci wiele krwi, przez czterdzieści dni leży w śpiączce. W pewnej chwili już go nie boli, ogarnia go pokój, widzi jakiś próg… Potem lekarze zaczynają go ściągać z powrotem. „Dlaczego to robicie" – krzyczy. Ale choć wraca do świata żywych, nie porzuca nałogów. Dlaczego? Ile czasu grzechowi służyłeś, tyle czasu co najmniej, z pomocą Boga, będziesz zmieniał swoje życie, powie po latach. A wtedy? Wtedy od razu po wyjściu ze szpitala poszedł do piwiarni. „Piwo dla inwalidy" – krzyknął od progu, bo poruszał się o kulach. Dostał trzy, wypił od razu. Pierwsze małżeństwo rozpadło się po ośmiu latach. – Ja je zniszczyłem przez swoje uzależnienia, swoje twórcze porywy – przyznaje –bo służyłem diabłu, którego jedno z imion brzmi "rozdzielający".

Z tego małżeństwa urodzi się syn. Był z nim tylko kilka lat (teraz spotyka się regularnie).

Dzisiaj już wie – ile czasu nie poświęciłeś na wychowanie dziecka, tyle później, jeśli chcesz to naprawić, musisz poświęcić na modlitwę, bo modlitwa, rozmowa z Bogiem, ma ogromną siłę.

Mimo że kończy instytut poligraficzny, trudno mu się skupić na jednej pracy. Pracuje i w redakcji czasopisma „Pionier", pisze artykuły o timurowcach oraz zlotach, i w łaźni, kotłowni, i jako windowy w Domu Literata, tłumacz z języka norweskiego. W końcu zakłada zespół muzyczny. I chociaż występuje – najpierw na domowych koncertach – jako jego solista, zawsze uważa się raczej za poetę niźli muzyka.

Żeni się po raz drugi, **Ola** jest tancerką, urodzi mu dwóch synów. I nigdy, nigdy nie przestanie o niego walczyć.

W 1983 roku Piotr Mamonow zakłada legendarną rockową grupę „Zwuki mu". Przed nimi występy w całym ZSRR i za granicą, w Europie, a nawet USA. I współpraca z angielskim producent **Brianem Eno**. I płyty z powodzeniem przyjmowane na Zachodzie. Krytycy zastanawiają się nad klasyfikacją tej awangardowej muzyki, podziwiają jej niespotykane brzmienie.



Oglądam jeden z koncertów. Źle trafiam. Nie wyłapuję wszystkich słów, muzyka mnie przytłacza, a ruch sceniczny przeraża.

Prawdę powiedziawszy, nie dziwi mnie, że podczas jednego z telewizyjnych występów „Zwykow mu" zadzwonił psychiatra z Saratowa: – Piotrze Nikołajewiczu – zapytał na wizji – kto pańskim zdaniem w większym stopniu zwariował, czy pan, dowodząc tego w dość przekonywujący sposób, czy widzowie, przyjmujący tę imitację za sztukę?

Dziś Piotr Mamonow nie chce oglądać swoich koncertów. „Tego chłopaka już nie ma" – przyznaje. „Bo człowiek może zmienić się diametralnie". Starych taśm czy płyt nie niszczy. I za Puszkinem powtarza: *Ja s otwraszczenijem żyźń swoju listaju, no strok pozornych nie smywaju.*

Gdzieś tak w połowie lat 90. cioteczny brat, budowniczy z zawodu, zaproponował mu kupno działki pod Wierieją, tak ze dwieście kilometrów od Moskwy.

„Ja, moskwianin z dziada pradziada, na wsi?" – wzbraniał się przed tym pomysłem jak mógł. Ale pojechał. A tam i sosny, i cisza, i inne niebo. Osiadł w Jefanowie.

Dobra żona, udane dzieci, własne



miejsce na ziemi, sława, pieniądze. Nagle zaczyna go dręczyć pytanie, po co tak naprawdę żyje? Pierwszą zimę w Jefanowie spędza samotnie. *A odinoczestwo sobirajet duszu*, jak pisze św. Izaak Syryjczyk. Piotr Mamonow czyta dzienniki Lwa Tołstoja, potem nieoczekiwanie pojawia się myśl – może tak zwrócić się ku Bogu? Jego rodzice byli niewierzący, ale prapradziadek, protoijerej **Nikołaj Nadieżdin**, przez siedemnaście lat był *nastojatielem* w soborze Wasilija

Błażennogo w Moskwie. *Spiaszczego nie budi, prosnuwszehosia nakarmi*... Piotr Mamonow ma 45 lat i właśnie się budzi. Szybko rozumie, że Chrystus nie pędzi przed sobą swego stada, lecz woła, by szło za nim. Teraz i on słyszy ten zew. Kupuje *molitwosłow*, w nim zaznacza cztery modlitwy, które są mu *po dusze*. Zaczyna się modlić. Potem w Kijowie przed olbrzymią ikoną Matki Bożej nagle pada na kolana i nie może przestać płakać. Kupuje Ewangelię, czyta jeden rozdział, drugi, trzeci. Natrafia na przypowieść o synu marnotrawnym. „Toż to o mnie" – nie ma wątpliwości.

Zaczyna chodzić do cerkwi, bierze ślub cerkiewny z Olą, przystępuje do spowiedzi, *priczastija*.

Złoto naszych dusz wytapia się w ogniu pokus, w ogniu nieszczęść, w ogniu tego bezmyślnego, bezbożnego świata – dziś mówi. I opowiada jak walczy, jak pada, ale się podnosi. I stopniowo wyzwala się z nałogów. W najtrudniejszych momentach pamięta: – Bóg nikogo nie doświadcza ponad jego siły.

Jako humanista, korzysta z książek. Oprócz Ewangelii czyta pisma ascetyczne św. Izaaka Syryjczyka, na okrągło. Poleca też, choć słowo poleca jest tu niewłaściwe, bo każdy ma swoją drogę do Boga, a Piotr Mamonow raczej dzieli się po prostu doświadczeniem. Tak więc Piotr Mamonow sięga także po „Listy" waałamskiego starca **Ioanna** [kanonizowanego przez fińską Cerkiew przed kilku laty – am] czy „Pisma duchowym dietam" ihumena **Nikona** (**Worobjowa**). Słucha kazań o. **Dimitrija Smirnowa**, wykładów prof. **Aleksieja Osipowa** (chociaż nie porywają go, tak polecane przez Aleksieja Iljicza, prace św. Ignacego Branczaninowa, inżyniera z zawodu, są wyłożone zbyt „technicznie"). Szybko zauważa, że i o. Dimitrij Smirnow, i Aleksiej Osipow jego emocjonalne przeżycia formują w jasny, przejrzysty schemat. Tymczasem wieści o przemianie Mamonowa, już także i teatralnego, i filmowego aktora, dochodzą do stolicy.

Dlatego reżyser Paweł Łungin właśnie jemu powierza rolę w filmie „Ostrow" (Wyspa). Nie, nie będzie to ich debiut. Spotkali się już na planie filmu „Taxi blues", uhonorowanym nagrodą na festiwalu w Cannes.



Tym razem Łungin proponuje mu rolę w niespotykanym filmie, rolę obdarzonego darem uzdrawiania i prozorliwości starca Anatolija, który całe życie kaja się za popełniony w młodości grzech.

Niespotykaną rolę w niespotykanym filmie, bo oto po raz pierwszy w kinematografii rosyjskiej bohaterem staje się człowiek związany ze środowiskiem cerkiewnym (potem przyjdą „Pop" **Chotinienki** i „Cud" **Proszkina**). Jego pierwowzorem był starzec **Nikołaj Gurianow** z wyspy Zalit, autor m.in. popularnej także u nas paraliturgicznej pieśni *Gospodi pomiłuj, Gospodi prosti*, która zresztą rozbrzmiewa w filmie.

Mam grać rolę świętego? – Piotr Mamonow nie dopuszcza nawet takiej myśli. Idzie do swego *duchownika*, proboszcza cerkwi w Wierei. – Jesteś aktorem, więc nawet się nie zastanawiaj, śmiało – słyszy.

Zdjęcia odbywają się w Karelii, na brzegu Morza Białego, skąd odpływały statki ze skazanymi na Sołowki, trwają czterdzieści dni. Najtrudniejsza scena? To ta, kiedy bohater, przeczuwając śmierć, kładzie się do trumny. Trzy razy z niej wyskakuje, a w końcu padają słowa: „Nie strach umierać... Strach stanąć przed Bogiem... Grzechy duszą".

Film okazał się wielkim sukcesem. „Kto nie widział, do kompa" – czytam po czternastu latach w komentarzach w Internecie. Od siebie dodam, że warto go obejrzeć raz drugi i trzeci.

Patriarcha **Aleksy II** przyjmuje twórców, nagradza ich *gramotami*.

– Jeśli z dziesięciu tysięcy widzów choć jeden przyjdzie do cerkwi, dobrze wypełniliśmy nasze zadanie – przyznaje Piotr Mamonow, który stworzył wybitną kreację.

Ciekawe, czy zna wpis jednej z internautek: „Po obejrzeniu filmu moja przyjaciółka, która chciała dokonać aborcji, zmieniła zdanie".

„Ostrow" obejrzały nie tysiące, a miliony osób. W Rosji pod względem oglądalności ustąpił jedynie noworocznym życzeniom prezydenta. Wysoko oceniony przez widzów i ludzi z branży zdobył sześć statuetek Nike, sześć statuetek Złotego Orła, najwyższych corocznych nagród w kinematografii rosyjskiej, w tym dwukrotnie i Złotego Orła, i Nike, za najlepszą rolę męską, właśnie dla Piotra Mamonowa (o filmie tym pisaliśmy w Przeglądzie, oglądało go wielu prawosławnych w Polsce).

Uroczystość wręczenia Złotych Orłów można sobie łatwo wyobrazić.

Eleganckie wnętrza, wyszukane toalety. Atmosfera ekscytacji, radości, beztroski.

Na fali „Ostrowa” udziela tysięcy wywiadów, do swego programu zaprasza go o. Dymitr Smirnow, znany moskiewski kaznodzieja. Przy spotkaniu okazuje się, że wychowywali się w sąsiedztwie, Piotr jako dziecko pobił młodszego brata Dimy, starszy brat mu oddał. O. Dymitr zaprasza raz, potem znów i znów.

Zapraszają stacje telewizyjne. „Myślicie tylko o programie, ja chcę powiedzieć o tym, co w życiu jest najważniejsze”, od początku stara się skierować rozmowę na właściwe tory. „Co będziemy robić we czwartek, jeśli umrzemy we środę?” – pyta zaskoczonych dziennikarzy. A na zdanie „W pańskich oczach widzę małe wesołe diabełki” – zżyma się nie na żarty. Diabeł nie jest wesoły.

Potem opowiada o projekcie realizowanym wspólnie z metropolitą **Iłarionem** (**Ałfiejewem**) – wydaniu audiobooków z książką władyki „Moje życie z Izaakiem Syryjczykiem”, o swoim nowym filmie „Ijerej San. Spowiedź Samuraja” (można obejrzeć w Internecie), po którym wykonawca głównej roli, hollywoodzki aktor **Cary-Hiroyuki Tagawa** przyjął prawosławie.

Mówi o pracy w radiu – w autorskim programie prezentuje i poezję klasyczną, i muzykę rockową, której nigdy nie przekreślał. Czytał nawet na jej tle psalmy (*Zacznijcie pieśń i w bęben uderzcie* – Ps 80,2). A słucha go czternaście milionów osób!

Opowiada i o swoich Zakoriuczkach, serii książeczek o własnym doświadczeniu i przemyśleniach, pełnych odwołań do Ewangelii i Ojców Kościoła, które osiągnęły już nakład czterdziestu tysięcy egzemplarzy. I o swojej wierze, i jak codziennie wciela ją w życie.

„Słowo o czynach jest skarbnicą nadziei, mądrość niepoparta czynami, zalążkiem wstydu” – mówi św. Izaak Syryjczyk.

Ałła Matreńczyk
fot. **fishki.net**
patriarchia. ru

A wąż był bardziej przebiegły niż wszystkie zwierzęta lądowe, które Pan Bóg stworzył. On to rzekł do niewiasty: Czy rzeczywiście Bóg powiedział: Nie jedzcie owoców ze wszystkich drzew tego ogrodu? Niewiasta odpowiedziała wężowi: Owoce z drzew tego ogrodu jeść możemy, tylko o owocach z drzewa, które jest w środku ogrodu, Bóg powiedział: Nie wolno wam jeść z niego, a nawet go dotykać, abyście nie pomarli. Wtedy rzekł wąż do niewiasty: Na pewno nie umrzecie! Ale wie Bóg, że gdy spożyjecie owoc z tego drzewa, otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło. Wtedy niewiasta spostrzegła, że drzewo to ma owoce dobre do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy. Zerwała zatem z niego owoc, skosztowała i dała swemu mężowi, który był z nią: a on zjadł (Rdz 3,1-6). *Wtedy Pan Bóg rzekł do niewiasty: Dlaczego to uczyniłaś? Niewiasta odpowiedziała: Wąż mnie zwiódł i zjadłam* (Rdz 3,13). Tak jest w Biblii Tysiąclecia. W Biblii Warszawskiej, w Gdańskiej i Nowego Świata mówi się, że wąż zwiódł, w Warszawsko-Praskiej – skusił. Wydaje się jednak, że te tłumaczenia nie oddają w pełni tego, co się stało.

O prelesti

W wersji cerkiewnosłowiańskiej jest tak: *И рече́ Госпо́дь Бо́гъ женѣ́: что́ сіе́ сотвори́ла еси́? И рече́ жена́: змі́й прельсти́ мя, и ядо́хъ*. Zastosowano tu słowo *prelsti*, które bardzo trudno przetłumaczyć na język polski. Wydaje się, że słowa zwiódł czy uwiódł mają trochę inny, węższy zakres znaczeniowy. Zresztą i z tłumaczeniem na rosyjski jest problem. W języku rosyjskim słowo *prelest’* znaczy bowiem zupełnie coś innego niż to samo słowo słowiańskie. W rosyjskim oznacza wdzięk, urok, czar.

Wróćmy jednak do słów z Biblii. Co robi wąż? Otóż zarzuca Bogu mówienie nieprawdy i obiecuje naszym prarodzicom: „Na pewno nie umrzecie!”. Następnie przedstawia świetlaną perspektywę: „Otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło”. W niemieckim tłumaczeniu Biblii pojawia się w tym miejscu jeszcze zdanie: *Dann werdet ihr euer Leben selbst in die Hand nehmen können*, co można przetłumaczyć: „Wtedy będziecie mogli wziąć swoje życie we własne ręce”. Wąż zmienia w Ewie sposób postrzegania i wzbudza w niej pożądanie. Któż z nas nie chciałby zresztą być jak Bóg: nieśmiertelny, zdrowy, piękny, mądry, mieć dostęp do wszystkiego i samodzielnie decydować o własnym życiu. Czujemy więc, że nie było to zwykłe wprowadzenie w błąd, zwiedzenie czy oszukanie.

W ten sposób zbliżamy się już do cerkiewnego pojmowania słowa *prelest’*. W pewnym skrócie i uproszczeniu można powiedzieć, że jest to taki stan duchowej świadomości, przy którym oddziaływanie własnych namiętności (przede wszystkim próżności) i oddziaływanie upadłych duchów na duszę i ciało sprawia, że człowiekowi wydaje się, że osiągnął duchowe wyżyny, sięgające wręcz osobistej świętości. Często towarzyszy temu schlebianie sobie, oszukiwanie siebie, marzycielstwo, mniemanie o własnej wysokiej godności i doskonałości, pycha. Takiemu stanowi może towarzyszyć również wiara człowieka w to, że obcuje z aniołami lub świętymi, że w wyniku swego modlitewnego wysiłku stał się godny objawień czy może nawet dokonywać cudów. Taki stan może być subiektywnie przyjmowany przez człowieka jak łaska Boża, będąca wynikiem własnych zasług. Podobne wrażenie może też odnosić jego otoczenie. W rzeczy samej człowiek ten jest jednak chory duchowo. W stanie *prelesti* człowiek bardzo łatwo przyjmuje kłamstwo za prawdę, co – zgodnie z nauczaniem świętych ojców – jest wynikiem diabelskich sugestii.

Nauczanie o *prelesti* formowało się

już w teologii bizantyńskiej. W szczególności ten termin stosuje Grzegorz Synaita (XIII wiek), Kalikst I Konstantynopolitański, Diadoch z Photiki i inni. Św. biskup Ignacy (Branczaninow) pisze, że *prelest'* jest uszkodzeniem człowieczego jestestwa poprzez kłamstwo. Jest stanem wszystkich ludzi, bez wyjątku, wywołanym poprzez upadek naszych prarodziców. Wiedza o tym, że jesteśmy w *prelesti*, jest największą ochroną przed nią. Z kolei największa *prelest'* to uznawanie siebie za wolnego od niej. Wszyscy jesteśmy oszukani, wszyscy zwiedzeni, wszyscy znajdujemy się w fałszywym stanie. *Prelest'* jest przyswojeniem przez człowieka kłamstwa, przyjętego przez niego za prawdę. *Prelest'* działa najpierw na obraz myśli. Po przyjęciu wypacza ten obraz, szybko udziela się sercu, wypacza odczucia serdeczne. Po opanowaniu istoty człowieka rozlewa się na całą jego działalność, zatruwa ciało, jako nierozerwalnie powiązane przez Stwórcę z duszą. Potrzebujemy więc wyzwolenia przez prawdę. Prawdą jest Pan nasz Jezus Chrystus. Trzeba uwierzyć w Niego, modlić się do Niego – i On wyciągnie nas z przepaści omamienia samego siebie i omamienia przez demony.

Św. Grzegorz Synaita pisze, że są trzy przyczyny *prelesti*: pycha, zawiść demonów i dopust karny. Przyczyną pychy jest próżna lekkomyślność czy wyniosłość, zawiści demonów osiąganie postępów w wysiłkach modlitewnych, karnego dopustu grzeszne życie. *Prelest'*, wynikająca z zawiści i pysznej zarozumiałości, szybciej uzyskuje uzdrowienie, szczególnie jeśli ktoś się ukorzy. *Prelest'* karną – oddanie człowieka szatanowi za grzeszne życie – Bóg często dopuszcza aż do śmierci. Bywa też, że w celu zbawienia człowiek niewinny jest oddawany pod wpływ demonów.

Pan nazywa diabła kłamcą, ojcem kłamstwa i zabójcą. Kłamstwo od początku posłużyło diabłu do zabójstwa człowieka i stale służy mu do tego, służy do doprowadzania ludzi do zguby. Św. Ignacy (Branczaninow) pisze: „Początek wszelkiego zła to fałszywa myśl! Źródło omamienia samego siebie i diabelskiej *prelesti* to fałszywa myśl! Przyczyna różnorodnych szkód i zguby to fałszywa myśl! Za pośrednictwem kłamstwa diabeł poraził wieczną śmiercią człowieczeństwo u samego źródła, wśród prarodziców. Nasi prarodzice ulegli pokusie, to jest, uznali kłamstwo za prawdę i przyjąwszy kłamstwo pod maską prawdy, zepsuli siebie nieuleczalnie grzechem śmiertelnym".

Od czasu upadku człowieka diabeł uzyskał do niego stały swobodny dostęp. Władzy diabelskiej człowiek podporządkował się z własnej woli, odrzuciwszy posłuszeństwo Bogu. Po Odkupieniu człowiekowi została zaoferowana wolność wyboru – albo posłuszeństwo Bogu, albo diabłu. W celu utrzymania człowieka w poprzedniej zależności od siebie diabeł ciągle wykorzystuje stałą broń – kłamstwo. Wprawia w ruch wszystkie nasze namiętności i emocje. Ich zgubne wymagania ubiera w przystojność, stara się skłonić nas do zaspokajania ich bez żadnych zahamowań.

Czasami demony starają się „pomagać" człowiekowi. Ta „pomoc" może zawierać się w podsuwaniu informacji o różnych ważnych sprawach, w tym teologicznych, przejawiać się w otrzymywaniu przez człowieka nadzwyczajnych łże-darów, takich jak fałszywy dar uzdrawiania, fałszywy dar czytania myśli, przewidywania, fałszywa nieustanna modlitwa, beznamiętność, fałszywy dar wypędzania demonów. Przy czym termin fałszywy oznacza w tym przypadku, że dar pochodzi nie od Boga. Człowiek duchowo niedoświadczony, nie mający wystarczającego pojęcia o darach Bożych – komu i w jakich warunkach mogą być one dawane – może łatwo uznać taki łże-dar za pochodzący od Boga. Otrzymanie takich fałszywych darów może być połączone z jakimś widzianym zewnętrznym wydarzeniem, może też następować stopniowo i niezauważalnie. Także człowiek może z zarozumiałości i przedwcześnie (przed pozbyciem się namiętności) prosić Boga o jakiś dar, na przykład uzdrawiania, lecz otrzymać go od demonów. Nie musi nawet o nic takiego jawnie prosić, wystarczy, aby uważał się za godnego ich otrzymania.

W stan *prelesti* człowiek może wpaść od nadmiernego postu, od nadmiernego ascetyzmu czy nawet zbyt długiej modlitwy. Takie niebezpieczeństwo grozi człowiekowi niedoświadczonemu, nie mającemu ani prawdziwego nauczyciela (ojca duchowego), ani prawidłowej teoretycznej wiedzy duchowej. Św. Grzegorz Synaita pisze: „Wolny wybór człowieka łatwo skłania się ku obcowaniu z wrogami, w szczególności wśród niedoświadczonych, którzy są najczęściej prześladowani przez wrogów. W pobliżu i wokół nowicjuszy i kierujących się swoją wolą demony zwykle rozrzucają sieci zamysłów i zgubnych marzeń i przygotowują rowy upadku". Dobrze więc mieć jakiegoś przewodnika w tej materii. Nie jest jednak łatwo znaleźć przewodnika nie błądzącego ani w rozmyślaniach, ani w słowach, ani w czynach. Mądry Syrach powiedział: *Żyjących z tobą w pokoju może być wielu, ale gdy idzie o doradców, niech będzie jeden z tysiąca!* (Syr 6,6). *Należy więc wypytywać nie każdego, lecz tego, kto jaśnieje swoim życiem i będąc ubogim, wielu wzbogaca* (2 Kor 6,10).

Należy więc pamiętać, że duchowa *prelest'* jest podstawowym niebezpieczeństwem, czatującym na chrześcijanina, przystępującego do modlitewnych zmagań. Wszystkie postacie diabelskiej *prelesti*, którym poddawany jest człowiek oddany modlitwie, powstają wskutek tego, że u podstaw modlitwy nie ma *pokajania*, że *pokajanie* nie stało się źródłem, duszą, celem modlitwy. „Jeśli ktoś – mówi św. Grzegorz Synaita – z nadzieją na siebie, bazującą na samoocenie, marzy o osiągnięciu modlitewnych wyżyn, i zdobył gorliwość nie prawdziwą, lecz szatańską, tego diabeł łatwo okręca swoimi sieciami, jak swojego sługę". *Pokajanie* i wszystko, z czego ono się składa, jak skrucha, płacz serca, łzy, samoosąd, pamięć o śmierci, pamięć o sądzie Bożym i wiecznej męce, odczuwanie obecności Bożej, bojaźń Boża są darami Boga, darami wielkiej wartości, rękojmią

darów wyższych i wiecznych. Kiedy diabeł zobaczy kogokolwiek żyjącego w płaczu, to nie zatrzymuje się przy nim, obawiając się pokory zrodzonej z płaczu. Św. Grzegorz Synaita pisze, że zachowywanie siebie w modlitwie i płaczu jest największym orężem przeciwko temu, aby od radości modlitwy nie wpaść w zarozumialstwo, lecz zachować siebie bez szwanku, wybrawszy w udziale pocieszający smutek.

Św. Ignacy (Branczaninow) uważa, że bardzo niebezpieczna jest taka forma modlitwy, gdy człowiek w swojej wyobraźni tworzy marzenia czy obrazy, zapożyczając je niejako z Pisma Świętego. W rzeczywistości obrazy te powstają jednak z własnego stanu człowieka, z jego upadku, z jego grzeszności, z jego omamienia samego siebie. Tymi obrazami człowiek schlebia swojej próżności, swemu wysokiej klasy rozumowi, oszukuje sam siebie. Nic wynikającego z marzycielstwa nie istnieje w rzeczywistości. Jest jedynie wymysłem i kłamstwem. Marzyciel, od pierwszego kroku na drodze modlitewnej, wychodzi poza prawdę, wstępuje na teren kłamstwa, na teren szatana, dobrowolnie podporządkowuje się jego wpływom.

Św. Symeon Nowy Teolog tak opisuje modlitwę marzyciela i jej płody: „Podnosi ręce ku niebu, oczy i umysł, wyobraża w umyśle swoim Boże obrady, niebiańskie dobra, hierarchie świętych aniołów, osiedla świętych. Zbiera w swojej wyobraźni wszystko, co słyszał z Pisma Świętego, rozważa to podczas modlitwy, spogląda na niebo, wszystkim tym pobudza duszę swoją ku pragnieniu Boga i miłości, czasami wylewa łzy i płacze. W taki sposób stopniowo puszy się jego serce, nie pojmując tego umysłem. Wydaje mu się, że to co robi jest płodem łaski Bożej dla jego pocieszenia. Prosi Boga, aby pozwolił mu zawsze przebywać w takim stanie. To oznaka *prelesti*".

Wszyscy święci ojcowie zabraniają nie tylko marzyć z własnej woli, lecz i poddawać się marzeniom i widzeniom, które mogą pojawiać się nieoczekiwanie, niezależnie od naszej zgody. „W żaden sposób nie przyjmuj – mówi św. Grzegorz Synaita – jeśli zobaczysz cokolwiek uczuciowymi oczami czy umysłem, na zewnątrz lub wewnątrz ciebie, czy to będzie obraz Chrystusa, czy anioła, czy jakiegoś świętego, czy jeśli pokaże ci się światło... Bądź uważny i ostrożny! Nie pozwól sobie wierzyć w cokolwiek, nie wyrażaj współczucia i zgody, nie uwierz pospiesznie zjawisku, chociażby było ono prawdziwe i dobre. Widzący cokolwiek w myśli lub uczuciowo i przyjmujący pospiesznie – chociażby to było i od Boga – łatwo wpada w *prelest'*. Początkujący powinien zwracać całą uwagę tylko na działanie serdeczne, tylko to działanie uznawać za nie zwodnicze, innego nie przyjmować do czasu wstąpienia w beznamiętność. Bóg nie pogniewa się na tego, kto bojąc się *prelesti* ze skrajną ostrożnością ogląda się wokół siebie, jeśli i nie przyjmie posłanego od Boga, nie rozpatrzywszy posłanego z całą dokładnością. Przeciwnie, Bóg pochwala takiego za rozwagę".

Trzeba wiele rozsądku, aby dobrze rozpoznać różnicę między dobrem i złem. Warto pamiętać, że działania łaski Bożej są jawne i demon, chociaż może zmieniać i zmienia swoją postać, to nie może wzbudzić ani łagodności, ani życzliwości, ani pokory, ani nienawiści do świata, ani przerwania uciech cielesnych i namiętności, które są działaniem łaski. Demony zaś – choćby i przebrały się za anioła światłości, przyjęły oblicze świętego czy samego Chrystusa – sieją nadętość, pychę, przemądrzałość, przestrach i wszelkie postacie zła. Dlatego należy uważać, nie wierzyć czemukolwiek poprzez zauroczenie – chociażby to wydawało się dobre – przed dopytywaniem doświadczonych i dokładnym zbadaniem sprawy. Inaczej można poważnie zaszkodzić sobie.

Św. Ignacy, mówiąc o *prelesti*, przypomina: „Sądzący o sobie, że jest bez namiętności, nigdy nie oczyści się od namiętności; sądzący o sobie, że jest pełen łaski, nigdy nie otrzyma łaski; sądzący o sobie, że jest święty, nigdy nie osiągnie świętości". Człowiek, przypisujący sobie duchowe działania, godności, dary łaski, pochlebiający sobie i pocieszający siebie „mniemaniem" zagradza drogę duchowym działaniom, chrześcijańskim cnotom i Bożej łasce, otwiera zaś szeroko wejście dla duchowej zarazy i demonów. Wszyscy nasi święci uznawali siebie za niegodnych Boga – w ten sposób pokazywali swoją godność, zawierającą się w pokorze. Wszyscy omamieni uważali siebie za godnych Boga – w ten sposób pokazali obejmującą ich dusze pychę i diabelską *prelest'*. Część z nich przyjęła demonów – pokazujących się im w postaci aniołów – i poszła za nimi...

Powyższe uwagi odnoszą się oczywiście do wszystkich chrześcijan, nie tylko do mnichów. Warto pamiętać, że w wybawieniu się od *prelesti* mogą pomóc: 1. życie według przykazań ewangelicznych; 2. pokora, „ubogość w duchu"; 3. wyjawianie myśli ojcu duchowemu i posłuszeństwo; 4. udział w sakramentach Cerkwi; 5. miłość do wszystkich bliskich (i dalszych); 6. dobroczynność; 7. modlitwa Jezusowa (bez pobocznych myśli – zarówno grzesznych, jak i neutralnych i pozornie duchowych, w szczególności bez wyobrażania Jezusa Chrystusa, świętych, obrazów raju itp.); 8. modlitwa za człowieka w *prelesti* innych ludzi żyjących sprawiedliwie.

Człowiek, który zobaczył w sobie *prelest'* i rozpoczął z nią walkę, przystępuje przede wszystkim do wojny z demonami. Jak pycha jest w ogóle przyczyną *prelesti*, tak pokora przed nią chroni. Pycha i wynikające stąd problemy są osłabiane przez prostą pracę fizyczną. Św. Józef z Optiny pisze, że w dawnych czasach takich zwiedzionych starcy przydzielali do czarnej roboty. Ponieważ *prelest'* jest skutkiem pychy i zarozumiałości, to czarna robota chociaż trochę zabija przeklętą pychę. W monasterze mogą zwiedzionego wysłać na przykład do obory do wyrzucania nawozu. Jeśli jednak żyjemy „w świecie" i nie mamy obory, to silną *prelest'* może osłabić chociażby wykonywanie prac domowych. Nie zaszkodziłoby i nam przymusić się na przykład do pomocy w kuchni – do obrania kartofli czy umycia naczyń.

Aleksy Kordiukiewicz

Z prawej cerkiew w Boratyńcu Ruskim
niżej parafianie podczas krestnego chodu

Triumf Orthodoxii

– Z Prazdnikom! – w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu, w Niedzielę Prawosławia, o. Andrzej Opolski, proboszcz z Boratyńca Ruskiego pod Siemiatyczami, z energią i nieskrywaną radością świątecznie pozdrawia.





W tutejszej parafii, pod opieką świętej sprawiedliwej Anny, po raz trzeci został zorganizowany *krestny chod* właśnie z okazji święta Triumfu Orthodoxii. I to jaki! Aktywnie w nim uczestniczą wszyscy. Ludzkie głowy przeplatają się z głowami świętych na dużych ikonach. Nie ma nikogo, kto nie niesie ikony czy chorągwi. No, może najstarsi, ale i tym nie brakuje werwy.

– Pierwszy raz o tym, by zorganizować taki *krestny chod*, pomyślałem cztery lata temu w czasie kazania na to święto. Mówiłem i jednocześnie czułem, że to trzeba pokazać. Widziałem w mediach, jak Niedzielę Prawosławia obchodzi się w innych krajach, czemu nie zrobić tak u nas. Już na kilka niedziel wcześniej przypominałem wiernym, że jest takie święto. Tłumaczyłem: „Jeśli całujesz zdjęcie zmarłej matki, to całujesz sam papier fotograficzny, czy czujesz bliskość matki? Jak modlisz się przed grobem to kłaniasz się kamieniowi czy krzyżowi?” – mówi o. **Andrzej Opolski**.

Krestny chod się odbył, kolejny, rok później także, już liczniejszy.

Wiedza, skąd święto się wzięło, też jest ważna. Sięgnąć do historii trzeba naprawdę głęboko. Ustanowiono je w 843 roku na soborze w Konstantynopolu, by upamiętnić zwycięstwo prawdziwej wiary nad herezją ikonoklazmu i innymi herezjami, które przez kilka wieków targały Cerkwią. Wcześniej, w roku 787, na VII Soborze Powszechnym, który zebrał się w Nicei (teraz Iznik), nadano rangę dogmatu nauce o świętych ikonach, sformułowanej przez świętych Jana Damasceńskiego i Teodora Studytę. Cześć oddawana ikonom nie jest bałwochwalstwem – głosili oni – bo są one „oknem” na inną, nie z tego świata pochodzącą, rzeczywistość. Ustalenia soboru zakończyły aż studwudziestoletni okres sporów! A i nam, współcześnie, dają nadzieję, że nawet najdłuższe, najgorliwsze spory, z woli Bożej zgasną.



W tym dniu odprawiany jest obrzęd Czyn Prawosławia. Wygłasza się

Z lewej wikary o. Janusz Awksietijuk, proboszcz o. Andrzej Opolski





anatemę skierowaną na wszystkich heretyków oraz śpiewa *Wiecznuju Pamiat'*, wspominając świętych ojców i obrońców wiary. Pośrodku cerkwi umieszcza się ikony Chrystusa i Bogarodzicy, a w „molebnie o nawróceniu błądzących" Cerkiew modli się, aby Bóg umocnił nas w prawdziwej wierze i oświecił światłem poznania prawdy odłączonych od prawosławia. Byśmy byli faktycznie rodziną.

W parafii w Boratyńcu, gdy wierni wchodzą do cerkwi, razem śpiewają *Symbol wiary*, a potem pieśń św. Mikołaja Serbskiego „Nasza wiara". Duchowni śpiewają zwrotki, a cała cerkiew refren.

Rodzinę stanowi też parafia w Boratyńcu. Widać to i w niesionych ikonach. To ofiary ludzi. To ich historie, a proboszcz pilnował, by ikony, freski były zgodne z prawosławnymi kanonami, by były piękne i by święci na nich przedstawieni byli bliscy ludziom. I tak, gdy odbywały się śluby, proboszcz prosił, by zamiast kwiatów zbierać pieniądze na ikonę. Swoją ikonę ma każda wieś, jest ona wynoszona podczas obchodów pól. Świętym, przedstawionym na ikonach ludzie powierzają swoje troski, proszą o zdrowie. Tak jak i rodzina batiuszki. W 2007 roku urodziła się **Zuzia**. Od tego czasu trwa walka o jej zdrowie i życie. Bo płuca Zuzi trawi nieuleczalna, postępująca choroba, mukowiscydoza, która uniemożliwia jej normalne funkcjonowanie, patrzenie z odwagą w przyszłość. Walka o Zuzię to jednocześnie doświadczanie cudów. Bo cudem jest pokonywanie kolejnych trudności przy słabnącym zdrowiu Zuzi, cudem jest choćby to, że dzięki pomocy wielu ludzi udało się zdobyć ogromne pieniądze na roczną kurację na jeden z leków (więcej na stronie: www.zuziaopolska.com). Ojciec **Serafin** z monasteru w Chmielowie podarował o. Andrzejowi ikonę św. Jana Kormiańskiego. I tak święty Jan stał się szczególnie bliski Opolskim, a w cerkwi w Boratyńcu pojawiła się kolejna ikona. Batiuszka i matuszka **Krystyna** przez miesiąc po narodzinach na OIOM-ie czytali przy Zuzi akafist do Matki Bożej *Izbawlenije od bied strażduszczych*. Później w cerkwi pojawiły się dwie duże ikony – świętego Jana Kormiańskiego z relikawiami i jedyna w Polsce ikona Matki Bożej *Izbawlenije od bied strażduszczych*.

Krestny chod w Niedzielę Prawosławia w Boratyńcu Ruskim staje się nową, dobrą tradycją. Może przyjmie się, tak jak czytanie *Psałtyra*. Parafia liczy sto domów, 270 parafian, a 67 z nich czyta właśnie *Psałtyr*. W domu, ale i w cerkwi. We wtorek Tygodnia Męki Pańskiej, o godzinie 17, ludzie zbierają się w swojej świątyni, i czytają wszystkie psalmy króla Dawida. Zajmuje to sześć godzin, to już spraktykowane. Podobnie przyjęło się czytanie Psałterza Bogarodzicy przed Jej *płaszczanicą*. I tak z niewielkiej, a tak bogatej cerkwi, położonej na uboczu podlaskiej wsi, płynie modlitwa.

Natalia Klimuk
fot. **autorka**
Filip Pietruczuk

W połowie lat 80., kiedy podstawowym źródłem informacji o prawosławiu na świecie był francuskojęzyczny SOP, imię władyki Atanazego (Jevticia) pojawiało się w każdym numerze jako autora tekstu bądź komentarza, uczestnika konferencji, prelegenta. Nic dziwnego, serbska Cerkiew stawia go tuż obok swych największych duchowych synów – św. Mikołaja (Velimirovicia) i św. Justyna (Popovicia), który był jego duchownikiem. Władyka Atanazy prowadził działalność naukową niemal do końca, z obowiązkami biskupa zarządzającego diecezją po poważnym w skutkach urazie pożegnał się wiele lat wcześniej. Odszedł 4 marca w wieku 83 lat, zmarł z powodu koronawirusa.

Bronił, wychowywał i karmił wszystkich, którzy byli w biedzie



Dwa dni później *zaupokojną* Liturgię w katedralnym soborze w Trebinje (Bośnia i Hercegowina, Republika Serbska) odprawił metropolita dabrobosniacki **Chryzostom**, z którym współsłużyło kilku innych władyków, duchowni i diakoni. Na uroczystości pogrzebowe przybyło wielu mnichów, mniszek, osób świeckich. Po Liturgii trumna z ciałem w kondukcie żałobnym została przewieziona do położonego sześć kilometrów od miasta monasteru Tvrdoš. Czyn *pogrebienija* odprawiono w kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego na monasterskim cmentarzu. Z powodu epidemii w uroczystościach nie mógł wziąć udziału patriarcha serbski **Porfiriusz**, student zmarłego władyki. Przesłał bardzo osobistą, pożegnalną mowę.

„Władyka Atanazy, mając w sercu zmartwychwstałego Chrystusa, starał się, żeby święci ojcowie i nauczyciele Cerkwi, o których nas uczył, byli nie jakimiś naukowymi czy literackimi, a nawet nie teologicznymi wzorami do naśladowania, lecz stanowili część naszego życia, byli z nami nie tylko na wykładach, ale niemal stale" – napisał. „I na skromnych, bardziej monasterskich niż studenckich obiadach, które błogosławił w *trapieznej* starego budynku naszego wydziału. I kiedy po raz pierwszy weszliśmy z nim na Welebit, żeby modlić się nad bezdenną Szaranową Jamą za męczenników, których tam widzieliśmy i prosić, żeby modlili się za nas [Szaranowa Jama to położone kilometr od obozu koncentracyjnego w Jadovnie (Chorwacja) miejsce straceń Serbów z rąk ustaszowskich oprawców; nad tą przepaścią ustasz Fabian przerzucał belkę, na której ustawiał dziesięciu Serbów, a później za pomocą drążka-dźwigni strącał wszystkich, zabijając w ten sposób dziennie do trzystu osób – am]. I kiedy w ślad i z apostołem Pawłem odkrywał nam prawosławie, monastery i serbskość Dalmacji, kiedy śpiewaliśmy *Christos Woskresie* w Jasenovacu (to też obóz koncentracyjny – miejsce kaźni Serbów), a także w całym Kosowie i Metochii, które są naszym narodowym ukrzyżowaniem i zmartwychwstaniem. I kiedy po raz pierwszy wstąpiliśmy z nim na Świętą Górę Atos, żeby spotkać *podwiżników* i świętych starców. I nawet kiedy graliśmy z nim w piłkę nożną w Belgradzie". Hierarcha podkreślił, że stryjek zmarłego, o. **Milos Jevtić**, został niewinnie zabity w Wielki Piątek 1944 roku. „Tam gdzie był biskup Atanazy, byli i święci ojcowie, i nauczyciele Cerkwi, tam był Chrystus ukrzyżowany i zmartwychwstały, którego mocą biskup Atanazy odważnie bronił, wychowywał i karmił wszystkich, którzy byli w biedzie".

Patriarcha podkreślił też, że biskup Atanazy obok św. Justyna (Popovicia) i św. Mikołaja (Velimirovicia) – wszyscy pochodzili z šabacko-valjewskiego regionu – był najbardziej płodnym i najbardziej znanym na świecie serbskim teologiem i pisarzem naukowym.

Przyszły hierarcha i teolog (świeckie imię Zoran Jevtic) urodził się w Brdaricy 8 stycznia 1938 roku. W wieku dwudziestu lat, po ukończeniu gimnazjum i seminarium, wstąpił na wydział teologiczny w Belgradzie, skąd wkrótce został powołany do wojska. Po powrocie przyjął postrzyżyny, rok później święcenia diakońskie, a w 1963 kapłańskie. Jako absolwent teologii studia doktoranckie rozpoczął w Akademii Teologicznej na Halki, ukończył na Uniwersytecie w Atenach. Tam też obronił napisaną w języku greckim pracę doktorską „Eklezjologia apostoła Pawła w świetle prac św. Jana Złotoustego".

Pracę naukową kontynuował w Instytucie św. Sergiusza w Paryżu, już po roku prowadząc wykłady z wprowadzenia do teologii i patrologii z ascetyką, potem także z historii Cerkwi okresu bizantyńskiego. Wykładał patrologię w Katolickim Instytucie Teologicznym i literaturę bizantyńską na Sorbonie. Służył w parafiach rosyjskich, serbskich, greckich i francuskich.

Latem 1972 roku powrócił do Jugosławii. Tu także, na wydziale teologii w Belgradzie, wykładał historię Cerkwi

i patrologię. Dwukrotnie – w latach 1980-1981 i 1990-1999 – był dziekanem. Opublikował blisko sto swoich prac, rozpoczął wydawanie kolejnej, jednej z największych, „Patrologii".

Brał aktywny udział w życiu kulturalnym Belgradu, a doskonała znajomość teologii i filozofii, wspaniała erudycja zjednywała mu sympatię i szacunek słuchaczy, zwłaszcza młodzieży. Uczestniczył w dysputach z apologetami marksizmu i materializmu. Szeroko komentowane były jego publikacje w prasie.

Brał aktywny udział w gromadzeniu i opracowywaniu materiałów o serbskich nowomęczennikach.

W 1991 roku został wybrany na biskupa Banatu, rok później powierzono mu zahumsko-hercegowińską diecezję. Z powodu działań wojennych intronizacja w Mostarze okazała się niemożliwa, odbyła się w Trebinje. Władyka otrzymał diecezję, od dziesięciolеci pozbawioną swego biskupa, a dodatkowo ogarniętą okrutną i krwawą wojną. Stale pozostawał ze swym narodem, serbską armią, odwiedzał jeńców i uchodźców, chrzcił, nauczał. Niejednokrotnie występował z krytyką polityki Zachodu, USA i świata islamskiego w konflikcie na terytorium byłej Jugosławii. Pisał otwarte listy do światowych przywódców.

W 1994 roku z inicjatywy władyki Atanazego została otwarta Akademia Duchowna św. Bazylego Ostrogskiego w Srbinje (Bośnia i Hercegowina, Republika Serbska), której był pierwszym rektorem. Dzisiaj jest to wydział teologiczny w Foce.

W 1996 roku, w związku z doznanym silnym urazem, władyka Atanazy poprosił o przeniesienie w stan spoczynku. Przez trzy miesiące, w 2010 roku był tymczasowym administratorem raško-prizrenskiej diecezji. Po powtórnym przejściu w stan spoczynku kontynuował pracę naukową w monasterze Tvardoš pod Trebinje, uczestniczył w wielu konferencjach. Ukazało się ponad dziesięć jego książek.

Ałła Matreńczyk
fot. **jeromonach Ignatij (Szestakow) – pravoslavie.ru**

Spokój i radość w Duchu Świętym

Jednym z najbardziej cenionych serbskich starców, cieszących się wielkim autorytetem, był archimandryta Faddiej Witownickij, żyjący w latach 1914-2003. Od najmłodszych lat rozmyślał o życiu w Chrystusie. Wielokrotnie doświadczał niesprawiedliwości tego świata. Był duchowym uczniem schiarchimandryty Ambrożego (Kurganowa), absolwenta Wydziału Filologiczno-Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kontynuatora modlitewnej tradycji św. Ambrożego z Pustelni Optyńskiej. Archimandryta Faddiej znał osobiście św. Jana Maksymowicza (1896-1966) i św. Mikołaja Velimirovicia (1880-1956). W ciągu swego długiego życia pełnił wiele funkcji, m.in. był proboszczem cerkwi katedralnej w Belgradzie, przełożonym i spowiednikiem kilku serbskich monasterów. Jego ponadczasowe pouczenia posiadają wielką wartość dla chrześcijan żyjących we współczesnym świecie. Prezentujemy duchowe rozważania archimandryty Faddieja, zawarte w książce „Spokój i radość w Duchu Świętym".

Jakie są nasze myśli, takie jest nasze życie. Jeśli nasze myśli są spokojne, ciche, szlachetne i łagodne, to takie samo będzie nasze życie. Wszystko zaczyna się od myśli, zarówno dobro, jak i zło. Nasze myśli materializują się. Po dziś dzień widzimy, że wszystko, co zostało stworzone i istnieje na kuli ziemskiej i we wszechświecie, jest boską myślą zmaterializowaną w czasie i w przestrzeni, a my jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boże. Wielkie dobrodziejstwo otrzymała ludzkość, ale zazwyczaj nie jesteśmy tego świadomi. Nie rozumiemy także w jaki sposób nasze myśli wpływają na inne osoby. Każdy może czynić wielkie dobro lub wielkie zło, wszystko zależy od naszych chęci i od naszych myśli. Jeżeli nasze myśli są spokojne i ciche, dobre i życzliwe, wpływa to nie tylko na nasz własny nastrój. Nasz spokój rozprzestrzenia się także wszędzie wokół nas, na rodzinę, społeczeństwo. Szerzymy zatem boską harmonię, atmosferę ładu i porządku. Jeżeli natomiast posiadamy negatywne myśli, powoduje to wielkie zło, które niszczy spokój. Dlatego lepiej być życzliwym dla własnego dobra.

Bóg jest wszędzie, przebywa w sercu człowieka. Zatem wszystko należy wykonywać ze szczerego serca, gdyż każda nasza czynność powinna być jednocześnie modlitwą. Należy prosić Boga, aby w naszym sercu zagościły pokój i miłość, która jest niezwyciężoną siłą, gdyż Bóg jest miłością. Wszystko w naszym ziemskim życiu zależy od myśli, każdy wysiłek i wszelka czynność. Nasze myśli nie są tajemnicą, gdyż są ujawniane przez samo życie. Nie ma potrzeby mówić i wskazywać, kto odnosi się do nas z miłością i szacunkiem, a kto nie, gdyż jest to przez nas odczuwalne i przekazywane bez słów. Jesteśmy tacy, jakie są nasze myśli.

Postarajmy się w naszym ziemskim życiu, z pomocą Bożą, pielęgnować w sobie taką cechę jak szlachetność. W Piśmie Świętym jest napisane, że Królestwo Boże jest wewnątrz nas i



pośród nas, a jest to sprawiedliwość, pokój i radość. Nadejdzie moment, kiedy każdy człowiek odpowie przed Bogiem za swe postępowanie, w jaki sposób wykorzystał dany mu za życia czas. Czy na świecie przyczyniał się do szerzenia harmonii czy chaosu? Nasze myśli działają nie tylko na nas, lecz także na świat zwierząt i roślin, gdyż wpływają na wieczność. Nasze myśli mogą nie tylko zniszczyć spokój na świecie, ale także zintensyfikować zło we wszechświecie. Cały rodzaj ludzki ponosi konsekwencję swoich myśli i pragnień. Obecnie świat jest tak bardzo pogrążony w złu, że nie może się od niego uwolnić. Jedynym sposobem zmiany tego stanu rzeczy jest przemiana ludzkich serc z pomocą łaski Bożej. Zwróćmy się ku dobru, aby dobro było wokół nas. Zachowamy w ten sposób dobre myśli i spokój ducha, który będzie jaśniał wewnątrz nas i oddziaływał na nasze najbliższe otoczenie. Bóg jest siłą i mocą, radością i pociechą, a kiedy wzywamy do Niego, ofiaruje nam swój Boski pokój.

Co jest najważniejsze w życiu duchowym? Najważniejszą rzeczą jest utrzymywanie spokoju w sercu, w którym przebywa Chrystus. Należy starać się nie dopuszczać lęku do serca, w którym powinny panować spokój, milczenie i cisza. Chaos myślowy to stan upadłych duchów, demonów. Nasz umysł powinien być skupiony, uważny, skoncentrowany. Tylko w takim umyśle może przebywać Bóg. Święci ojcowie Cerkwi pouczają: „Jeśli jakaś myśl zakłóca nasz spokój, to pochodzi ona od demonów, więc należy ją zignorować i jej nie przyjmować". W trosce o nasze własne dobro musimy starać się umacniać w sobie pokój, radość, miłość, skromność, a Bóg



obdarzy nas swym błogosławieństwem i ześle wszystko to, co jest niezbędne w naszym życiu.

Człowiek wewnątrz siebie odnajduje Królestwo Boże. Św. Izaak Syryjczyk pisze: „Zejdź do swego serca, a znajdziesz w nim drabinę, aby wejść do Królestwa Bożego". Pismo Święte naucza, że *Królestwo Boże to sprawiedliwość, pokój i radość w Duchu Świętym* (Rz 14,17). Wspólnota z Bogiem oznacza, że On zamieszkuje w nas, działa w nas, kieruje naszym umysłem, wolą i zmysłami. Następnie stajemy się dobrowolnym narzędziem w Jego rękach. Jest to normalny stan duszy, gdyż ludzie zostali stworzeni do takiego życia. Jednak grzech oddalił człowieka od niego. Naszym zadaniem jest osiągnąć ten duchowy stan.

Kiedy Królestwo Boże zamieszkuje w sercu człowieka, wówczas Bóg ukazuje mu wiele tajemnic i on wraz z Bogiem „wkracza" w istotę rzeczy i poznaje ich tajemnice. Bóg posiada całą, absolutną wiedzę i kiedy zechce, ze względu na swą bezgraniczną miłość, objawia ją człowiekowi. Prawdziwy asceta poznaje w ten sposób wielkie tajemnice o życiu, śmierci, raju, piekle, zasadach dotyczących istnienia, funkcjonowania świata. Bóg jakby zrywa z umysłu zasłonę niewiedzy. Człowiek zaczyna rozumieć nie tylko tajemnicę stworzenia, ale także tajemnicę własnej istoty, a w pewnym momencie Bóg objawia mu Siebie samego i wtedy człowiek kontempluje Króla Chwały tak, jak patrzy na słońce w lustrze czystej wody. Wtedy jego dusza jednoczy się z Bogiem i Bóg działa w niej. Zadaniem chrześcijanina jest oczyszczanie wszechświata ze zła i szerzenie Królestwa Bożego. Jeżeli utracimy we własnej duszy Królestwo Boże, nie pomożemy innym i sami nie dostąpimy zbawienia. Ten, kto nosi łaskę Bożą w swoim sercu, niepostrzeżenie przenosi ją na innych i zazwyczaj nawet nie jest tego świadomy.

Prawdziwe duchowe życie to nieustanna walka. Bywa, że spokój i cisza zamieniają się w wielki bój. *Jeżeli masz zamiar służyć Panu, przygotuj swą duszę na doświadczenie! Zachowaj spokój serca i bądź cierpliwy, a nie trać równowagi w czasie utrapienia! (...) Bo w ogniu doświadcza się złoto, a ludzi miłych Bogu – w piecu utrapienia* (Syr 2,1-5). Jeżeli człowiek doznaje wielu nieuzasadnionych przykrości, to oznacza, że kocha go Bóg. Święci ojcowie Cerkwi nauczają, że gdy nasz wewnętrzny spokój nie jest zakłócany, to może być to związane z faktem, iż kroczymy niewłaściwą, złudną drogą. Demony przeszkadzają podstępnie tylko tym, którzy podążają prawidłową ścieżką, wiodącą do zbawienia. Odbywa się to za przyzwoleniem Boga, aby człowiek stał się prawdziwym wojownikiem Chrystusa i wiedział, jak pokonać zło. Zdobywa się w ten sposób duchowe doświadczenie, pokorną odwagę i umacnia się wola w czynieniu dobra.

Należy się starać zachowywać ze wszystkich sił prawdziwy spokój w sercu w każdej sytuacji. Wymagany jest przy tym duchowy rozsądek, ostrożność, uwaga i czujność. Z nieza-

chwianą, gorącą wiarą człowiek jest w stanie pokonać wszelkie przeciwności. Jeżeli będziemy zawsze i wszędzie pokładać niezachwianą ufność w Bogu, to nasze życie będzie przepełnione spokojem i radością. Ważne znaczenie ma również pokora, rozumiana nie jako służalcza uniżoność, fałszywa uległość, lecz prawdziwa skromność, prostota i cichość serca. Całe życie człowiek powinien doskonalić się na wzór aniołów i świętych, co spowoduje niekończące się przechodzenie od wiedzy do poznania, od siły w siłę.

Natura ludzka skłonna jest do ciągłej zmiany. W duchowym życiu nigdy nie ma stagnacji. Każda osoba albo umacnia się w czynieniu dobra, albo przybliża się ku złu, w zależności od tego, jakie cechy w sobie rozwija. Współczesna cywilizacja ma na celu odwrócenie uwagi człowieka od pracy nad samym sobą, od strzeżenia umysłu i serca, a także od kierowania się prawdziwymi wartościami. Kultura masowa, materialistyczna, oddala od dbania o własne życie duchowe i od walki ze złem. Jeżeli wszyscy ludzie zjednoczyliby się w szerzeniu dobra, to ujrzeliby jak potężna jest to siła. Wszędzie zapanowałaby harmonia. Gdyby stali się jednomyślni, byłaby to wielka moc, przed którą zło byłoby bezsilne. Bóg pomaga ludziom pokonywać zło i oczekuje, że człowiek z wolnej woli, świadomie sprzeciwi się złu i całym swym sercem, jestestwem zwróci się do Niego. Bądźmy dobrymi ludźmi i pamiętajmy, że o wiele lepiej uczyć własnym życiem, niż słowami.

Chwała Bogu za wszystko! Starajmy się wszędzie głosić dobro, gdyż każdy chrześcijanin powołany jest do szerzenia prawdy, sprawiedliwości, miłości i pokoju. Należy niestrudzenie i starannie dbać, aby zawsze przebywać w duchowym spokoju i radości, gdyż demony chcą, abyśmy cały czas byli tego pozbawieni. Pozytywne myśli i dobre zamiary dają nam radość i spokój już tu na ziemi, a tym bardziej w przyszłym życiu, gdyż Chrystus pokonał śmierć i darował nam życie wieczne.

tłum. **Andrzej Charyło**
fot. **autor**, **www.orthodoxwiki.org**

Chrześcijanie na pożarcie bestiom

To tytuł książki napisanej przez katolickiego duchownego (dominikanina) Jacquesa Rhétoré, Francuza (1841-1921). Nie pamiętam, by lektura jakiejkolwiek książki sprawiała mi więcej bólu niż ta. Nie mogłam jej czytać przed snem, ani w dużych fragmentach. Przed oczyma stawali Asyryjczycy, których poznałam.

Zacznę od artykułu z 15 listopada 1914 roku. Opublikowano go w osmańskim dzienniku „La Turquie". Zapowiadał ludobójstwo dokonane na Ormianach i Asyryjczykach w 1915 roku na skalę dotychczas nieznaną, będącą jakby poligonem doświadczalnym dla władz niemieckich, dokonujących rękoma obywateli masowych zbrodni w czasie drugiej wojny.

Artykuł opowiada, jak na brzegach Złotego Rogu, właśnie tam gdzie się ulokowało serce potężnego niegdyś Konstantynopola z Hagią Sophią i cesarskim dworem, zebrał się potężny tłum, by zamanifestować, że „jest gotów do wszelkich poświęceń dla szczęścia i wielkości ojczyzny".

Tłum popierał „świętą wojnę", ogłoszoną przez sułtana „przeciwko wrogom islamu". Wzbierał przed meczetem Fatih. Szedł ze sztandarami i muzyką. Niósł swoje sztandary – Komitetu Obrony Narodowej oraz Jedności i Postępu, organizacji które stały się narzędziem wykonawczym ludobójstwa, także flagi niemieckie i austriackie. Dlaczego akurat te, o tym później. Szli uczniowie, studenci, nauczyciele, senatorzy i deputowani, szejkowie i duchowni – reprezentanci całego narodu.

Duchowni kroczyli z misją specjalną. Na zielonym etui nieśli *święte fatwy*, czyli wyroki. Odśpiewano pieśń chwalącą przyszłe zwycięstwo wojsk osmańskich nad niewiernymi ku chwale islamu i z minaretu odczytano *fatwy*. „Tłum przyjął modlitwę głośnym *amiń*".

Jeden z deputowanych mówił: „Wszyscy muzułmanie powinni walczyć przeciwko świeckiemu wrogowi, Rosji, by ją zniszczyć (...)".

Fatwy, które po ich odczytaniu, położono na 24 godziny w sanktuarium, w którym jest przechowywany płaszcz Proroka, proponujące *dżihad*, zachęcały muzułmanów ze wszystkich krańców świata do *świętej wojny*, ogłaszały wojnę przeciwko Rosji, Anglii i Francji. Zapowiadały, że ci muzułmanie, którzy w wojnie nie wezmą udziału, będą podlegać karze Niebios. Za wielki grzech, za który grożą bolesne tortury, uznano udział w wojnie muzułmanów, będących poddanymi Rosji, Anglii i Francji i ich sojuszników, przeciwko państwom muzułmańskim.

Podczas ośmiogodzinnej manifestacji ogłoszono *świętą wojnę*. Uświęcono i usprawiedliwiono wszystkie przyszłe najohydniejsze zbrodnie, których dokonywano w 1915 roku – wtedy był ich apogeum – i później.

Sułtanem-kalifem islamu był wówczas **Mehmed Raszad**, który wydał pierwsze oficjalne wezwanie do *dżihadu.*

Kilkanaście dni później, 23 listopada, *dżihad* ogłosił najwyższy po sułtanie-kalifie autorytet religijny sunnickiego islamu, **Szejk al-Islam**.

To wszystko pozwoliło młodoturkom usprawiedliwić wszystkie represje, rzezie i nadużycia. „Niewierny" (*giaur*) i „wróg wiary" stali się synonimem chrześcijan. Obcym stał się nie tylko Anglik, Rosjanin i Francuz, ale i chrześcijanin mieszkający od setek czy tysięcy lat na tej samej ziemi, sąsiad – Ormianin, Asyryjczyk.

O tych zbrodniach przeczytamy w



książce „Chrześcijanie na pożarcie bestiom". Jej autorem jest **Jacques Rhétoré**, świadek zbrodni, który kilkadziesiąt lat spędził na terenach dzisiejszej południowo-wschodniej Turcji jako misjonarz.

Redaktorem polskiego wydania tej pracy, która ukazała się w 2019 roku nakładem Warszawskiej Firmy Wydawniczej, jest **Michael Abdalla**, którego biblioteka, jak pisze, pęka w szwach od prac dotyczących poruszonego w książce tematu.

Bo jest to temat dla niego osobisty i bolesny. Michaela Abdallę poznałam ćwierć wieku temu. Zbrodnie dokonane na jego rodzinnej ziemi są jak cierń w jego sercu. To końcówka wieku XIX oraz wiek XX i XXI okazały się najokrutniejsze dla chrześcijan Bliskiego Wschodu – Turcji, Syrii, Iraku, Iranu, Libanu. Michael przyjechał do Polski w 1971 roku. Osiadł w Poznaniu. Jest profesorem nauk przyrodniczych i humanistycznych. Urodził się w północno-wschodniej Syrii, jego dziadek **Iszo** w południowo-wschodniej Turcji we wsi Kanak. Ale jego wieś, jak i prawie wszystkie sąsiednie, po wymordowaniu Asyryjczyków zajęli Kurdowie. W Kanaku uratowały się z rzezi trzy osoby, w tym dziadek Michaela, który osiadł w Syrii, do końca dni marząc o powrocie do rodzinnej wsi.

Ojciec Michaela wyemigrował do Szwecji, tak jak i około sześćdziesięcioosobowa bliższa i dalsza rodzina. Tę wielką rodzinę, osiadłą w Södertälje pod Sztokholmem, odwiedziłam na zaproszenie Michaela w 2000 roku. Przez dwa tygodnie słuchałam ich opowieści o tęsknocie i miłości do ojczystej ziemi. Serce napełniało się bólem.

Planowaliśmy jeszcze wspólną podróż do Tur Abdinu, ziemi świętej dla chrześcijan, regionu prawosławnych monasterów, położonego w południowo-wschodniej Turcji przy granicy z Syrią. Niestety, Bliski Wschód ogarnęły krwawe rewolucje i wojny, które liczbę chrześcijan w Syrii zredukowały z 1,5 miliona do 150 tysięcy, z Libanu, owej Szwajcarii Bliskiego Wschodu, po wybuchu wojny domowej w 2011 roku wyjechało 750 tysięcy chrześcijan. Zostało ich około 500 tysięcy. A jeszcze w połowie XX wieku chrześcijanie tu dominowali. W Libanie zamordowano szwagra Michaela. Podrzucono go rodzinie w worku z napisem „Prezent dla chrześcijan".

Turcy osmańscy zaplanowali w czasie pierwszej wojny totalną zagładę Ormian i Asyryjczyków, po wojnie Greków pontyjskich, choć ziemia, na której żyły te trzy narody, należała do nich co najmniej od dwóch tysięcy lat, zanim pojawili się tam Arabowie, Turcy i na koniec Kurdowie.

Redaktor polskiego wydania tę obszerną pracę (454 stron) dedykuje niewinnym ofiarom – zniewolonym w haremach dziewczętom, osieroconym dzieciom, którym zabrano wszystko, nawet własne imiona, dziadkowi Iszo, który do końca swych dni opłakiwał członków rodziny, zamordowanych na jego oczach.

Zacytuję jeszcze uwagę redaktora polskiego wydania – wyjaśnia termin Asyro-chaldejczycy, często używany w książce przez jej autora, rzymskokatolickiego misjonarza. „Drugi człon nazwy odnosi się do części Asyryjczyków, którą beznadziejne warunki życia skłoniły do uznania prymatu papieża Rzymu i która weszła w kontrowersyjną unię z Kościołem katolickim. Działo się to w tym samym czasie, w którym powstał w Polsce, na Ukrainie i gdzie indziej, wydarty z prawosławia, Kościół nazywany greckokatolickim".

Niemcy i holokaust 1915

Zacznijmy od roli Niemiec w holokauście Ormian i Asyryjczyków w Turcji. Niemiecka historyk **Gabriele Yonan** pisze, że rząd niemiecki pragnął ogłoszenia *świętej wojny* (*dżihadu*), prowadzonej przez wszystkich muzułmanów. Niemiecki chrześcijański rząd? Tak! Niemcy obrali na swojego sojusznika Turcję. To one zadecydowały o jej przystąpieniu 11 listopada 1914 roku do pierwszej wojny. W tym samym bloku znalazły się i Austro-Węgry. Dla cesarza **Wilhelma II** i Berlina wrogami w pierwszej wojnie była Anglia, Francja i Rosja. Turcję traktował więc Wilhelm jako naturalnego wroga Rosji. *Święta wojna* stała się wygodnym narzędziem dla Niemiec. Turcy zaś wiązali z nią cele strategiczne. Marzyli o ekspansji panturkijskiej, choć stanowili wtedy w świecie islamskim, liczącym 230 milionów wyznawców, tylko 5 proc. populacji muzułmańskiej. Szli z nadzieją na ponowne podporządkowanie regionów arabsko-muzułmańskich – na przykład Egiptu (pod dominacją angielską) czy Syrii, domagającej się niepodległości. Turecki minister wojny **Enver** snuł marzenia o dalekich podbojach – miał nadzieję na pokonanie Rosji i dotarcie do Indii przez Persję. U boku Niemiec uważał to za możliwe. Niemcy kreowali siebie po zwycięskiej kampanii w początkach wojny na pana Zachodu, Turcji obiecali rolę pana Wschodu. Niemcy i Turcja miały dominować nad światem aż po jego krańce. Z prymatem siły nad prawem.

Gregoire Abdullah, piszący w 1916 roku o rzezi Ormian, konstatuje, że jej wykonanie było tureckie, a metoda niemiecka. Lud ormiański, zgodnie z piekielnym planem przygotowanym na długo wcześniej w Berlinie, był masowo wywożony na arabską pustynię, śmiercionośną.

Świadkowie tamtej rzezi uważają, że niemieccy konsulowie i oficerowie, rozmieszczeni we wszystkich tureckich prowincjach, byli świadkami potworności. Niemożliwe więc, by nie informowali o nich swego rządu. Rzeź odbywała się za cichym przyzwoleniem Niemców, którzy uważali, tak jak i ich sojusznicy Turcy, że Ormianie i Asyryjczycy mogą stanowić przeszkodę w planach turkizacji regionu.

Poza tym Turcy – czytam komentarz – nie byli w stanie samodzielnie zorganizować przedsięwzięcia na taką skalę, w tak wyszukany, zręczny i metodyczny sposób. Wcześniej, na przykład w latach 1895-1896, Turcy zabijali chrześcijan na sposób turecki, czyli w domach ofiar, na ulicach, na placach. Był krzyk ofiar, okropności na oczach wszystkich.

W 1915 roku, kiedy unicestwiano ogromną populację, czyli około 1,5 miliona Ormian i kilkaset tysięcy innych chrześcijan, czyniono to bez większych krzyków, metodycznie, „z niemiecką dokładnością" – zatrzymywano najpierw mężczyzn, zaczynając od wyższych warstw. Prowadzono ich w nieznanym dla nich kierunku. Po drodze dzielono na grupy 50-100 osobowe. W takich dokonywano egzekucji, przedtem każąc im się rozebrać (ubrania stanowiły wartość). Ich ciała wrzucano do głębokich studni. Wykonawcy zbrodni przysięgali na Koran, że nie będą o tym informować chrześcijan w mieście.

Potem konwojowano na pustynię ludzi z niższych warstw, kobiety, dzieci, nawet staruszków. Rozbijano ich na mniejsze grupy. Kobiety, otulone białymi chustami, szły na rzeź w palącym słońcu, bez wody, jedzenia, bite, daleko nie dochodziły ze swoimi dziećmi. Padały z wyczerpania, głodu i nędzy. „Przygarniała" je pustynia. Dawała „spoczynek". Podróżnicy notowali później, że widzieli miejsca na pustyni, które przypominały im z daleka ogromne stada odpoczywających owiec. To były martwe ciała okutanych białymi chustami kobiet, ułożone jedno przy drugim.

Pustynia pełniła rolę obozu koncentracyjnego. Ci, którym udało się z konwoju uciec w góry, byli bez szans. We wschodniej Turcji nikt im ręki nie podał. Ginęli z wycieńczenia. Strażnikom konwojów pozwalano zabijać kobiety i dzieci albo przekazywać je muzułmanom jako niewolnice.

Polityka młodoturków

Imperium Osmańskie, potężny niegdyś kraj, mozaika narodowości, grup etnicznych, języków i religii, przez cały wiek XIX chyliło się ku upadkowi. Młodoturcy z Komitetu Jedności i Postępu, którzy objęli władzę w 1908 roku, sformułowali program ratowania kraju, nie nowy, bo kontynuujący politykę **Abdulhamida II**. Fatalny dla owej mozaiki. Oparty był na nacjonalizmie, turkizacji państwa. I można go było zrealizować tylko na drodze terroru. Przeciwko Ormianom, Asyryjczykom, Grekom rozpoczęto podżeganie do nienawiści. Skutek? Ślepe represje i rzezie, zamienione w ludobójstwo chrześcijańskich narodów. Ich wykonawcy? Tureckie i kurdyjskie masy.

Prześladowanie Ormian i Asyryjczyków otwarcie ogłoszono wiosną 1915 roku. Jego skutkiem stało się niemal całkowite zniknięcie chrześcijan ze wschodniej Turcji, zwłaszcza z *wilejatu* (okręg administracyjny) Diyarbakiru, pozostającego pod zarządem **Raszida paszy**. W tym *wilejacie* znajduje się miasto Mardin, które ucierpiało najbardziej.

„W żadnej prowincji, jestem tego pewien, mordercy chrześcijan nie czynili swego nadludzkiego dzieła z takim diabelskim zacięciem, z taką zorganizowaną przemocą i z tak nienasyconą łapczywością, jak w Diyarbakirze".

Dlaczego ludność muzułmańską tak łatwo było porwać do tej wojny?

Miała obietnicę zostania *szahidem*, czyli męczennikiem broniącym wiary oraz wizję zagarnięcia wielkich łupów. Chrześcijanie byli tą bogatszą częścią społeczności, zwłaszcza w porównaniu z Kurdami – prowadzili handel, banki, przedsiębiorstwa, byli pracowici. Zabijając ich, Kurdowie przejmowali ich majątek. „Turecki wilk chciał pożreć ormiańskie jagnię, to znaczy zagarnąć jego dobra i bogactwa (...)"– pisze autor.

Rzezie te nie miały miejsca ani w dalekiej przeszłości, ani w „dzikich" czasach. To „cywilizowana" Europa była ich współautorem. Wystarczyły na początku słowa, manifestacja, pozwolenie, rozgrzeszenie i świat stawał w ogniu, ludzie tracili wszelkie hamulce. Jest w książce taki obraz L. de Mango. Kobiety kurdyjskie palą ciała zamordowanych kobiet chrześcijańskich i przesiewają popiół na sitach, by odnaleźć szlachetne kamienie albo monety, które te miały połknąć. Życie człowieka miało mniejszą wartość niż kawałek kamienia.

A przecież w naszych czasach też najpierw pojawiają się słowa, błyskawicznie roznoszone przez Internet, zwłaszcza te, w których jest gniew. Emocje i agresywne hasła władają tłumami gromadzącymi się na placach, jak wtedy na Złotym Rogu, sto lat temu. Dziś mamy współczesne „majdany". One też rodzą rewolucje. Giną w nich ludzie, choćby 2 maja 2014 roku w Odessie, gdy ukraińskie nacjonalistyczne bojówki z „Prawego Sektora" żywcem spaliły 48 niewinne ofiary z hasłami „spalić moskala". Do dziś nikogo nie ukarano za tę zbrodnię, popełnioną w środku Europy. Milczy się nad tymi grobami.

Ale przede mną lektura „Chrześcijan na pożarcie bestiom". Wchodzę w rozdziały opisujące rzezie – 180 stron – w różnych prowincjach fatalnego 1915 roku, w którym nasi przodkowie, wtedy z zachodnich części Imperium Rosyjskiego, udawali się w bieżeństwo w głąb Rosji. Ale moi przodkowie wrócili z bieżeństwa wszyscy, chyba że jak ciocia mojej mamy Wiera wybrała życie w Omsku, wychodząc tam za mąż. A to samo pokolenie przodków Michaela Abdalli złożyło ofiarę życia niemal w całości. Tak, złożyło. Bo mogło wybrać życie. Wystarczyło przyjąć islam. Ale tylko jednostki je przyjmowały.

Rzezie

Rzezie w mieście Diyarbakir i w jego okolicach, w Urfie, Mardinie były najstraszniejsze, najbardziej rozległe, w Tur Abdinie, Nisibisie, Cizre i okolicach, w Siirt... Tak, wymieniam tylko nazwy miejscowości położonych w południowo-wschodniej Turcji między Tygrysem a Eufratem, w pobliżu tureckiego dziś jeziora Van i krwawą plamą rozciągnięte wzdłuż jeziora Urmia, dziś po stronie Iranu, wzdłuż granicy tureckiej. To tam miał miejsce holokaust chrześcijan.

„Gazeta Wyborcza" w notce z 23 lutego 2001 roku, pisała, że prawo-

Ormiańscy cywile prowadzeni przez tureckich żołnierzy do więzienia w dzisiejszym Elazığ (1915)



sławny ksiądz asyryjski **Yusufa Akbuluta** został aresztowany przez władze tureckie po tym, jak w wywiadzie dla jednej z tureckich gazet powiedział, iż wojska tureckie dokonały w 1915 roku ludobójstwa Ormian i Asyryjczyków.

Ksiądz mówił: „Wielu Asyryjczyków poniosło śmierć w masakrach, do których przeprowadzenia wykorzystano Kurdów, przekonanych, że pójdą do nieba za zabicie siedmiu chrześcijan". Wypowiedź nie spodobała się tureckim władzom, twierdzącym że były to zwykłe ofiary wojny domowej.

Ks. Jacques Rhétoré, świadek, nie widzi zwykłych ofiar wojny, tylko masakry. Podaje, ile mieszkało do rzezi w poszczególnych miejscowościach chrześcijan różnych denominacji – Ormian gregoriańskich, czyli ortodoksyjnych, Ormian katolickich, Asyryjczyków katolickich, chaldejczyków, protestantów, Asyryjczyków, jak ich nazywa, niekatolickich, w tym prawosławnych.

W *wilejacie* Diyarbakiru podaje ich liczbę – 174 670.

Komentuje: „Wszyscy ci chrześcijanie byli w czołówce handlu i rzemiosła, a ich praca przynosiła skarbowi państwa duże korzyści. Byli to ludzie pokorni, pragnący jedynie pokoju i bezpieczeństwa, chcący zarabiać na życie". W innym miejscu dodaje: „To cywilizacja chrześcijańska nauczyła ludzkość umiarkowania, a nawet przebaczania nieprzyjaciołom".

Tu można się zastanawiać: Niemcy, także hitlerowskie, mistrzowie fabryk śmierci, też należą do cywilizacji chrześcijańskiej, tak samo jak należeli do niej krzyżowcy, którzy dokonali ośmiu łupieżczych wypraw na Bliski Wschód w ciągu dwóch stuleci, poczynając od 1095 roku, muzułmanie o nich pamiętają do dziś. Trzeba widzieć i własne grzechy.

Ofiary

Jedną z pierwszych ofiar był kapłan **Hanna Szuha**, lat 30. Po nim zamordowano blisko pięćdziesięciu jego krewnych w Mardinie i Nisibisie.

Po mordach sprawcy rzezi plądrowali domy, szkoły i świątynie. Może to chciwość rodziła takie okrucieństwo.

Największe bogactwa trafiały do *waliego*, czyli gubernatora prowincji i jego ludzi. Dorabiali się oni kolosalnych fortun na złocie, kosztownościach, dywanach, meblach, wazach. W domach Ormian z Diyarbakiru – bankierów, przemysłowców, kupców – zgromadzono przez wieki dużo bogactwa. Raszid pasza przybył do tego miasta jako skromny urzędnik. Gdy po roku, po rzeziach, opuszczał je, by udać się do Angory, dziś Ankary, „jechały za nim 24 wozy ze złotem, biżuterią, kosztownościami, dywanami i meblami, które ukradł Ormianom. (...) Ludobójstwo było dla niego korzystne, tak samo jak dla jego trzech pomocników. Kontynuował więc pogromy i kradzieże w Angorze" – pisze autor książki.

Bogactwami nie dzielił się ani z wynędzniałą armią turecką, ani z ludem.

System eksterminacji chrześcijan wszędzie był podobny. Konwoje zabierały po 200-300 osób i prowadziły je w różnych kierunkach. Mężczyzn zabijano po drodze, kobiety i dzieci częściowo zostawiano Kurdom. Pozostawionych zmuszano do przejścia na islam. Opornych, czyli prawie wszystkich, poddawano torturom. O torturach pisać nie chcę. Śmierć stawała się dla tych męczenników wyzwoleniem.

Czytam, to jeden z przykładów, o 15 wioskach bardzo bogatych prawosławnych Asyryjczyków, zamieszkałych przez 20 tysięcy dusz, skazanych na śmierć.

Urfa, dla Asyryjczyków w IV wieku wspaniały ośrodek intelektualny, dla Ormian swego czasu miasto królewskie, zamieszkałe w 1915 roku przez 25 tys. Ormian i w okolicznych wsiach przez 27 tys. Tu Ormianie postanowili się bronić przez 25 dni. Przegrali, walcząc z żołnierzami dowodzonymi przez niemieckiego oficera. Zostali skazani na eksterminację.

Okręg Mardin zamieszkiwało 74 470 chrześcijan, najwięcej prawosławnych – prawie 52 tysiące. Mardin wznosi się na zboczu wysokiej góry, „patrząc" na piękną i szeroką równinę i dalej góry. Do 1915 roku żyli tu wszyscy „w swojej starodawnej zgodzie".

Raszid pasza szukał tylko pretekstu, by urządzić tu rzeź, by nie ominęła go bogata zdobycz. Rzeź urządził, mordując chrześcijan na raty, w odstępach, odsłaniając kolejne hekatomby. Oto jeden z opisów: „Dom Kaspo, jeden z najbogatszych w Mardinie (...) deportowano go z całym klanem, który składał się z około czterdziestu osób. Były tam babki, matki, synowie, wielu młodych ludzi, dziewczęta i dzieci. O wyznaczonej godzinie wszyscy wyszli z ojcowskiego domu, pod okiem żandarmów. (...) Wszystkie kobiety i dziewczęta miały na głowach białe welony podróżne, a ponieważ była noc, każdy niósł w rękach małą świeczkę (...). Ta procesja z pochodniami przypominała procesję dziewic

Od lewej śp. Halina Olszewska, śp. Luba Augustynowicz, czwarta od lewej Maria Krasnowska, szósta od lewej śp. Natalia Listowska, matuszka Marta z dziećmi Marią i Natalią i Luba Maliszewska
Niżej z władyką Sawą stoją od lewej śp. Halina Olszewska, śp. Luba Augustynowicz (przewodnicząca), śp. Natalia Listowska, obok metropolity Sawy o. Anatol Szydłowski, z prawej opiekun duchowy Siestryczestwa, o. Mirosław Lewczak

z Ewangelii, idących przed Oblubieńcem. Niezwykłe było to, że ci wszyscy wygnańcy, skazani na śmierć (...), szli wyprostowani, z radością".

Jeden z żołnierzy eskorty rzucił: „Można by pomyśleć, że ci ludzie idą na wesele". Jedna z dziewcząt odpowiedziała: „Tak, idziemy na wesele Pana".

Konwój pęczniał. Dołączano do niego kolejne rody. Wyprowadzono za miasto. Potem pojawili się Kurdowie – najlepsi w zabijaniu, rabowaniu, zabieraniu do haremów i niewoli.

Wiele kobiet, nawet trzynasto-, czternastoletnie dziewczęta, wybierało śmierć niż zhańbienie.

Inny konwój, też z Mardinu, składał się z około sześciuset kobiet i dzieci, wyprowadzono na pustynię.

W końcu października Mardin był „oczyszczony" już nawet z chrześcijan starców i niepełnosprawnych. Zostało tylko 1,5 tysiąca tych, którym udało się uciec z miasta, z 8-10 tysięcy poprzednich jego chrześcijańskich mieszkańców.

W *wilejacie* Diyarbakiru – sumuje autor książki – tym najbardziej doświadczonym, pięć szóstych ludności chrześcijańskiej padło ofiarami prześladowań.

Niemcy patrzyli na pogromy chrześcijan z całkowitą obojętnością – konstatuje.

Dość o rzeziach. Choć w książce zajmują one najwięcej miejsca.

Kara za zbrodnie

O. Jacques Rhétoré zamieszcza rozdział „Ukaranie zbrodni". Przez kogo? Rząd? Międzynarodowy trybunał? Nie. Dominikanin widzi w tym karę Bożą. Najpierw wskazuje na armię turecką. Choć sformowali ją i zarządzali Niemcy, „uważający się za książąt sztuki wojennej" i dobrze była zaopatrzona, setki tysięcy żołnierzy umierało z głodu, zimna i braku odzieży, bo źle zarządzano zaopatrzeniem i kradziono je. Umierali w szpitalach, gdzie brakowało wszystkiego, masowo w czasie pieszych marszów przez pustynię, bo nie mieli transportu, 250 tysięcy żołnierzy zmarło na tyfus zimą 1915 roku. Każdego miesiąca armia topniała o sto tysięcy żołnierzy – zabitych na polach bitew, zmarłych z głodu, chorób, dezercji i zabranych jako jeńców.

Tyfus, cholera i inne choroby, według autora książki, były karą kolejną. Tyfus uderzył od października 1915 roku, czyli gdy rzezie miały się ku końcowi. „Uderzał nieoczekiwanie. Ciała siniały, zęby wypadały i w ciągu 48 godzin umierali oni w okropnych męczarniach". Do połowy 1916 roku choroba zabierała dziennie 20-30 ofiar, a w jej nasileniu i sto. „Plaga wybierała swoich ludzi, uderzając szczególnie w tych, którzy najwięcej zabili i najwięcej ukradli (...). Plaga (...) umiała też liczyć: muzułmanie z Mardinu zabili ponad 10 000 chrześcijan ze swego miasta i okolic, więc ponad 10 000 spośród nich dotknęła mściwa choroba". Eksterminacja i tyfus spowodowały, że Mardin stracił dwie trzecie mieszkańców.

Plaga „wyróżniała" kurdyjskie wioski, które odznaczyły się zbrodniczością wobec chrześcijan i ich grabieżą. W jednej z nich z 14 rodzin zachowała się jedna osoba. Spośród 125 podległych Mardinowi żandarmów co najmniej stu pochłonęła zaraza. Ofiary tyfusu ginęły obok złotych monet, dywanów, zapasów żywności zabranych chrześcijanom. Autor opisuje i przypadki pojedynczych zbrodniarzy, umierających w strasznych bólach, odchodzenia od zmysłów, z powodu nieznośnych, obsesyjnych wizji.

Książka jest dokumentem niezwykle starannie opracowanym, w którym podano źródła i dokonano ich analizy, oceniono wartość publikowanego rękopisu, zacytowano listy i dokumenty, podano wybraną bibliografię. Uzupełniono rzecz o indeks imion, nazwy grup etnicznych, plemion i ludów oraz indeks nazw geograficznych.

Polskojęzyczny czytelnik otrzymał niezwykłą książkę, dokument czasów ludobójstwa. Niech będzie przestrogą.

Anna Radziukiewicz
fot. **wikipedia.org**

Jacques Rhétoré, *Chrześcijanie na pożarcie bestiom*, Warszawa 2019, ss. 452.

Łączy i wspiera

Powszechne są bractwa, ale w Warszawie działa *Siestryczestwo*, skupiające kobiety ze stołecznych parafii, choć i ono pozostaje częścią bractwa św. Grzegorza Peradze przy parafii metropolitalnej św. Marii Magdaleny. Powstało z inicjatywy metropolity jesienią 1998 roku, czyli zaraz po obraniu władyki **Sawy** na tron metropolitalny. Może dlatego, że władyka wśród parafianek widział osobę, która ze wszech miar nadawała się na funkcję przewodniczącej. Nazywał ją Pułkownikową – była żoną pułkownika. To **Luba Augustynowicz**, pełna energii, otwarta na każdego człowieka, szybko nawiązująca z ludźmi kontakt, zarówno z prymasem Glempem, jak i bezdomnym, zorganizowana, zawsze uśmiechnięta, elegancka – tak charakteryzują ją ci, którzy ją znali. Nie było osoby, która by jej nie lubiła. Uczyła rosyjskiego. Na emeryturze oddała się pracy społecznej. 8 października 2015 roku obchodziła 90 urodziny, ciągle przewodnicząc *Siestryczestwu*. Z tej okazji odwiedził ją w jej domu metropolita Sawa, nadając order II stopnia św. Marii Magdaleny, dziękując za pomoc, jaką niosła potrzebującym, niepełnosprawnym, bezdomnym. Przyniósł kosz słodyczy. Przyjechał razem z o. **Mirosławem Lewczakiem**, duchowym opiekunem *Siestryczestwa*. Dwa i pół roku później, 27 maja 2018 roku, zmarła.

Metropolita najpierw poznał ojca pani Luby. Był starostą w monasterskiej cerkwi w Jabłecznej, kiedy władyka był tam archimandrytą. Później zaprzyjaźnił się z jej całą rodziną.

Po Lubie Augustynowicz funkcję przewodniczącej przejęła **Olga Charkiewicz**, też nauczycielka rosyjskiego, która studia filologiczne kończyła w Moskwie, ucząc języka także w seminarium duchownym.



Siestryczestwo zapisało w swoich celach – integrowanie prawosławnego środowiska, pielęgnowanie wiary, kultywowanie tradycji i obrzędów, działalność charytatywną. Ale to chyba ostatni cel stał się zadaniem najważniejszym.



Sekcją charytatywną kieruje od 2000 roku matuszka **Helena Kuprjanowicz**. Panie z *siestryczestwa* wyszukują osoby chore, samotne, ubogie. Notują ich adresy, telefony, nazwiska, imiona – Anatol, Wiera, Luba, Zinaida, Olga, Siergiej, Stanisław, Zofia, Eugenia, uzupełniają dane – inwalida, niepełnosprawny, chora na raka, opuszczona przez rodzinę, nie wychodzi z domu, nie ma na leki. Odwiedzają te osoby w ich domach. Rozmawiają, pocieszają, pomagają. Na Paschę i na święta Narodzenia Chrystusa robią około pięćdziesięciu paczek i roznoszą je swoim podopiecznym. Pieniądze na paczki, czy leki gromadzą ze swoich składek, bywa że otrzymają wsparcie sponsora.

– Oglądamy nieraz ubóstwo, jakie trudno sobie wyobrazić – mówi matuszka Helena. – Pan Szczepan, były nauczyciel, zajmuje jeden mały pokój na czwartym piętrze, bez żadnych wygód, nie odnawiany gdzieś od trzydziestu lat. Piec węglowy zepsuty. Pełno plastikowych worków z „dobrami" wygrzebanymi ze śmietników. Z opieki społecznej otrzymuje 250 złotych. Ma dobrych sąsiadów. Często przynoszą mu zupy. Nie pije. Jest spokojny. Proponowaliśmy mu miejsce w domu opieki Betania w Stanisławowie. Ale on woli swoją wolność.

Bo *Siestryczestwo* nieraz pomaga załatwić innym osobom formalności związane z przeprowadzką do domu opieki i przede wszystkim znalezieniem w takim domu miejsca.

Inna wizyta, u pani Haliny. Jej mąż i syn zmarli. Ją ograbili i pobili w jej mieszkaniu narkomani. Jest jeszcze dość energiczna i sprawna, choć boi się kogokolwiek wpuszczać do mieszkania, „płącze się".

Odwiedzali pewną matuszkę, dziewięćdziesięcioletnią, po ciężkiej operacji. Emerytura nie wystarczała jej na leki. Pomoc była niezbędna.

Jadą też do aresztu śledczego i ośrodka dla cudzoziemców koło Grójca, by wesprzeć tam obecnych dobrym słowem czy paczką. Przekazują swoją pomoc za granicę, głównie na Ukrainę do Poczajowa, korzystając z tego, że pielgrzymi tam się udający mogą zabrać zgromadzoną żywność, odzież, czy obuwie. I o potrzebujących na Białorusi pamiętają, ale także w naszych domach opieki – w Białowieży, Hajnówce, w Bieszczadach.

Uczą się, jak inni swą pomoc organizują.

– Dlatego chętnie uczestniczymy na przykład w forum organizowanym przez Chrześcijańską Akademię Teologiczną „Odmienić los człowieka", a dotyczącym pomocy potrzebującym, albo w ekumenicznym spotkaniu, odbywającym się pod hasłem „Miłosierdzie – znakiem chrześcijan".

Ale niesienie pomocy charytatywnej daje też możliwość kontaktu z osobami niezwykłymi. Taką spotkała matuszka Helena w pewnym ośrodku leczniczo-rehabilitacyjnym nad osobami starszymi. Profesorka anglistka, która kończyła właśnie 99 lat. Chodziła, cały czas starała się chodzić, najczęściej z kijkami. Nigdy nie chorowała i nie brała żadnych leków. Sprawna umysłowo, choć to mało powiedziane – o świetnej pamięci, w którą „wklejone" są wiersze jeszcze z dzieciństwa i młodości. Pochodziła z Gdańska. Mąż Anglik. Mieszkała też w Niemczech. Córka jest tłumaczem z angielskiego i francuskiego.

– Fantastyczna – sumuje matuszka.

I przywołuje inną osobę, Rosjankę Eufrozynę, mieszkającą w Warszawie na Bednarskiej. Kiedyś przyszła na zorganizowane przez *Siestryczestwo* spotkanie z rosyjską poezją. Po prezentacji utworów dyskusja, ale i zachęta – może ktoś chce zadeklamować swój ulubiony wiersz? Wstała pani Eufrozyna. „Oniegin" Puszkina okazał się jej ulubionym „wierszem". Poemat znała na pamięć, deklamując go z pół godziny. Miała wtedy 90 lat.

Wszystkich wprawiła w osłupienie. A świetlica była „zabita”.

Siestryczestwo lubi organizować spotkania z poezją – białoruską, ukraińską, łemkowską, polską. „Siostry” pochodzą z pokolenia, które uczyło się dostrzegać piękno poezji. To głównie emerytki. Uczyły się jej na pamięć, tym samym uczyły się ją kochać. Dziś tak zwane podstawy programowe, na bazie których tworzy się podręczniki, ograniczają bardzo poezję, „bo uczniowie jej nie rozumieją”, jak usłyszałam, pracując nad serią podręczników białoruskich.

Na takie poetyckie spotkanie zaproszono między innymi poetki **Aleksandrę Szawełło-Nowacką** z Białegostoku czy **Helenę Aniszewską**, tworzącą w językach białoruskim i polskim, a dzielącą swój czas na emeryturze na zimowy – w Warszawie i letni – w Białowieży.

Siestryczestwo, skupiające około pięćdziesięciu osób, także z Ukrainy, Rosji, Mołdawii, ma spotkania co miesiąc w ostatnią niedzielę po Liturgii. Podsumowuje co zrobiło, kreśli plany na kolejny miesiąc i uczy się. Zwykle o. Mirosław Lewczak, jako do ubiegłego roku opiekun organizacji, przygotowuje referat na tematy cerkiewno-duchowe. Odpowiada na pytania. Teraz opiekunem duchowym jest o. **Jerzy Kulik**.

– Panie z *Sietryczestwa* chętnie biorą udział w spotkaniach ekumenicznych – uzupełnia o. Mirosław. Ale nie tylko spotkaniach, bo i w pracy Komisji Kobiet Polskich w Ruchu Ekumenicznym przy katedrze św. Floriana w Warszawie na Pradze oraz Stowarzyszeniu Pokoju i Pojednania EFFATHA, skupiającym ludzi różnych wyznań, narodowości i poglądów.

Siestryczestwo nie tylko daje. Ono również bierze – radość z bycia razem, tworzenia wspólnego dzieła, wychodzenia przez niektórych ze swojej samotności, czucia się potrzebnym i oczekiwanym. Bo ono jest wspólnotą. A ta łączy i wspiera.

Anna Radziukiewicz
fot. **o. Mirosław Lewczak**
archiwum Siestryczestwa

Jak genetyk ihumenią została

O swojej drodze z laboratorium genetycznego do Francji, a w końcu do monasteru, o swoim ojcu duchowym św. starcu Gabrielu (Urgebadze) oraz o przywróceniu monastycyzmu w postsowieckiej Gruzji, opowiada ihumenia Elżbieta (Zedgenidze).

Z zawodu jestem genetykiem. Nie byłam religijna w młodości, a przyszłam do klasztoru, by modlić się za moich przodków. W moim rodzie był wielki męczennik **Jotam Zedgenidze**, który żył w XV wieku i za cenę swego życia uratował króla **Jerzego VIII**. Dowiedziałam się już po przybyciu do monasteru. Ukończyłam wydział biologii w Tbilisi, a następnie studia podyplomowe w Moskwie. Tam obroniłam pracę magisterską z immunologii i alergologii i pracowałam w Centralnym Laboratorium Naukowo-Badawczym. Kiedy wróciłam do Tbilisi, zostałam kierownikiem laboratorium badań nad AIDS. To było w 1982 roku, prowadziłam je przez wiele lat.

Czasami szłam do cerkwi – gdy przyjeżdżali goście i należało pokazać im historyczne miejsca Gruzji, zabierałam ich do świątyń. Ale ogólnie byłam niewierząca. Za to moja babcia była religijna. Pochodziła z rodu Bagrationi i podczas rewolucji wyemigrowała do Francji, do Paryża. Jej siostry pozostały, stały się niewierzące, ale ona zachowała wiarę. Zawsze zapraszała mnie do Francji, ale nigdy nie dostałam wizy. Pewnego dnia, kiedy odkryliśmy wirusa AIDS, specjaliści z Ameryki i Rosji przybyli do nas, aby wziąć udział w badaniach nad szczepionką. Był rok 1989 – taki czas, że KGB stało za każdym rogiem,



abyśmy nie mogli nic więcej powiedzieć Amerykanom. I jeden z KGB-owców zachorował. Miał pryszcze na twarzy. Zaczęłam go leczyć i wkrótce wyzdrowiał. – Jak mam ci dziękować? Chcesz pieniędzy? – Nie trzeba, mam dobrą pensję. Poprosiłam o wizę do Francji. – Masz świetną pracę, więc nie uciekniesz, dawaj paszport. I dostałam wizę na rok.

Babcia była bardzo podekscytowana moim przyjazdem. Chciałam kontynuować pracę, więc zabrała mnie do Instytutu Pasteura. Radziecki dyplom dla Francuzów nic nie znaczył, ale zgodzili się mnie zatrudnić pod warunkiem, że najpierw przez sześć miesięcy będę pracowała jako technik laboratoryjny i ukończę kilka kursów.

Babcia często mnie namawiała, żebym poszła z nią do cerkwi. I pewnego dnia budzi mnie o 6 rano: – Zbieraj się, idziemy na służbę.

Jakoś mnie namówiła. W Paryżu znajduje się gruzińska cerkiew św. Nino, którą dla emigrantów założył św. męczennik Grzegorz (Peradze) – zginął w Auschwitz w 1942 roku. Ale w tym czasie nie było tam batiuszki, więc babcia chodziła do greckiej cerkiewki. Przed wyjściem wypiłam kawę i poszłyśmy na Liturgię. W cerkwi babcia mówi: – Idź do *priczastija*. – A co to jest? – Później ci wyjaśnię. Ale najpierw idź do spowiedzi.

Batiuszka mówił tylko po grecku. Spojrzał na mnie i powiedział: – Niech wszystko, czym zgrzeszyła od urodzenia, będzie na mnie. I taka to była spowiedź.

Powiedziałam, że piłam kawę, widziałem przecież, że babcia zawsze chodziła na Liturgie na czczo. Odpowiedziała, że nie szkodzi. W ten sposób po raz pierwszy w życiu poszłam do *priczastija*. Patrzę, a tam wszyscy komunikowani są z jednej łyżeczki. Przeraziłam się więc, że zaraz się czymś zarażę! Ale poszłam. Następnego dnia obudziłam się i stwierdziłam: Wracam do Tbilisi!

Do pracy przyjęli mnie bez problemu, gdyż brakowało specjalistów. Miesiąc później jednak coś zaczęło mnie dręczyć. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, nie wiedziałam co robić. Ciągle źle się czułam i nie wiedziałam dlaczego. Pewnego popołudnia po powrocie do domu mechanicznie włączyłam telewizor, choć nigdy nie miałam takiego nawyku. A tam pokazywano monaster Piuchticki w Estonii. I właśnie śpiewali *Pieśń Cherubinów*. Momentalnie postanowiłam: idę do klasztoru. I wtedy zadzwonił mój kolega z pracy, coś chciał ode mnie. Mówię mu: – Przyjdź dzisiaj. Jutro mnie tu nie będzie. – Dokąd jedziesz? – Do Monasteru Piuchtickiego. Chcę zostać mniszką. – Zwariowałaś? Dlaczego do Piuchtic? W Gruzji też jest żeński klasztor, jedź do Mcchety. – Nie, tam na pewno jakiś ksiądz będzie z KGB, nie chcę tam iść. – Tam nie ma KGB, za to jest starzec Gabriel. Jedź, spodoba ci się. A jak się nie spodoba, pojedziesz do Piuchtic.

I pojechałam do Mcchety swoim samochodem. Przyjechałam, nie mając pojęcia o życiu religijnym. Kiedy zobaczył mnie o. **Gabriel**, powiedział: – O! Nasza przyjechała. Ileż wspaniałych rzeczy zrobimy razem! Zostań i mieszkaj tu z nami.

I tak zostałam w klasztorze. Najtrudniej było nauczyć się cierpliwości. Pokora i niepotępianie nikogo są naprawdę bardzo trudne. O. Gabriel uczył nas na swoim przykładzie. Stał się moim mentorem, duchowym ojcem i bardzo pomagał w życiu zakonnym, o którym nie miałam pojęcia. Był bystry, udawał głupiego i modlił się prawie przez całą dobę. Jego „głupota” nie zawstydzała mnie i nie zawstydzała nikogo, ponieważ widzieliśmy, że jest wielkim starcem. Było to widoczne nawet na jego twarzy – cały promieniał i miał w sobie tyle miłości, że cokolwiek powiedział, wszyscy to robili. Kiedy miałam się spowiadać, nie musiałam nic mówić. Zawsze mnie wyprzedzał: – A co, popadłaś w przygnębienie? Musisz się modlić i pracować cały czas, wtedy nigdy nie będziesz przygnębiona. Podczas nabożeństw był nie na ziemi, a w niebie. Czuliśmy się tak, jakbyśmy byli w raju. Kilka razy wchodziłam do jego *kieli* i widziałam jak się modlił, odrywając się 20 centymetrów od ziemi. To był prawdziwy święty. O. Gabriel zawsze mówił: – Kochajcie się wzajemnie, każdego człowieka! A kiedy uchylił mantię, widoczne były żelazne okowy, którymi był opasany oraz napis na nich: „Bóg jest miłością”. Nauczał: – Nigdy nikogo nie osądzaj. Niech to będzie Twoja dewiza. Jeśli nie możesz kochać wszystkich, przynajmniej nie osądzaj nikogo.

Był taki przypadek: w okolicy krążyła banda i pewnego dnia ci ludzie przyszli z bronią do klasztoru. O. Gabriel wyszedł do nich i powiedział: – Stójcie, bandyci! Myśleliśmy, że teraz będą strzelać, już wyciągnęli broń. I wtedy ich przywódca, gdy spojrzał w twarz starca, powiedział: – Zostawcie go w spokoju. I czyńcie to, co wam każe! Ojciec rozkazał: – Rzućcie broń na ziemię! Rzucili. – Wynoście się z klasztoru! Wynieśli się. – A teraz idźcie do świątyni i módlcie się! I ci bandyci jak owce poszli za nim do świątyni i modlili się, a potem pokłonili się przed starcem i odeszli.

Innym razem do Gruzji przyjechał **Anatol Kaszpirowski**. O. Gabriel wiedział o tym i ostrzegał, że to szarlatan, zły duch i że wszyscy musimy się modlić. W efekcie Kaszpirowski nie mógł odbyć swojej sesji, transmisje telewizyjne nie udały się i dwa dni później wyjechał.

Kiedyś poprosiłam starca, by opowiedział o swojej drodze do monaszestwa. Gdy miał 12 lat, jego ojciec brał czynny udział w niszczeniu świątyń. Gabriel nigdy nie czytał Ewangelii, ale chodził i zbierał ikony, które ludzie wyrzucali. Przyklejał je do kartonu



Monaster Samtavro

i robił ramki z puszek. W ten sposób zamienił swój pokój w cerkiew. Pewnego razu spotkała go Rosjanka i zapytała: – Dlaczego to zbierasz? – Na tych zdjęciach są święte oblicza. – A Ewangelię czytałeś? – Nie. – To przeczytaj, a dowiesz się wszystkiego.

Zaczął więc zbierać pieniądze na zakup księgi i w ciągu dwóch lat zebrał 70 rubli. Udał się do bukinistów. Przeszedł jarmark wzdłuż i wszerz, ale Ewangelii nie znalazł. W drodze powrotnej pewien starzec spytał go: – Czego szukasz? – Ewangelii. – Mam ją. – A ile kosztuje? – Kosztuje tyle, ile masz. Dokładnie 70 rubli. Dałem mu więc te 70 rubli, wziąłem Ewangelię i rozradowany pobiegłem do domu. Ale potem obejrzałem się i przypomniałem sobie, że przecież zapomniałem podziękować. Obróciłem się, ale on zniknął.

Po przeczytaniu księgi Gabriel postanowił zostać mnichem. Ale rodzice nie chcieli o tym nawet słyszeć. Wtedy udał się do starego klasztoru Betania. Mieszkał tam około siedmiu lat i został mnichem. Potem przyszedł do Mcchety, ale ihumenia nie wpuściła go – mężczyzna nie może żyć w żeńskim klasztorze! Siedział więc przez dwa tygodnie przed bramą, tam spał, matka nosiła mu jedzenie, a potem ihumenia wpuściła o. Gabriela, ponieważ we śnie ukazała się jej Matka Boża i powiedziała: – On będzie pilnował twojego klasztoru. Od tego czasu starzec nigdy nie rozstał się z Samtavro.

Kiedyś był taki przypadek. Byłam w nowicjacie i ihumenia pobłogosławiła na wyjazd do monasteru św. Antoniego w Martkopi. Ale o. Gabriel się sprzeciwił. Nie posłuchałyśmy. Wtedy starzec odpowiedział: – Poproszę Boga, żebyście wróciły całe i zdrowe. Dojechałyśmy normalnie. Ale w drodze powrotnej samochód zepsuł się na środku drogi. I nagle widzę w lusterku wstecznym, że pędzi na nas inny samochód. Uderzył w nas, przekoziołkowałyśmy kilka razy, samochód przeleciał 15 metrów i prawie nic z niego nie zostało. Ale my wyszłyśmy cało, nawet bez zadrapań.

Pewnego razu powiedziano nam, że przyjeżdża patriarcha **Eliasz II** i będzie u nas służył. Do ołtarza wchodzi jakiś kapłan, był bardzo pijany i chce wziąć od patriarchy błogosławieństwo. Prawie zderzył się z nim i czasza o mało nie wypadła z ręki *swiatijszego*. Starzec Gabriel długo nie mógł dojść do siebie: – Jakże on, taki pijany i wchodzi do ołtarza?! Minęły dwa lata i znowu patriarcha służy u nas. Ale starca wezwano na pogrzeb, po prostu błagano go, by przyszedł i nie mógł odmówić. A potem na stypie nie chcieli go wypuścić, dopóki nie wypije za zmarłego. Starzec odmawiał, gospodarz nalegał. Cóż robić, wypił. – Wychyliłem kieliszek i opiłem się od jednego łyka – wspominał. – Przecież nigdy nie piłem. Potem pobiegł do świątyni, wbiegł do ołtarza i powtórzyła się ta sama historia: prosząc o błogosławieństwo patriarchy, o mało nie wytrącił mu czaszy! – I natychmiast zdałem sobie sprawę, że jestem ukarany za potępienie tamtego batiuszki. I od tego czasu starzec pozwalał sobie na szklaneczkę wina podczas uroczystości. Mawiał: – Czasem piję wino, żeby nie wyobrażać sobie, że jestem już święty i nie popadać w dumę. Myślę, że to było jego *jurodztwo*. Sama przecież nieraz widziałem, że pił, ale nigdy nie był pijany, nie było czuć nawet zapachu. Pił, żeby ludzie źle o nim myśleli i nie chwalili go.

Starzec Gabriel, będąc jasnowidzem, doskonale wiedział o moich wątpliwościach i o mojej walce wewnętrznej. Pewnego dnia zawołał mnie: – Napijmy się razem kawy. – Jak błogosławicie Ojcze – mówię. Poszliśmy do jego *kieli*, wziął miskę, brudną niemożebnie. Wziął chusteczkę, wytrąbił w nią nos, wytarł nią miskę, nalał tam kawę i podał mi. Brało mnie na wymioty, ale tak bardzo kochałam starca, że wypiłam. – Teraz możesz zostać mniszką – powiedział – Zostaniesz! Nie ma o czym gadać!

Przez trzy lata byłam nowicjuszką w Samtavro, potem rok inokinią w Suchumi. Następnie przyjęłam śluby zakonne, a święty patriarcha wysłał mnie z kilkoma siostrami do miejsca spoczynku św. Nino w Bodbe. Kiedy nam to powiedział, prawie zemdlałam. W dawnym klasztorze było bowiem muzeum Lenina i teraz wszystko należało zaczynać od zera. Był głód, ważyłam tylko 48 kilogramów. To był prawdziwy horror. Nie było nawet łóżek. Spałyśmy na półkach tego muzeum. Tej zimy – 1993/1994 – było tak dużo śniegu, że drogę zawiało zupełnie i zostałyśmy odcięte od świata. Wyłączyli też światło i gaz. Nie było pieniędzy, a całe nasze pożywienie składało się ze starej pszenicy, która została po byłych kołchozowych świniach. Była brudna, ale moczyłyśmy ją na noc i jadłyśmy na surowo. Ale potem okoliczni mieszkańcy zaczęli pomagać jak kto mógł. Ostatecznie w dwa lata odbudowałyśmy monaster. U nas w Gruzji po pierestrojce otworzyło się wiele klasztorów i jest wielu mnichów, ale w ostatnich kilku latach zauważam ochłodzenie stosunku ludzi i do monastycyzmu, i ogólnie do wiary. Młodzi ludzie wolą oglądać się na Zachód…

Dziś z błogosławieństwa patriarchy, służę przy cerkwi św. Aleksandra Newskiego w Tbilisi. Karmimy potrzebujących i żebraków. Codziennie siedemdziesiąt osób. Bardzo lubię z nimi rozmawiać, lubię kiedy się cieszą. Bo ich radość udziela się i mnie.

Teraz jestem tu, a co będzie później... jak Bóg da!

na podst. pravmir.ru
Paweł Krysa, fot. **pravmir.ru**

Szkoła modlitwy

Modlitwa wewnętrzna, nieustanna, czysta, Jezusowa, hezychastyczna, modlitwa umysłu albo umysłu w sercu – tak ją nazywali mistrzowie duchowości chrześcijańskiego Wschodu. I to o niej jest książka „Nowa Filokalia. Droga do modlitwy serca” ks. profesora Józefa Naumowicza. Rzecz ukazała się w krakowskim wydawnictwie Esprit, a jej recenzentami naukowymi są biskup profesor Michał Janocha, tegoroczny laureat Nagrody Ostrogskiego, i ks. dr Henryk Paprocki.

Dlaczego „nowa”? Ponieważ ten sam autor przed laty wybrał teksty filokaliczne i przełożył je na polski, tytułując „Filokalia. Teksty o modlitwie serca”, wtedy w układzie chronologicznym, teraz problemowym. Sięgnął do bogatej i różnorodnej antologii greckiej, wciąż żywej, pomocnej przy duchowym doskonaleniu się.

Autor pisze o „Nowej Filokalii”: „Mam nadzieję, że przybliży autentyczną myśl chrześcijańskiego Wschodu, co wydaje się potrzebne zwłaszcza dziś, gdy tak wielu chrześcijan pociągają dalekowschodnie, hinduskie czy buddyjskie, metody ascezy i medytacji”.

Autor, ksiądz rzymskokatolicki i duszpasterz Ormian, jest znawcą historii wczesnego chrześcijaństwa i późnego antyku oraz historii Bizancjum i starożytnej Armenii. Pracuje na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Jest wybitnym filologiem i patrologiem.

Książka jest prezentem dla wszystkich chrześcijan w Polsce, ale dla prawosławnych szczególnie, bo to do ich źródeł duchowości, stromą ścieżką wiodącą do Boga, prowadzi autor, odpowiadając przy pomocy wyboru tekstów – jaka powinna być modlitwa? Kiedy jest prawdziwa? Czy może być nieustanna? Jak zmienia ludzkie życie?

Rozsiewa, jako wytrawny znawca, po całym wydaniu swoje krótkie komentarze jako wprowadzenia do rozdziałów oraz sumując to, co zostało w rozdziale powiedziane, tworząc jakby podręcznik do nauki wewnętrznej modlitwy.

Na końcu wydania 25 stron zajmuje niezwykle przydatny dodatek – słownik duchowości oraz dane biograficzne filokalicznych autorów, cytowanych w książce. A ponieważ przytaczane są myśli i rady autorów, żyjących na przestrzeni ponad tysiąca lat, noty porządkują biogramy na osi czasu. W słowniku wyjaśniane są takie pojęcia jak rozum, umysł, uwaga, uważność, mistyka, medytacja, straż serca, hezychia. Bywa, że pod wpływem kultów dalekowschodnich, ale i mistyki zachodniej, wkłada się do tych pojęć jakieś wymieszane treści, rozmijające się z umiłowaniem piękna i prawdy. Ks. **Józef Naumowicz** wiedzie nas na właściwą drogę. Może więc warto zacząć lekturę od słownika?

Na początku pisze o rosyjskim pielgrzymie, czyli sławnym dziele „Szczere opowieści pielgrzyma” (I wydanie Kazań 1881). Carską Rosję przemierza wędrowiec z Biblią w ręku i *Dobrotolubijem*, czyli Filokalią. Szuka Boga. Praktykuje nieustanną modlitwę. Dlaczego został przywołany? Pewnie dlatego, by pokazać, że modlitwę Jezusową praktykuje zwykły człowiek, wcale nie mnich. Jest więc sygnał, że sztukę tworzenia tej modlitwy adresuje autor do szerokiego grona, ludzi, którzy nie podejmują ciężkich wyrzeczeń i umartwień, nie żyją na pustyni, a w środku miasta, „w świecie”, ale chcą się otworzyć na działanie łaski Świętego Ducha. „Ta idea przenika całą Filokalię, nawet jeśli zawiera ona głównie teksty autorów monastycznych” – czytamy.

Czym jest Filokalia jako antologia? Powstała w XVIII wieku na Atosie, największym ośrodku monastycznym w całym chrześcijaństwie, na którym w wiekach XIII i XIV najpełniej rozwinęła się modlitwa Jezusowa i była tam ciągle praktykowana, ale z różną intensywnością. Dlatego na Świętej Górze znajdowało się najwięcej tekstów źródłowych na jej temat. **Makary**, wygnany przez tureckich okupantów z Koryntu biskup, zaczął gromadzić na Atosie manuskrypty, przywiezione także z wysp Chios i Patmos i razem z mnichem **Nikodemem Hagiorytą** mógł wydać w 1782 roku w Wenecji antologię „Filokalia”, co znaczy umiłowanie piękna (lub dobra). Zawierała 60 pism 38 autorów. Stała się kopalnią duchowej myśli. Zawiera traktaty ojców pustyni i innych duchowych mistrzów z IV-VI wieku, mnichów monasterów na Synaju i w Konstantynopolu i wreszcie dzieła pochodzące z XIII-XV wieku, głównie powstające w monasterach Atosu. Doczekała się pięciu wydań i wielu przekładów na inne języki, w tym na zachodnie, nie licząc wyboru tekstów.

Na Rusi ogromne zasługi w upowszechnieniu Filokalii w postaci tłumaczeń i nowych redakcji położył **Paisjusz Wieliczkowski** (tłumaczenie częściowe na cerkiewnosłowiański, 1793) i wielki uczony i święty **Teofan Zatwornik** (na rosyjski tłumaczenie pełne i uzupełnione o kolejne teksty ascetyczne, 1866).

„Nowa Filokalia”, zredagowana przez ks. Józefa Naumowicza, zawiera teksty z antologii greckiej Nikodema i Makarego, uzupełnione tekstami dodanymi przez Teofana Zatwornika do „Filokalii” w wersji rosyjskiej.

„Nowa Filokalia” proponuje lekturę pism ascetycznych. Czytając je uważnie możemy karmić rozum i duszę świętymi myślami oraz pobudzać je do modlitwy. Świadomość pożytków z tej lektury mieli choćby ostatni autorzy filokaliczni. I tak **Teoleptos** z Filadelfii (1250-1322) radził: „Jeśli postrzeżesz, że twoja modlitwa się załamuje, szukaj pomocy w książce. Czytaj ją uważnie, by zrozumieć jej znaczenie”. **Grzegorz** z Synaju (1255-1346) dodaje: „Wciąż czytaj to, co dotyczy duchowego wyciszenia (hezychii) i modlitwy. (…) W ten sposób doznasz

wewnętrznego umocnienia, nabierzesz siły, by żarliwie się modlić”.

Czytajmy i my tych, którzy otrzymali nauki poprzez doświadczenie i łaskę – zaleca **Grzegorz Palamas** (1296-1359) – a nie tych, którzy oddali się nauczaniu z pychy i zamiłowania do sporów o słowa.

Ach, jakże dzisiaj mamy wielu, którzy oddali się „zamiłowaniu do sporów o słowa”. Sięgajmy więc po „Nową Filokalię” jak źródło czystej wody. Tam łaska i doświadczenie.

Pierwszy rozdział, a jest ich siedem, traktuje o podstawowej modlitwie codziennej, praktykowanej przez pierwszych chrześcijan w domu, w drodze, przy pracy, przed jedzeniem, podróżą, pójściem do pracy, nawet do łaźni, o trzeciej, szóstej i dziewiątej godzinie dnia, według oczywiście czasu bizantyńskiego, a naszego około dziewiątej, dwunastej i piętnastej, także o północy. I już z tego rozdziału wynika, że prawdziwy chrześcijanin powinien pragnąć zwracać się do Boga w każdym czasie i na każdym miejscu – zachowywać pamięć o Nim i przeżywać Jego obecność.

Poprzez teksty świętych ojców uzyskujemy odpowiedź na pytanie – jakim trzeba być na modlitwie? Należy zdać sobie sprawę, że w modlitwie stajemy przed obliczem Boga, bo oznacza ona przebywanie, obcowanie, spotkanie. Przed nią więc trzeba skupić się, aby zachować uwagę i gorliwość w całej modlitwie, by nie było jakichkolwiek oznak lekceważenia Boga. Usunąć wszelkie pokusy i rozproszone myśli, także pamięć krzywd doznanych od ludzi niesprawiedliwych. Nie można przychodzić na modlitwę w gniewie. I nie może prosić w modlitwie o przebaczenie grzechów ten, kto nie odpuścił przewinień bratu swemu.

Jaka inna ważna nauka zawarta jest w pierwszym rozdziale? Jakże często nasza modlitwa to wyjawianie Bogu swoich potrzeb, a jej cel to spełnienie naszych próśb przez Boga. To postawa interesowności, zgodna z ludowym powiedzeniem: *Jak trywoha to da Boha* / Jak trwoga to do Boga. Tymczasem ojcowie mówią, że modlitwa jest przede wszystkim wyrazem pragnienia ciągłego bycia z Bogiem, przeżywania Jego bliskości, wyrazem uznania swojej zależności od Boga, wielbienia Go i dziękczynienia za wszystko. **Klemens Aleksandryjski** pisze: „Wierzący coraz ściślej przylega do Boga, zarazem staje się wzniosły i radosny we wszystkim; wzniosły – przez stałe odnoszenie się do tego, co Boskie, radosny zaś – przez uświadamianie sobie wielkości dóbr ludzkich, jakie nam darował Bóg”.

Rozdział drugi przybliża tęsknotę za modlitwą nieustanną. Jak to nieustanną? Przecież śpimy, pracujemy, jemy? – możemy wołać ze zdumieniem. Ale św. Paweł zalecał chrześcijanom z Tesalonik: „Nieustannie się módlcie”. I oto problem nieustannej modlitwy staje się jednym z głównych tematów Filokalii. Bo nieustanna modlitwa, wyjaśniają autorzy filokaliczni, to także ciągła pamięć o Bogu, kiedy nie rozdziela się czasu trwania w Jego obecności, czyli klasycznej modlitwy, od zwykłych czynności życiowych – pracy, posiłków, spotkań, odpoczynku – kiedy mamy świadomość, że Stwórca patrzy na nas, jest przed nami, a także w nas. A my wobec Jego majestatu i woli wykonujemy swoje obowiązki. Ale ciągła „pamięć o Bogu” ma być także aktem wdzięczności wobec Stwórcy, zauważaniem i odkrywaniem dobrodziejstwa i miłości Boga, dziękowaniem Mu za wszystko i sławieniem Go czynami, słowami i w swym wnętrzu. To taka modlitwa wdzięczności, także pośród porażek i przeciwności, które uczą przeżywać trudne chwile i uczą twardo stać w wierze. **Bazyli Wielki** zachęca do pewnego „stanu modlitwy”, czyli stałej postawy duchowej, która pozwala kierować ku Bogu wszystkie myśli, słowa i czyny, także modlitwy i każdą rzetelną pracę.

Dodam, że z doświadczenia ojców wynika, iż regularna modlitwa prowadzi do powstania „modlitewnego stanu”, a ten nieustannie kieruje myśl ku Bogu.

Chrześcijanie nie odrzucają wartości pracy. Robiła to sekta mesalian, rozwijająca się na początku V wieku, potępiona na soborze w Efezie (431), całe swe życie poświęcając modlitwie i tracąc równowagę między modlitwą i życiem czynnym. Mesalianie poszukiwali nastrojowości w życiu religijnym, co jest błądzeniem. Chrześcijanie uważają, że trzeba wykonywać jakąś pracę fizyczną, aby zapobiegać duchowemu zniechęceniu.

Kolejny rozdział traktuje o poszukiwaniu modlitwy czystej, a to poszukiwanie intensywnie rozwijało się w IV-VI wiekach, kiedy ojcowie wychodzili na pustynie Egiptu, Syrii lub Judei, aby pogłębić swą więź z Bogiem. Tak czynił między innymi **Diadoch** z Fotyki, **Pseudo-Makary**, **Marek Asceta**, **Maksym Wyznawca**, **Ewagriusz** z Pontu. Zadziwiające, że ich nauczanie, wynikające z doświadczenia, przetrwało tyle wieków i epok i jest nieustannie inspirujące i żywe dla nas, nieraz pogubionych we współczesnych prądach. Choćby nauczanie o „chorobach duchowych”, owych *pathos*, czy tłumacząc z greki na polski namiętnościach – pragnienie bogactwa, rozkoszy, sławy, uczucie złości, zazdrości, gniewu albo przygnębienia i rezygnacji, czy też pychy.

Podstawy nauki o namiętnościach i ich szkodliwości według nauczania ojców pustyni powinny znaleźć się w szkolnych podręcznikach. To dopiero byłaby praktyczna wiedza – jak usuwać z naszego serca bezużyteczne rumowisko naszych namiętności. Jak położyć fundamenty prostoty i pokory. Jakże wielu uchroniłaby to przed tragediami.

W tym rozdziale autor dobiera takie fragmenty nauczania ojców, by podpowiedzieć m.in., jak skupić myśli na modlitwie, w jaki sposób gromadzone urazy i złość przeszkadzają w modlitwie – Ewagriusz z Pontu porównuje taką modlitwę do czerpania wody dziurawym dzbanem – jak odsuwać troski i marzenia, natrętne myśli, także jak modlić się psalmami, jak uczynić umysł, by pozostawał „głuchym i niemym” na doznania zmysłowe, jak wykluczyć wyobraźnię. Chodzi o to, by czysty umysł stanął przed Bogiem, wolny od myślenia refleksyjnego, wyobrażeń, kształtów, był gotów jedynie na spotkanie ze Stwórcą. Wtedy dopie-



ro następuje czysta rozmowa umysłu z Bogiem. Bo modlitwa to nie filozofowanie na temat Boga, tworzenie teorii czy wyobrażeń na Jego temat, lecz spotkanie żywego Boga. Przed Bogiem powinien też stanąć człowiek skruszony: „Z całej duszy uważaj, że jesteś bardziej grzeszny niż wszyscy ludzie… Niech taka myśl wzbudzi twoją skruchę, żal i łzy. (…) Jeśli nie masz w sobie skruchy, to znak, że jesteś próżny" – podpowiadają **Kalikst** i **Ignacy Ksantopulos** (XIV w.)

Modlitwa Jezusowa, czyli serca, umysłu, czysta, hezychastyczna, nieustanna modlitwa wewnętrzna, skupiona na wezwaniu skierowanym do Chrystusa, w pełnej formie wykształciła się i rozwinęła w V-XII wiekach. Zasadnicza uwaga skupia się w niej na osobie Chrystusa i jego obecności, podczas której serce otwiera się na głos Boga i zaczyna doświadczać Jego obecności. Jej historii oraz oddziaływaniu ks. Józef Naumowicz poświęca oddzielny rozdział. Diadoch z Fotyki mówi, że ciągłe zachowanie w pamięci Imienia Jezus oczyszcza serce, oddala złe myśli oraz działanie szatana, pomaga wyciszyć umysł, rozbudza miłość do Chrystusa. Obrazowo o tej modlitwie mówi **Hezychiusz** z Synaju (VIII-IX w.): „Podobnie jak niemożliwe, by Morze Czerwone pojawiło się na niebieskim firmamencie pośród gwiazd, i to, aby człowiek chodzący po ziemi nie oddychał powietrzem, tak też bez długotrwałego wzywania Jezusa Chrystusa niemożliwe jest oczyszczenie naszego serca z namiętnych myśli i wyrzucenia z niego duchowych wrogów".

W tym rozdziale przeczytamy też, co pomaga w praktykowaniu modlitwy Jezusowej – odpowiednie siedzenie na stołku, schylona głowa, pokłony, rytm oddechu. Chociaż najwięcej o hezychastycznej metodzie modlitwy przeczytamy w następnym rozdziale „Wyciszenie, uważność i udział ciała". Uwolnienie się od wszelkiej myśli, złej czy dobrej, odrzucenie duchowego rozmyślania, pojmowanego jako skupianie się na wyobrażeniach, pojęciach i obrazach Boga to podstawa dobrej modlitwy. Bo uwaga i modlitwa ściśle się ze sobą jednoczą, podobnie jak dusza i ciało – tak naucza **Symeon Nowy Teolog** (X-XI w.)

Wiele miejsca poświęcono tu metodzie, w jaki sposób umysł sprowadzić do serca, ile do tego trzeba wytrwałości, powtarzania ćwiczeń dzień i noc. Ale warto to czynić, ponieważ: „Skoro twój umysł znajdzie miejsce serca, natychmiast zobaczy to, czego nie znał nigdy dotąd" – obiecuje Symeon Nowy Teolog. A **Nicefor Hezychasta** (zm. ok. 1285) stwierdza, że kiedy umysł wprowadzony zostanie do serca, wszystko co później nastąpi, „nie będzie nic niemiłego czy nieradosnego.(…) Królestwo niebieskie jest bowiem wewnątrz nas. Kto je rozważa w swym sercu i poszukuje go przez czystą modlitwę, temu cały świat zewnętrzny wydaje się niegodny uwagi i zupełnie przestaje go obchodzić. (…) Wraz z bardzo upragnioną i wdzięczną uwagą przyjdzie do ciebie cały korowód cnót: miłość, radość, spokój i wiele innych. Dzięki nim będzie wysłuchana każda twoja prośba w Chrystusie Jezusie, Panu naszym".

Grzegorza z Synaju nazywano nawet „misjonarzem hezychazmu". O jego metodzie modlitwy Jezusowej, powiązanej z praktyką angażowania ciała, wiele przeczytamy w książce. Znów święty przypomina o podstawie – uwolnieniu się od wszelkich myśli i wyobrażeń, nawet rzeczy świętych, nawet pragnienia widzenia światła, bo to są fałszywe oczekiwania i widzenia. Wiele tu o siadaniu do modlitwy, pochyleniu głowy, spowalnianiu i pogłębianiu oddechu, wytrwaniu w bólu przy niewygodnej, mocno pochylonej postawie w modlitwie, o niedopuszczalności ziewania, przeciągania się.

U wielu ojców, czy to żyjących w VII czy w XIV wieku, spotykamy przestrogę przed poszukiwaniem nadzwyczajnych stanów, które są nazywane duchowymi złudzeniami i mogą pochodzić od szatana. Wielki Maksym mówi: „Zły duch bowiem, duch kłamstwa i złudzeń, gdy zbliża się do człowieka, mąci i wzbudza umysł. Czyni on też twardym serce i zaciemnia je. Wzbudza strach, lęk i pychę. Zatrważa oczy i mąci rozum. Rozdrażnia całe ciało. Jego oczom objawia się w wyobraźni światło, które nie jest jasne ani czyste, ale szkarłatne. Wyprowadza jego umysł poza niego samego, czyniąc go demonicznym. Zmusza go, by usta wypowiadały słowa niestosowne i bluźniercze. Ten, który dostrzega złudzenia, przeważnie jest rozdrażniony, pełen gniewu. Nie zna pokory, prawdziwej skruchy, ani łez". To doskonałe słowa, które powinni znać na pamięć ci, którzy uwikłali się w ruchy New Age, proponujące im natychmiastowe uzyskanie nadzwyczajnych stanów duchowych typu chodzenie po rozżarzonych

Z całego serca dziękujemy wszystkim, którzy w bolesnych dla nas chwilach dzielili z nami smutek i żal, okazali duchowe wsparcie i współczucie, wzięli udział w uroczystości pogrzebowej naszej ukochanej

MAMY, MATUSZKI WDOWY LEONIŁY JAROCEWICZ.

W szczególności dziękujemy ojcom z dziekanatu bielskiego na czele z ks. dziekanem mitratem Leoncjuszem Tofilukiem, moim współbraciom z *Pokrowskiej* parafii z ks. proboszczem mitratem Janem Szmydkim, ks. dziekanowi, proboszczowi parafii Świętego Ducha mitratowi Jerzemu Boreczko z duchownymi, wszystkim księżom z innych diecezji, kuzynom, przyjaciołom, znajomym, sąsiadom, prosząc jednocześnie o dalsze modlitwy za spokój Jej duszy. *Spasi Hospodi*!

o. Sławomir Jarocewicz z całą rodziną

węglach, mówienie językami, widzenie nadprzyrodzonego światła albo duchów zmarłych. Trzeba pamiętać, że prawdziwe wchodzenie do głębi swego serca wymaga czasu i wytrwałości. Według Grzegorza z Synaju to „jakby w znoju kopać ziemię, by szukać złota”.

Świętych hezychastów bronił Grzegorz Palamas, jeden z największych teologów późnego Bizancjum, autor „Triad”, zatwierdzonych na kilku synodach konstantynopolitańskich w połowie XIV wieku. On także uczył wartości modlitwy jako zasadniczej drogi do duchowego oczyszczenia, miłości do Boga i zjednoczenia się z Nim. Żył w trudnych czasach – dojrzewania na Zachodzie idei odrodzenia i humanizmu, czyli odwracania się od Boga i zwracania ku człowiekowi, w czasach gorących sporów choćby z **Barlaamem** z Kalambrii, uczonym Grekiem z południowej Italii, krytykującym psychosomatyczną metodę modlitwy wewnętrznej. Wydaje mi się, że to przy Palamasie najbardziej rozchodziły się duchowe drogi Wschodu i Zachodu. I że to Palamas najbardziej zdecydowanie postawił tamę prądom płynącym wówczas z Italii, chroniąc skarby duchowości Wschodu, przez wieki wciąż pielęgnowane i odkrywane, jak choćby w omawianej książce.

Tyle pereł doświadczenia i łaski zawiera ta książka. Tak chciałoby się jeszcze o nich pisać. Zakończmy jednak słowami ks. Józefa Naumowicza: „Prosta i pokorna modlitwa Jezusowa, zwana także ubogą czy małą, żarliwie i wytrwale praktykowana, wypływająca z wiary w moc Imienia Bożego i połączona z udziałem w sakramentach, stanowi – w oczach autorów Filokalii – najlepszą drogę do osiągnięcia czystej i nieustannej modlitwy serca. Modlitwa serca rodzi uczucia przyjaźni wobec wszystkich ludzi i całego świata i kształtuje w nas postawę prawdziwej miłości”.

Anna Radziukiewicz

Ks. Józef Naumowicz, *Nowa Filokalia. Droga do modlitwy serca*, Kraków 2020, ss. 376.

Niebezpieczny nałóg

W poprzednich numerach Przeglądu Prawosławnego pisaliśmy o tatuażach i nikotynizmie. W tym wydaniu ukazujemy problem alkoholizmu, któremu należy konsekwentnie przeciwdziałać. Jest to poważne uzależnienie, które wpływa na funkcjonowanie społeczeństw w wymiarze zarówno lokalnym, jak i globalnym. Z raportu, opublikowanego przez Światową Organizację Zdrowia z siedzibą w Genewie, wynika, że ponad trzy miliony osób zmarło w ciągu roku w wyniku nadmiernego spożycia alkoholu. Oznacza to jeden zgon co dziesięć sekund. Szacuje się, że obecnie ponad 280 milionów ludzi na świecie ma problemy z powodu skutków nadużywania alkoholu, który jest substancją silnie uzależniającą.

Bóg dał każdemu człowiekowi wolność, czyli prawo osobistego wyboru. W księdze Mądrości Syracha czytamy, że *położył (...) ogień i wodę, co zechcesz, po to wyciągniesz rękę. Przed ludźmi życie i śmierć, co ci się podoba, to będzie ci dane* (Syr 15,16-17). Św. ap. Paweł w Liście do Galatów pisał: *Ku wolności wyswobodził nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli!* (Gal 5,1).

Każdy człowiek został powołany do wolności (Gal 5,13), a prawdziwa chrześcijańska wolność oznacza wyzwolenie od grzechu i podążanie drogą wiodącą do celu ludzkiej egzystencji, czyli zbawienia i życia wiecznego z Bogiem. Zatem wolność jest nie tylko dana, ale też zadana. Odpowiedzialne, dojrzałe posługiwanie się wolnością nie jest cechą wrodzoną, lecz nabytą. Świadczy o tym różnorodność postaw wśród ludzi w całej historii człowieczeństwa. Jedni szukają prawdy, zło zwyciężają dobrem, postępują w sposób mądry, rozważny, szlachetny i konstruktywny, a inni wyrządzają krzywdy, zdolni są do nieprawości, kłamstw, szkalowania innych czy też popadają w różnego rodzaju uzależnienia.

Jednym z nich jest utrata kontroli nad ilością wypijanego alkoholu. Nałóg powstaje przy ciągłym lub cyklicznym nadużywaniu alkoholu. Zniewala duszę i niszczy ciało. Alkoholizm dotyka kobiety i mężczyzn, osoby świeckie i duchowne, młodzież, nawet dzieci. Jest niezwykle trudny do leczenia. Jego skutki pozostają na całe życie.

Toksykomania alkoholowa powoduje poważne uszkodzenia m.in. przewodu pokarmowego, wątroby, nerek, serca, szczególnie negatywnie wpływa na tkankę mózgową. Z tego powodu często określana jest jako swego rodzaju samounicestwienie. Alkoholizm to problem społeczny. Cierpi nie tylko uzależniony, także jego rodzina, najbliżsi. W życiu nałogowców pojawiają się trudności w kontaktach z ludźmi, przemoc wobec bliskich, kłopoty finansowe, problemy z prawem. Alkoholizm uwłacza godności człowieka, obniża poziom życia umysłowego i moralnego, a także wrażliwości religijnej.

Często przyczyną uzależnień jest ludzka niemoc, nieumiejętność rozwiązywania problemów, co powoduje szukanie krótkotrwałego pocieszenia. Nie przynosi to jednak żadnych efektów, gdyż powoduje jedynie nawarstwianie się kolejnych kłopotów.

Alkohol sam w sobie nie jest zły, jednak nadmierne jego spożywanie, prowadzące do uzależnienia, jest grzechem. Św. ap. Paweł wyraźnie stwierdził: *Nie łudźcie się! (...) pijacy (...) nie posiądą Królestwa Bożego* (1 Kor 6,9-10).

Św. Jan Złotousty w jednej ze swo-

ich homilii pisał: „Pijanym jest ten, który wypiwszy za dużo wina zatacza się, nie rozpoznając niczego dookoła, mówi bez sensu, wypowiadając słowa haniebne i prostackie, myli jedną rzecz z drugą, pozostając ślepym na wszystko, co go otacza, majaczy i błąka się. Na spotkaniach, biesiadach, o każdym czasie i w każdym miejscu, obojętnie, co się do niego mówi, nie słyszy niczego”. Jeden z najwybitniejszych Ojców Cerkwi stwierdzał także, że „nieumiarkowane picie wina sprowadza liczne i ciężkie choroby na ciało i duszę. Wino bowiem zostało nam dane przez Boga nie na to, abyśmy się upijali, lecz byśmy byli trzeźwi; abyśmy byli radośni, a nie okrywali się hańbą; abyśmy się weselili, a nie byli przedmiotem pośmiewiska; abyśmy byli zdrowi, a nie schorowani; abyśmy pokrzepiali ciało, a nie wyniszczali siły duszy. Wino jest dziełem Boga, pijaństwo zaś dziełem demona. Nie wino stwarza pijaństwo, lecz niepowściągliwość stwarza pijaństwo”.

Św. Ignacy Branczaninow twierdził, że „dla zguby człowieka wystarczy jeden zepsuty nawyk”, natomiast zdecydowane pragnienie poprawy umożliwia pokonanie nawet najbardziej zakorzenionego przyzwyczajenia. Niezbędne jest otwarcie się na działanie łaski Bożej, jedynie dzięki której może dokonać się przemiana w człowieku. Hierarcha podkreślał, że uporczywą, konsekwentną walkę z nawykami i złymi przyzwyczajeniami można przyrównać do męczeństwa.

Uwolnienie się od nałogu musi być poprzedzone uświadomieniem zaistniałego problemu, przyznaniu się do tego przed samym sobą i stanowczą decyzją o przeciwstawieniu się toksykomanii alkoholowej. Jest to związane z przemianą umysłu i szczerą skruchą, które są darami Bożymi. Wyzwolenie się z poczucia bezsilności wobec nękającego złego przyzwyczajenia jest długotrwałym procesem związanym z wielkim trudem, a nawet cierpieniem. Św. Grzegorz Palamas pisał, że przemiana umysłu to lekarstwo działające w sposób radykalny oraz źródło i ochrona zdrowia duszy. Św. Maksym Wyznawca nauczał, że poznanie własnej słabości i mocy Bożej umożliwia przemianę umysłu. Św. Piotr z Damaszku porównywał przemianę umysłu do operacji, dzięki której grzesznik odzyskuje zdrowie.



Św. Teofan Zatwornik podkreślał, że od alkoholizmu bardzo trudno się wyzwolić i wielu ludzi z tego powodu umiera. Pomocnym i skutecznym środkiem jest unikanie złych towarzystw i uczt. Ci, którzy walczą z nałogiem, muszą uzbroić się w męstwo, odwagę, stanowczość i modlić się z całego serca do wszechmogącego Boga o pomoc. Hierarcha zalecał, aby przypominać kłopoty wynikające z pijaństwa i porównywać życie zdrowego człowieka ze stanem osoby nadużywającej alkoholu. Można także wspomnieć, że wielu nietrzeźwych umiera podczas snu i odchodzi z tego świata do wieczności nieprzygotowanymi, bez skruchy za swe złe czyny.

Alkoholika należy leczyć kompleksowo, wykorzystując wiedzę medyczną i psychologiczną. Już w IV wieku p.n.e. grecki filozof Arystoteles stwierdził, że prawdziwa wiedza to znajomość przyczyn. Zatem poznanie psychologicznych źródeł choroby stanowi istotny element w udzieleniu porad i rekomendacji. Kardynalne znaczenie posiada aspekt duchowy. Każdy może uwolnić się nawet od najbardziej zaawansowanego alkoholizmu, gdyż to, co *niemożliwe jest u ludzi, możliwe jest u Boga* (Łk 18,26). Początkiem walki z nałogiem jest stanowcza decyzja poprawy. Niezwykle ważne w tym procesie są zmagania duchowe, regularna spowiedź i częste przystępowanie do misterium Eucharystii. Uczestnictwo w życiu liturgicznym, sakramentalnym Cerkwi pomaga w ostatecznym zerwaniu z niebezpiecznym nałogiem, odzyskaniu prawdziwej wolności i przyczynia się do wykształcenia zdolności samokontroli. Nieustanny duchowy wysiłek przynosi wielki pożytek zarówno dla duszy, jak i ciała.

Pismo Święte ukazuje konkretny opis ludzkiej wolności, która jest związana z wyborem między szczęściem a nieszczęściem. *Patrz! Kładę dziś przed tobą życie i szczęście, śmierć i nieszczęście. Ja dziś nakazuję ci miłować Pana, Boga twego, i chodzić Jego drogami, zachowywać Jego polecenia, prawa i nakazy. (...) Kładę przed wami życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo. Wybierajcie więc życie* (Pwt 30,15.16.19). Zatem prawdziwa mądrość to umiejętność nie tylko wybierania rzeczy dobrych, ale także unikania rzeczy złych.

Alkoholizm to uzależnienie, które niewątpliwie można pokonać. Chrystus przywraca człowiekowi prawdziwą wolność, gdyż *jest drogą i prawdą, i życiem* (J 14,6), a więc wyzwala od zła i grzechu. Przestrzegając przykazań Bożych i zasad cerkiewnych można uwolnić się od wszelkiego nałogu.

Andrzej Charyło

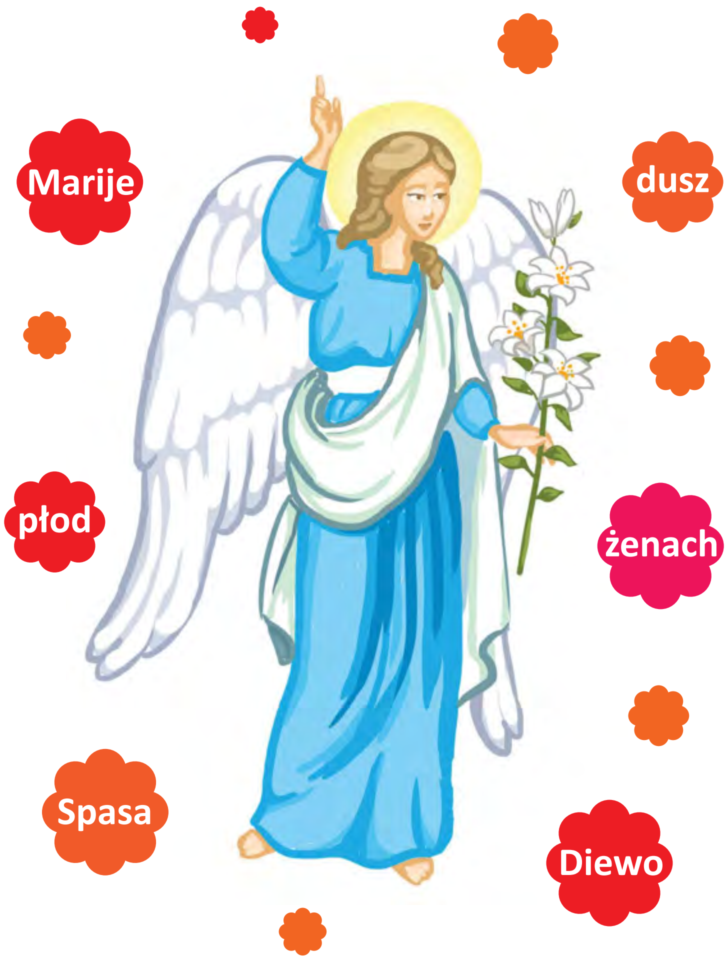
fot. **www.pravda.ru**



PRESWIATOJ BOHORODICY



7 KWIETNIA (25 MARCA W KALENDARZU JULIAŃSKIM) OBCHODZIMY ŚWIĘTO ZWIASTOWANIA PRZENAJŚWIĘTSZEJ BOGARODZICY. **Ustaw ptaki od największego do najmniejszego i odczytaj z sylab powstałe hasło. Uzupełnij nim słowiańską nazwę tego święta.**



BOHORODICE DIEWO

Bohorodice _ _ _ _ _
radujsia, Błahodatnaja
_ _ _ _ _ _ _, Hospod'
s Toboju: błahosłowienna
Ty w _ _ _ _ _ _ _ ,
i błahosłowien _ _ _ _
czriewa Twojeho,
jako _ _ _ _ _ _ rodiła jesi
_ _ _ _ naszych.

Uzupełnij modlitwę do Matki Bożej wyrazami z kwiatków.

PSZCZOŁA I SZERSZEŃ



Pewnego razu spotkała się pszczoła z szerszeniem.

– Powiedz mi pszczoło, czemu jesteście takie niemądre? Przecież ludzie zabierają wam miód, a w dodatku często szkodzą – nawet zabijają – a wy dalej trudzicie się i zbieracie. Tak dużo u was w ulu głów do myślenia, a zachowujecie się, jakbyście rozumu nie miały. Chyba zakochałyście się w tym miodzie bez sensu.

– Miód lubią też niedźwiedzie – odpowiedziała pszczoła. Szerszenie też kradną miód z ula. My również mogłybyśmy zdobywać miód kradzieżą, gdybyśmy tylko tak bardzo lubiły go jeść. Pszczoły mają jednak większą radość z pracy i zbierania miodu – niż z jego jedzenia. A poza tym, właśnie po to się urodziłyśmy i nie przestajemy trudzić się do ostatnich chwil naszego życia. Gdybyśmy miały żyć wśród miodu i tylko jeść, byłoby to dla nas najokrutniejszą kara.

Tak oto mądra i pracowita pszczoła zawstydziła leniwego i łakomego szerszenia.

25 KWIETNIA OBCHODZIMY WJAZD PAŃSKI DO JEROZOLIMY, czyli Niedzielę Palmową. Przejdź przez labirynt. Litery zebrane po drodze utworzą słowiańską nazwę tego święta.



Redakcja merytoryczna: Maria Ptaszyńska, opracowanie graficzne: Anna Miszczuk

Jubileusz 80-lecia o. Aleksandra Tokarewskiego obchodzono podczas parafialnego święta św. Jana Teologa, rok 2009



5 marca, w piątek po południu, w otoczeniu najbliższej rodziny, w swoim domu w Bielsku Podlaskim odszedł do Pana o. mitrat Aleksander Tokarewski. Wiadomość błyskawicznie dotarła do orlańskich parafian, batiuszka był ich proboszczem od 1962 roku – przez ostatnie pięć lat honorowym – chrzcił, udzielał ślubów, pogrzebów całym pokoleniom. I wszystkie pokolenia przyszły go pożegnać. Trumna z ciałem kapłana została przewieziona do cerkwi w Orli już w dniu jego śmierci. Na sobotni parastas przybyło czterdziestu kapłanów i duchownych, nabożeństwu przewodniczył biskup hajnowski Paweł, syn długoletniego wikariusza orlańskiej parafii, o. Anatola Tokajuka.

Dobry pasterz

– O. **Aleksander Tokarewski** pozostanie w naszej pamięci jako ojciec, dziadek, pradziadek, jako proboszcz, spowiednik, nauczyciel, jako przykład życzliwości, skromności, miłości, dobroci, jako sługa Cerkwi i człowiek Boży – podkreślił władyka.

Niedzielnej Liturgii przewodniczyli arcybiskup bielski **Grzegorz**, biskupi hajnowski **Paweł** i siemiatycki **Warsonofiusz**, śpiewały dwa chóry, które rosły i rozwijały się pod okiem zmarłego – parafialny i młodzieżowy.

– Spotkał nas dziś wielki smutek, odszedł bowiem od nas dostojny pasterz – zwrócił się do wiernych podczas homilii biskup Warsonofiusz. – Odszedł od nas o. Aleksander, który służył przy ołtarzu ponad siedemdziesiąt lat, niosąc trudy kapłaństwa. Aby być kapłanem, trzeba mieć powołanie, bez powołania bowiem człowiek nic nie może zrobić, a nawet jeśli niesie tę służbę, nie przynosi mu ona satysfakcji.

List kondolencyjny skierował metropolita **Sawa**, swoimi wspomnieniami podzielił się arcybiskup Grzegorz.

– O. Aleksander często powtarzał: „Człowiek tutaj na ziemi musi nauczyć się żyć z ludźmi”. Żeby nauczyć się żyć z ludźmi, musi najpierw sam stać się człowiekiem. Musi wyrzeźbić w swojej duszy, w swoim sercu człowieczeństwo i wówczas to człowieczeństwo będzie mógł przekazywać innym. O. Aleksander zawsze emanował spokojem i miłością. Wszędzie gdzie był, starał się wprowadzać pokój. Był człowiekiem wielkiej pokory. (…) Mamy prośbę, żeby o. Aleksander pamiętał o nas w swoich modlitwach, kiedy stanie przed majestatem Bożym.

Batiuszka spoczął obok matuszki na cmentarzu prawosławnym w Bielsku Podlaskim.

O. Aleksander Tokarewski urodził się w Kornicy, niemal w cieniu leśniańskiego monasteru, w 1929 roku. Gdy przyszedł na świat, po prężnym żeńskim monasterze z czterystoma mniszkami, szkołami, szpitalem i apteką zostały już tylko wspomnienia. Podobnie jak po kornickiej cerkwi, w której dziadek **Piotr** był psalmistą.

W długiej, bo ponad ośmiokilometrowej, rodzinnej wsi wszyscy wciąż mówili *po swojemu*, ale zaledwie pięć rodzin było prawosławnych. Korniczanie pracowali na roli, wydobywali też kredę, której tutaj zawsze było pod dostatkiem, a przed wojną przydawała się do bielenia chat i płotów.

Co niedziela Tokarewscy wyruszali do cerkwi w Nosowie. Przeważnie pieszo – nie było specjalnie daleko, tak z pięć-sześć kilometrów, w większe święta furmanką.

Chłopak nie spuszczał oczu z batiuszki **Aleksandra Hałasa**, a po powrocie do domu stawał przed ikonami i go naśladował.

Czy już wtedy chciał pójść w ślady stryja, *swiaszczennika*? O. **Teodor Tokarewski**, późniejszy długoletni dziekan bielski, był wówczas proboszczem parafii na terenie obecnej Białorusi.

Póki co dla prawosławnych nadchodziły ciężkie czasy. Także w pobliskim, bo położonym około dziesięciu kilometrów, Konstantynowie zburzono murowaną cmentarną kaplicę. Tokarewscy bywali w niej nie raz.

Rok 1939 nie był wcale lepszy. Najpierw na Wielkanoc zmarł tata, **Grzegorz**, który chorował na płuca. Zaraz potem wybuchła wojna i z nauką trzeba było się pożegnać. Chłopak ze świadectwem ukończenia trzeciej klasy ze wszystkich sił zaczął pomagać mamie w piętnastomorgowym gospodarstwie. Brał się nawet za orkę, koń co prawda nie zawsze go słuchał.

Nadszedł rok 1941. Tu, w Kornicy, wszyscy wiedzieli, że szykuje się kolejna wojna. Wieczorami i nocami zmierzały w stronę Bugu sznury niemieckich czołgów, samochodów pancernych i dział. Gdy ruszyły na wschód, rzeka stała się, można powiedzieć, niemiecko-niemiecką strzeżoną granicą.

Kornica leżała w Generalnym Gubernatorstwie, Milejczyce, w których od 1938 roku proboszczem był o. Teodor Tokarewski, znalazły się w Prusach Wschodnich (Bezirk Bialystok). Stryj nie przestawał martwić się o swego bratanka, półsierotę. Postanowił go ściągnąć do siebie, a było to dość



ryzykowne przedsięwzięcie. W 1942 roku, gdzieś w lipcu, krewni z Górek przewieźli go w umówione miejsce, a tam pod osłoną nocy przejęli rybacy z Drohiczyna. Mieli prawo łowić ryby w Bugu, teraz nielegalnie przewieźli też chłopca. Po drugiej stronie Bugu napotkał straż graniczną. Niemcy długo patrzyli w ślad za nim, ale brak przezornie pozostawionego na brzegu, spakowanego przez mamę, tobołka uśpił ich czujność.

W Milejczycach stryj zadbał o edukację bratanka i swoich córek, **Łarysy** i **Ziny**.

Codziennie na plebanię przychodzili nauczyciele – uczyli polskiego, matematyki, niemieckiego, rosyjskiego, przyrody. Religii uczył stryj, on też od razu zaczął przyuczać chłopca do duszpasterskiej służby. Któregoś dnia nauczyciel od niemieckiego nie zjawił się na zajęciach. Był Żydem, a Niemcy zamknęli getto. Później wszystkich wywieźli do Treblinki.

Nadeszło wyzwolenie i chociaż do końca wojny było daleko, w Siemiatyczach ruszyło już czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum. Stryj Teodor od razu wysłał tam całą trójkę.

W jednej klasie uczyli się i piętnasto- i dwudziestolatkowie. Książek nie miał nikt, przez 45 minut nauczyciele dyktowali materiał.

Rodzice uczniów płacili im masłem, słoniną, mąką, jajami, czasami nawet żytem lub pszenicą.

Już podczas nauki w liceum Aleksander był psalmistą w Sasinach i Grodzisku. W 1950 roku zdał maturę. Wkrótce ożenił się z **Barbarą** z domu Dubiec z Milejczyc, która wyrosła, można powiedzieć, w cieniu milejczyckiej cerkwi.

– Nigdy nie żałowałem swego wyboru – podkreślał o. Aleksander. – Warwara jest wyrozumiałą i rozsądną kobietą, dobrą żoną, mamą i dobrą matuszką.

Święcenia kapłańskie batiuszka przyjął 25 grudnia 1950 roku. Wcześniej przed kilkuosobową komisją zdał egzamin eksternistyczny z programu seminarium.

Na początku, tak ze dwa miesiące, był diakonem w Telatyczach. Później został delegowany do Terespola. Odwiedził tę parafię już na Boże Narodzenie, w lutym, z walizkami w ręku wyruszyli tam z matuszką. Mieli 21 i 20 lat.

Mróz był tęgi, na stacji w Terespolu czekał na nich starosta **Leon Grygorowicz**. Przenocowali u niego.

Następnego dnia skierowali się w stronę cerkwi. Dojrzeli ją z daleka, była piękna, choć opuszczona. Dopiero potem matuszka zauważyła stojącą obok stróżówkę.

To była ich pierwsza plebania. Maciupeńki domeczek, który powoli zapadał się w ziemię, z oknami na wysokości pół metra. I z lokatorami na dokładkę. Mieszkała w nim para staruszków, repatriantów, katolików, która za zgodą starosty pilnowała cerkwi.

– Księżulku, a co z nami będzie? – zapytał od razu pan **Szczepański**, gdy Tokarewscy przekroczyli próg. Stał obok swej żony **Pauliny**, wystraszony jak ona. Ich własny dom nie był jeszcze wykończony, a teraz, w środku zimy, nie mieli dokąd pójść. Batiuszka zaproponował, że razem z matuszką zajmą pokój o powierzchni piętnastu metrów, a Szczepańscy pozostaną w kuchni. I żyli z nimi jak dzieci z rodzicami. Docenili to katolicy, podobało się to także prawosławnym. Nie było ich zbyt wielu, w Terespolu i okolicznych wsiach może kilkanaście rodzin. Kto czym miał starał się z batiuszką dzielić. Tokarewscy byli bardzo pracowici. Za radą starosty w cerkiewnym ogrodzie, który rozciągał się nieopodal plebanii w starorzeczu Bugu, posiali ogórki. Sprzedawali je świeże, a także kiszone w dużych, zatapianych w rzece, beczkach. I tak wiązali koniec z końcem.

Parafianie między sobą mówili gwarą ukraińską, dzieci – matuszka Barbara uczyła je religii – często już po polsku.

Po dwóch latach zaproponowano batiuszce stanowisko wikariusza w parafii Narodzenia Bogarodzicy w Bielsku Podlaskim i nauczyciela religii w szkołach. Wraz z rodziną – w Terespolu urodził się syn **Jerzy**, tu w Bielsku przyjdzie na świat córka **Eugenia** – zamieszkali na plebanii przy obecnej Jagiellońskiej. Było dość ciasno i skromnie.

A i nieustanne dojazdy do cerkwi w Augustowie, filialnej bielskiej parafii, okazały się bardzo męczące. Nie było autobusów, dobrze że w miejscowej spółdzielni produkcyjnej bez trudu można było wynająć furmankę.

W Augustowie potrzebna jest plebania – to było jasne. Jedna z parafianek ofiarowała plac, a ponieważ o pozwoleniu na budowę plebanii nie było nawet co marzyć, o. Aleksander zbudował dom na swoje nazwisko.

Po dwóch latach budowy i ośmiu latach dojazdów Tokarewscy przenieśli się do Augustowa, a o. Aleksander rozpoczął studia na akademii teologicznej w Warszawie. Był już na trzecim roku, gdy biskup **Jerzy** (**Korenistow**) prze-

niósł go do Orli, na proboszcza. To z tą parafią batiuszka zwiąże całą resztę swego duszpasterskiego służenia.

Orla miała za sobą bogatą, bo ponadpięćsetletnią historię. I świeżą pamięć o niedawnej, pełnej niepokojów, parafialnej przeszłości. Na szczęście jego poprzednikowi, o. **Maksymowi Sandowiczowi**, udało się uspokoić sytuację. A nowego proboszcza czekało wiele pracy.

Zaczął od usunięcia chaszczy, w których tonęła cerkiewna posesja. Potem przyszła kolej na plebanię – pojawił się nowy dach, weranda, centralne ogrzewanie – budynek oszalowano i pomalowano na olejno. Na posesji psalmisty wybudowano budynek gospodarczy i przeprowadzono kapitalny remont domu. Niemal jednocześnie ogrodzono cerkiew, plebanię i sześć parafialnych cmentarzy.

– Nasz batiuszka chce ze wsi miasto zrobić – żartowali parafianie, widząc w jakim tempie posuwają się prace, a o. Aleksander już przymierzał się do kapitalnego remontu stuletniej cerkwi cmentarnej św. św. Cyryla i Metodego.

Nadszedł rok 1979. Sen z oczu wciąż spędzała niemal dwustuletnia

Jego Eminencji Wielce Błogosławionemu Metropolicie Sawie, Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Ablowi, Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Paisjuszowi dziękujemy za przesłane kondolencje i słowa wsparcia.
Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Grzegorzowi, Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszemu Biskupowi Pawłowi, Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszemu Biskupowi Warsonofiuszowi, księdzu mitratowi Leoncjuszowi Tofilukowi – dziekanowi bielskiemu, duchownym parafii w Orli, wszystkim czcigodnym duchownym i rzeszy wiernych, którzy wzięli udział w nabożeństwach żałobnych w intencji

Ś.P. OJCA MITRATA ALEKSANDRA TOKAREWSKIEGO

wieloletniego proboszcza parafii prawosławnej Archanioła Michała w Orli, kochanego taty, dziadka i pradziadka, serdeczne podziękowania składa pogrążona w smutku córka Eugenia z rodziną.
Ofiary zebrane do skarbonki w kwocie 4700 zł zostały przekazane na budowę hospicjum św. Eliasza w Makówce.



W orlańskiej cerkwi podczas pogrzebu o. Aleksandra Tokarewskiego

Nasz batiuszka

Odszedł od nas – napisał w liście skierowanym do rodziny i wiernych orlańskiej parafii metropolita **Sawa** – najstarszy, zasłużony kapłan naszej Cerkwi. Pamiętał najtrudniejsze okresy życia cerkiewnego, drugą wojnę światową i organizację życia cerkiewnego po jej zakończeniu. Wieloletni proboszcz parafii orlańskiej, który godnie, pełną poświęcenia pracą duszpasterską jednał parafian, dając przykład młodemu pokoleniu kapłanów. Człowiek głębokiej wiary i oddania służbie Chrystusowej. Wzorowy kapłan, ojciec domu i wychowawca swoich dzieci, będący wzorem dla otoczenia.

Gdy o. Aleksander w 1962 roku został proboszczem orlańskiej parafii, miałem trzynaście lat. Rok wcześniej władze definitywnie usunęły lekcje religii ze szkół. Batiuszka uczył dzieci i nas, podrostków, na plebanii.

Już wtedy odczuwaliśmy jego dobroć. Choć parafianie, widząc jego zaangażowanie i efekty porządkowo-remontowo-budowlanych prac, mówiąc o ojcu Aleksandrze zaczęli dodawać „dobry hospodar", to ich szacunek i wdzięczność zyskał swoją modlitewną służbą i ojcowską dobrocią.

Tej dobroci doznałem i ja. To przed nim w czasie spowiedzi wyznałem moje grzechy młodości, to on udzielał mnie i mojej żonie ślubu, odprowadzał w ostatnią drogę moich bliskich.

Mieszkańcy Orli, miasteczka, w którym do wojny 70 procent stanowili Żydzi, do cerkwi zbytnio się nie garnęli. Nie brakowało tych, którzy bywając w cerkwi „od wielkiego dzwonu" byli skłonni do krytyki i szukania przysłowiowego „źdźbła" w cudzym oku. Batiuszka wszystko znosił z pokorą i do wszystkich odnosił się z szacunkiem.

Kiedyś zapytałem go, czy służąc ponad pięćdziesiąt lat zna z imienia i nazwiska wszystkich parafian. – Może z imienia wszystkich nie przypomnę – odpowiedział – ale wiem, co kto myśli i co ma w sercu i modlę się za wszystkich.

W czasie służonego 25 grudnia 2015 roku, w 65 rocznicę święceń kapłańskich o. Aleksandra, dziękczynnego molebna, metropolita Sawa powiedział: – Podziękujmy Bogu za to, że mamy kapłanów, którzy mogą być przykładem dla naszych duchownych oraz wszystkich kochających Cerkiew.

Podziękowaniem Naszemu Batiuszce za jego wieloletnią ofiarną służbę niech będzie nasze modlitewne wspomnienie.

Wiecznaja pamiat' Naszomu Batiuszcy.

Eugeniusz Czykwin

drewniana cerkiew parafialna św. Michała, zbudowana jeszcze za czasów Izabeli Branickiej ze starego młyna z Trywieży. Czas zrobił z nią swoje – dosłownie wrastała w ziemię. *Nastojatielowi* marzyła się nowa, murowana, ale konserwator zabytków wyraził zgodę na kapitalny remont na podstawie tzw. anastylozy.

A to oznaczało, że można było rozebrać cerkiew, wylać nowe fundamenty i znowu ją postawić z użyciem zdrowych elementów ze starej. A tu sklepy z materiałami budowlanymi świeciły pustkami.

W maju 1979 roku stara *prichodskaja* cerkiew zniknęła z orlańskiego krajobrazu. Jej belki były tak spróchniałe, że nadawały się niemal w całości do wymiany. O. Aleksander całe lato spędził w puszczy, wyjeżdżał o świcie, wracał późną nocą. Szukał drewna. „Budowa nowej cerkwi? Jakim prawem" – wtrącił się urząd do spraw wyznań. Nie od razu przekonało go tłumaczenie, że to remont na podstawie anastylozy.

Gdy po sześciu miesiącach intensywnej pracy cerkiew, pokryta ocynkowaną blachą, znów stała, batiuszka przeżegnał się i podziękował Bogu.

Uroczystego poświęcenia świątyni dokonał metropolita **Bazyli** 9 października 1981 roku. Po kilku latach pozłocono ikonostas, a na ścianach zawisły duże ikony dwunastu głównych świąt.

W roku 1995 ukończono też prace przy budowie kaplicy św. Symeona Słupnika, dawnego patrona cerkwi parafialnej. Murowana czasownia w kształcie rotundy stanęła na dawnym cerkwisku, tam gdzie kiedyś stała cerkiew zamkowa świętego Jana Teologa.

A w 2006 roku wybudowano nową plebanię i budynki gospodarcze. – Trzeba umieć żyć z ludźmi, taką radę miał dla młodych duchownych o. Aleksander.

Za swoją służbę dla dobra Cerkwi był wielokrotnie nagradzany, mitrą, drugim krzyżem z ozdobami i orderem św. Marii Magdaleny I stopnia. *Wiecznaja pamiat'.*

Ałła Matreńczyk
fot. **archiwum parafii w Orli**

Odeszła Eugenia Litwińczyk

Któż z białostoczan z mojego pokolenia i starszego nie pamięta pani **Gieni Litwińczyk**? Wysoka kobieta, o obfitych włosach, pełna energii, lgnąca do ludzi, dzieląca się z nimi słowem i doświadczeniem, zapalająca do inicjatyw.

Zmarła 28 lutego, w niedzielę. Została pochowana na cmentarzu komunalnym w Białymstoku. O śmierci poinformowała nas jej przyjaciółka od dzieciństwa do dni ostatnich, **Galina Snarska**.

Urodziła się w Topolanach w gminie Michałowo w maju 1934 roku. Życie zawodowe związała z urzędem wojewódzkim w Białymstoku, z wydziałem kultury i sztuki. Pracowała w księgowości. Za wcześnie została odesłana na emeryturę i to z jej energią! Ale takie były czasy, nowe, z innymi porządkami, niosącymi i cierpienia ludzi tracących pracę.

W zasadzie pani Gienia pracy nigdy nie straciła. Praca do niej lgnęła. Ona ją kochała. Nie mogła żyć ot tak, bez pożytku dla ludzi.

Życie osobiste przyniosło jej wiele cierpień. Wcześnie owdowiała. Syn **Piotr**, informatyk, zmarł, gdy miał niewiele ponad czterdzieści lat. Śmierć syna, co często przyjmuje się jako stan naturalny, rozluźniła kontakt wnuków z babcią. Mieszkała z drugim synem, **Andrzejem**. Ale z tej strony wnuków nie miała. Andrzej chorował. Zmarł jedenaście dni po śmierci matki.

Eugenia Litwińczyk swoje pokłady troski i miłości skierowała między innymi do sierot na Białorusi. Zorganizowała do miejsc świętych na Białorusi około dwudziestu pielgrzymek pod koniec lat 90. XX wieku i na początku wieku XXI. Cele duchowe łączyła z charytatywnymi. Wszystkie luki bagażowe autokarów, wiozących pielgrzymów, były zapełnione darami. Jak je gromadziła?

Swoje życie związała między innymi z sądem. Przez wiele lat była ławnikiem sądowym i społecznym kuratorem sądowym dla nieletnich. W sądzie poznała wielu szlachetnych ludzi – sędziów, adwokatów, prokuratorów, sekretarki. Gdy wyprawiała się na kolejne pielgrzymki, gromadząc dary, oni ją wspierali. Przynosili ze swoich domów to, bez czego mogli się obejść, albo dawali pieniądze na zakupy. Wszystkie dary musiała przewieść autobusem do garażu przy ulicy Konduktorskiej. Ile ton przez te lata! Wspierali ją i znajomi prawosławni. Miała ich wielu.

Ale drugim, obfitszym źródłem darów była aukcja. Organizowała ją przez kilka lat co niedziela po Liturgii w pomieszczeniu budynku przy parafii Świętego Ducha w Białymstoku. Ludzie nieśli pościel, firanki, naczynia, jakąś srebrną łyżeczkę, obrusy haftowane, stary zegar, cukiernicę. To sprzedawała i miała pieniądze na zakup żywności, albo wiozła jako towar. I znów to wszystko musiała przewieźć do garażu.

Zobaczmy, co wiozła podczas jednej pielgrzymkowej wyprawy na Białoruś? W „Przeglądzie Prawosławnym" ze stycznia 2003 roku zanotowaliśmy, że przewieziono 60 litrów oleju, słoninę, kaszę, mąkę, 300 kilogramów makaronu, 400 sztuk czekolad, 3 tony (!) ubrań, w tym kożuchy i futra, 100 metrów tkaniny, 25 litrów środków czystości i mydło – te ofiarowane przez **Jerzego Wolskiego**.

Między kogo dary dzieliła? Między sieroty z domów dziecka w Porzeczu, Grodnie i Słonimiu, między seminarzystów i studentów szkół teologicznych w Żyrowicach. Pamiętam, jakże się cieszyła, gdy mogła ubierać biednych wtedy na Białorusi seminarzystów i studentów, gdy obdzielała czekoladami ociemniałe dzieci z któregoś z białoruskich sierocińców, gdy mogła dostarczyć bele czarnej tkaniny



Eugenia Litwińczyk z o. Gabrielem (Gibą) przy przygotowywaniu darów na Białoruś

do uszycia rias dla białoruskich duchownych, zostawić w domach dziecka naczynia i firanki, makaron i mąkę.

Wtedy w „Przeglądzie” zapowiadaliśmy, że kolejna pielgrzymka z darami wyruszy już tego samego roku 24 i 25 kwietnia.

Ale pieniądze zarobione na aukcjach kierowała także na budowę wznoszonych cerkwi. Odnotowaliśmy w lipcu 2004 roku, że w ciągu 3,5 roku, przeznaczyła na ten cel 11 tysięcy złotych (a wtedy średnia płaca była gdzieś trzykrotnie niższa niż teraz).

I za tę działalność Cerkiew uhonorowała Eugenię Litwińczyk podczas parafialnego święta parafii Świętego Ducha w Białymstoku w 2004 roku medalem św. Marii Magdaleny III stopnia.

Będąc na emeryturze wyjeżdżała do Stanów Zjednoczonych, gdzie w sumie, z przerwami, przebywała siedemnaście lat. Ciężko pracowała. I tam nieustannie pamiętała o ludziach w potrzebie, swoich przyjaciołach i znajomych. Ileż paczek i prezentów z dołączonymi choć dziesięcioma dolarami wysyłała na różne adresy!

Była związana w USA z parafią w Wheaton koło Chicago, której proboszczem byl zmarły w 2019 roku w wieku 69 lat o. **John Matusiak**, postać niezwykła, ogarniająca swym ciepłem ludzi i w USA, i w Polsce, i na Białorusi. Od takiego proboszcza mogła wziąć pani Gienia wraz z parafianami tam zgromadzonymi z Białostocczyzny błogosławieństwo, by i stamtąd wspierać prawosławnych w Polsce, przesyłając zebrane pieniądze na Świętą Górę Grabarkę, do monasterów w Supraślu, Zwierkach, Odrynkach, a nawet wesprzeć wydawany przez nas bezpłatny dodatek do „Przeglądu Prawosławnego” „Puszcza i Ludzie”, oraz szkołę św. św. Cyryla i Metodego.

O życiu tej dynamicznej parafii napisała do nas kilka artykułów.

– Nie umiała żyć bez pomagania ludziom – mówi o zmarłej jej przyjaciółka Galina Snarska. – Choć miała i cechę, która nie zjednywała jej przyjaciół. Nie tolerowała niczego, czego nie powinno być między ludźmi. Mówiłam jej, że całego świata nie uzdrowi. Ale ona i tak szukała prawdy i sprawiedliwości w tym świecie, odnajdywała ludzi, którzy tak jak ona, troszczyli się o drugiego człowieka.

Wiecznaja pamiat' rabie Bożijej Jewgienii!

Anna Radziukiewicz
fot. **z archiwum**
Eugenii Litwińczyk

Odkryłem prawosławie

Tytuł jest mylący. Powinienem napisać, że odkrywam prawosławie, to proces cały czas trwający, dynamiczny i biorąc pod uwagę bogactwo myśli prawosławnej – nie wiem, czy kiedyś się w ogóle zakończy. Odkrywam je dla siebie, więc piszę o moim subiektywnym odbiorze prawosławia.

Odbieram prawosławie przez pryzmat tego, co słyszę w cerkwi, co mówią duchowni, z którymi mam okazję rozmawiać lub słyszę na wykładach. Czytam książki i jestem tłumaczem tekstów publikowanych na cerkiew.pl.

Mam za sobą kontakty z innymi wyznaniami chrześcijańskimi, poczynając od dominującego w Polsce rzymskokatolickiego, po Kościoły protestanckie. Nie będę jednak prawosławia z nimi porównywał ani udowadniał jego wyższości. Do prawosławia przyciągnęło mnie jego piękno i duchowość, a nie kontra czy odrzucenie innego Kościoła. Nie byłbym w stanie powiedzieć, jakimi drogami prowadzi Bóg do siebie ludzi, jest to Jego tajemnica. Staram się zawsze pamiętać o jednym – mówiąc o sądzie nad ludźmi, Chrystus nie pyta o wyznanie, Kościół czy dogmaty. Pyta natomiast, czy w innym Go widzieliśmy, czy potraktowaliśmy inną osobę tak jakbyśmy traktowali Jego, czy pomogliśmy, nakarmiliśmy, daliśmy schronienie, odwiedziliśmy… I to jest dla mnie najważniejszy wyznacznik mego własnego oddania Bogu.

Jestem związany z Cerkwią od czterech lat. Zanim pojawiłem się świadomie w cerkwi (wcześniej były krótkie turystyczne wejścia), urzekł mnie śpiew cerkiewny. To on spowodował, że zapragnąłem pójść do cerkwi, zobaczyć i usłyszeć nabożeństwo na żywo. Oczywiście było to niezwykłe przeżycie – ikony, światło łampad, zapach kadzidła, milczący,

kłaniający się i żegnający wierni, przepiękny śpiew chóru… Nie przeszkadzało mi, że nic nie rozumiem, że kazanie jest po rosyjsku, z którym to językiem miałem w szkole do czynienia, ale dawno temu i zdążył mocno zardzewieć.

Najmocniejsze wrażenie to dwa momenty Liturgii, w których nagle, całkiem nieoczekiwanie dla mnie, odezwali się wierni – do dziś pamiętam siłę ich głosów, stanowczą pewność, że to, co śpiewają, jest ważne i całkowicie jest ich wyznaniem. Wtedy nie wiedziałem, czego byłem świadkiem, ale odtąd za każdym razem, gdy zaczynamy śpiewać „Wierzę…” i „Ojcze nasz”, ten obraz z warszawskiego soboru pojawia się przed moimi oczami jako niezwykle żywe wspomnienie. Nie będę zapewne oryginalny, stwierdzając że „wystanie” dwugodzinnego nabożeństwa stanowiło duże wyzwanie…

Po pierwszej wizycie nastąpiły kolejne, pojawiły się książki, płyty, modlitewniki z tłumaczeniami tekstów, wykłady, powiedziałbym – powolna praca nad poznaniem tego, co tak zafascynowało, aby móc świadomie podjąć decyzję o przyjęciu prawosławia.

Gdybym tutaj zakończył, można byłoby powiedzieć, że przyciągnęła mnie strona zewnętrzna – faktycznie piękna, bogata, pracująca na wszystkich zmysłach. Jednak byłoby to ogromnym spłaszczeniem, potraktowaniem prawosławia jak dzieła sztuki, dawcy przyjemnych i niezobowiązujących emocji.

To, co naprawdę istotne, to jego myśl, koncepcja Boga, człowieka, ich wzajemnych relacji. To bardzo mocne spojrzenie ku życiu wiecznemu i traktowanie życia ziemskiego jako czegoś przejściowego, ale istotnego dla zbudowania relacji z Bogiem i zbawienia. Bóg, którego poznałem w prawosławiu, jest Bogiem pełnym miłości, miłosierdzia i wybaczenia. Poszukuje mnie, człowieka, każdego dnia, w każdej mojej aktywności, we wszystkim, co robię, myślę, czuję – jest zawsze obok, zawsze gotowy do przyjęcia mnie – jeśli tylko tego zechcę. Właśnie – charakterystyczne jest to mocne podkreślenie konieczności podjęcia przez człowieka działania, wyjścia do Stwórcy, oddania się Jemu, ale przede wszystkim – nieustannej *metanoi*, przemiany serca, duszy, umysłu, nakierowania całego siebie na Boga i relację z Nim oraz ciągłą pracę nad sobą.

Prawosławie postrzegam jako bardzo mocno skoncentrowane na przemianie, na duchowym działaniu; podstawą tej przemiany jest zrozumienie, czy też bardziej przyznanie się do własnej niedoskonałości, grzeszności, oderwania od Boga i utraty pierwotnej, bezpośredniej relacji z Nim. W życie człowieka wkradł się grzech, który tę relację przerwał i odsunął człowieka od tego, co Boskie i wieczne. Bóg jednak nie stracił zainteresowania człowiekiem i konsekwentnie, z wielką miłością realizuje plan jego zbawienia – poprzez Wcielenie Jezusa Chrystusa, Jego nauczanie oraz śmierć na krzyżu i Zmartwychwstanie.

W prawosławiu uderzyło mnie właśnie podkreślenie sprawstwa Boga. Jeśli spojrzę na teksty liturgiczne okresu Wielkiego Postu czy tygodnia męki Chrystusa, widzę stwierdzenia, że to Chrystus sam przyobleka się w szatę hańby, przybija się do krzyża, przebija się włócznią…

To Bóg sam się nam oddaje, to Bóg sam przyjmuje na Siebie cierpienie, ludzkie okrucieństwo, ból i śmierć – by z niej powstać i w ten sposób nas zbawić, przywrócić ludzkiemu życiu sens. Nie dziwi więc tak często używane określenie Boga – *Czełowiekolubiec*, Miłujący człowieka.

Wiele razy słyszałem, że prawosławie nie jest jurydyczne – bardzo upraszczając, nie ma sztywnego systemu czy też gradacji grzechów i kar za nie, nie przedstawia też Boga jako strasznego Sędziego, można by rzec – zainteresowanego przykładnym i odpowiednio mocnym ukaraniem człowieka za jego postępowanie. Bóg, którego widzę w Cerkwi przez duże i małe „c”, jest Bogiem troski, opieki, pomocy; czy to oznaka słabości lub rezygnacji ze swej wszechmocy? Absolutnie nie – gdzie indziej położony jest akcent. Człowiek jest Bożym dziełem, umiłowanym od samego początku. Bóg, który dla człowieka sam tyle wycierpiał, nie jest „zainteresowany” jego – nawet najbardziej zasłużonym – potępieniem. On wie, że każdy z nas jest grzeszny; wie, że upadamy; wie, że tylko nieliczni z nas potrafią wykorzystać w pełni i zawsze Jego pomoc i obronić się przed upadkiem. Czy więc reszta ma być potępiona? Nie – reszta może i powinna liczyć na Boże miłosierdzie i łaskę, jeśli tylko będzie walczyć ze swoim własnym grzechem, namiętnościami, jeśli będzie w pokorze i nadziei do Boga powracać. Być może stąd też bierze się prawosławna koncentracja nie na wspominaniu Dekalogu, a przykazań miłości – do Boga i bliźniego.

Takie rozumienie buduję również na podstawie Sakramentu spowiedzi w Cerkwi. Pierwszym szokiem jest bezpośredni kontakt z duchownym, do tego często z krążącymi wokół innymi ludźmi… Można się jednak do tego szybko przyzwyczaić. Moje doświadczenie spowiedzi (z różnymi spowiednikami) zbudowało we mnie obraz tego Sakramentu jako bardzo wspomagającego człowieka w jego codziennej walce, wręcz motywującego do jej nieustannego podejmowania, do niepoddawania się porażkom. To nie jest Sakrament „dołujący” grzesznika, pokazujący mu, że do niczego się nie nadaje, a Sakrament nadziei – na wybaczenie, miłosierdzie, na pomoc. Bóg, który się w nim pojawia, nie jest Bogiem karzącym, żądającym zadośćuczynienia i od tego uzależniającym decyzję co do mnie – jest Bogiem wymagającym, ale opiekuńczym, przebaczającym i przyciągającym miłością, a nie lękiem przed karą.

Jak przypominam sobie kazania z Liturgii, z większości wyłania się właśnie taki obraz Boga – nie małostkowy, skrupulatny Urzędnik, notujący moje kolejne (liczne) porażki oraz (nieliczne) sukcesy, ale bliski Przyjaciel, ktoś, komu na mnie zależy, choć Wszechmocny i Najwyższy. Ja mogę Mu dać tylko to co moje – miłość (przez działanie zgodne z Jego przykazaniami, szczególnie nakierowane

na dobro czynione bliźnim, w których On jest obecny), wdzięczność (przez modlitwę), poświęcenie (przez post). O tym, czy to uczynię, decyduję tylko ja – to ja podejmuję modlitwę, post, daję jałmużnę, działam. I nie zmusza mnie do tego lęk czy strach, ale żywe uczucie miłości do Tego, który mnie stworzył – i chce mnie u Siebie mieć przez całą wieczność.

I właśnie zbawienie, troska o nie, jest kolejnym ważnym elementem prawosławia – to, co tu i teraz, jest tylko krótkim epizodem, poprzedzającym wieczność. Być może właśnie dlatego, w obliczu dużego strachu przed koronawirusem, sporo prawosławnych odnosi się do epidemii spokojnie, w sposób zdystansowany. Bo nie zmienimy Bożego planu co do nas; nie zapewnimy sobie fizycznej nieśmiertelności – ale najważniejsze jest to, co przed nami, do czego prowadzi życie liturgiczne, sakramenty, skupienie na Bogu, oddanie innym ludziom, normalne życie tu i teraz. To nie musi wcale oznaczać lekceważenia – ale punkt ciężkości leży gdzie indziej i to co się dzieje nie powoduje paniki.

Czy to oznacza, że prawosławie jest lekkie, łatwe i przyjemne? Daleki jestem od takiej opinii… Jest wymagające, bo taki jest Bóg. Stawia za wzór tych, którzy toczyli w swoim życiu niełatwą walkę z namiętnościami. Wzywa nieustannie do skruchy, do działania, do podejmowana wyzwań – liczba i trudność postów w ciągu roku, jeśli się je traktuje poważnie (i to nie w zakresie diety, a modlitwy, pracy nad sobą i dla dobra innych), może wydawać się nie do udźwignięcia… Podobnie liczba nabożeństw, dni świątecznych, w których chciałoby się uczestniczyć już od czuwania począwszy… Jeśli do tego doda się jeszcze od czasu do czasu molebny po dwugodzinnej Liturgii (należę do parafii katedralnej w Białymstoku, stąd dłuższa Liturgia sprawowana przez arcybiskupa), to naprawdę potrzeba czasu i kondycji. Jednak najważniejszy i zarazem najtrudniejszy do naśladowania przykład to oczywiście Chrystus – tak mocno w Cerkwi głoszony i przywoływany, tak obecny w każdym aspekcie życia liturgicznego – i jednocześnie tak często wspominany podczas spowiedzi jako Ten, który mając również ludzką naturę, szedł tą samą drogą, co ja – też walcząc z kusicielem i złem; był bez grzechu, lecz rozumie, co walka oznacza.

Cerkiew z jednej strony jest oczywiście Bogocentryczna, bo jest dziełem Boga i do Boga prowadzi. Jest jednak również bardzo człowiekocentryczna – zna i rozumie ludzką naturę, jej złożoność, dynamikę, obciążenie skłonnością do upadku. Ta wiedza i doświadczenie w pracy z ludźmi są często wykorzystywane nie tyle do moralizowania i pokazywania wzniosłych i niedosięgłych wzorców, ile do realnego zaopiekowania się człowiekiem – w jego słabościach, trudnościach, problemach życiowych. Ekonomia cerkiewna, którą rozumiem (na pewno mocno upraszczając) jako poszukiwanie drogi łączącej człowieka z Bogiem, dawanie mu możliwości pozostawania w bliskiej z Nim relacji pomimo potencjalnych obiektywnych przeszkód, jest właśnie tego wyrazem – oczywiście najbardziej jaskrawy przejaw to kwestia zdjęcia błogosławieństwa z małżeństwa, które się rozpadło. Choć każda taka sytuacja jest dla Cerkwi trudna, to jednak w swej mądrości i rozumieniu człowieka nie pozbawia ona (po dokładnej analizie przypadku) eksmałżonków udziału w życiu sakramentalnym, każąc im w skrajnej sytuacji czekać na – brutalnie mówiąc – śmierć drugiej osoby.

Cerkiew zna też możliwości człowieka – w jej historii jest wielu świętych, wielu nawróconych z drogi zła, którzy ostatecznie całymi sobą, słowami i czynami świadczyli o mocy Boga i realności bycia świętym. Świętość kiedyś rozumiałem jako pozostanie bez grzechu – co jednak nie jest raczej możliwe… Wydaje się, że im bardziej człowiek angażuje się w relację z Bogiem, im bardziej nad sobą pracuje, tym więcej też własnych niedociągnięć i błędów widzi – i co ważne, Cerkiew też przed tym przestrzega, gdyż może to prowadzić do acedii, duchowego zagubienia, utraty wiary w miłosierdzie Stwórcy i beznadziei wynikającej z usiłowania zbawienia siebie wyłącznie własnymi siłami i nieustannych w tym porażek. Idealnie odzwierciedla to myśl św. Antoniego Wielkiego: „Są ludzie, którzy wycieńczyli swoje ciało poświęceniem, a jednak oddalili się od Boga, bowiem nie byli rozważni”.

Odpowiedź na pytanie o świętość znalazłem z kolei nieoczekiwanie w przedmowie do książki „Nieświęci święci” archimandryty Tichona – autorka polskiej przedmowy dr Magdalena Sławińska pisze: „Prawosławna tradycja mocno podkreśla, że świętość to nie kategoria moralna, lecz odniesienie do prawdziwej natury człowieka i odnowienie jego jedności z Bogiem. Świętość nie jest definiowana jako bezgrzeszność, gdyż tylko Bóg jest bezgrzeszny, ale jako zjednoczenie z Chrystusem za pośrednictwem Ducha Świętego”.

I to jest właśnie klucz do wszystkiego – podążanie ku Chrystusowi, za Chrystusem, przyjęcie Jego nauki i Bożych przykazań nie jako teorii, a praktycznego sposobu życia na co dzień. To trwanie w Bogu, czerpanie z Niego jako Źródła siły, radości, pokoju. Jak pisze św. Paweł w Liście do Filipian (4,13): *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia*.

Dla mnie osobiście niezmiernie ważne jest życie liturgiczne, co ważne – aktywny w nim udział, czyli uczęszczanie do cerkwi, przystępowanie do Sakramentów spowiedzi i Eucharystii. Swego czasu – jak pewnie wielu z nas, ze względu na ograniczenia – przeszedłem na tryb online, jednak przyznaję, że to zdecydowanie nie jest to samo. Jeśli więc tylko jest taka możliwość – tryb osobisty jest nieodzowny. Pamiętam zresztą ciągle słowa kazania jednego z naszych duchownych w soborze, ojca Adama, który krótko i mocno stwierdził, że do swojej dyspozycji mamy sześć dni – ten jeden, niedziela, powinien być oddany Bogu, jeśli bez powodu tego nie czynię – jestem złodziejem, kradnę Bogu to, co Jego… A przecież jednocześnie nie ma większej radości, niż naładować duchowe akumulatory podczas Liturgii, przystępując do Eu-

charystii i (choć często niestety tylko przy okazji dni świątecznych) widząc dużą liczbę wiernych czyniących dokładnie to samo. Wtedy naprawdę czuje się wspólnotę i życie Cerkwi!

Czy łatwo jest komuś 'obcemu' wejść do Cerkwi prawosławnej w Polsce? – i tak, i nie. Tak, bo jej drzwi stoją otworem przed każdym, kto naprawdę chce wejść i jest gotów do rozpoczęcia tej podróży przez życie. Nie, bo dla ludzi spoza społeczności prawosławnej, nie ukrywajmy – dla Polaków i osób o narodowości innej niż jakakolwiek „wschodnia", trudna, a może i nie do przebicia może być kwestia języka liturgicznego, języka kazań, nomenklatury (tak bardzo bronionej przed słowami w jakikolwiek sposób mającymi związek lub kojarzonymi z Kościołem rzymskokatolickim). Sam pamiętam bolesne próby „odrdzewienia" języka rosyjskiego, aby jak najwięcej wyciągnąć z kazań, nie zawsze zakończone jakimkolwiek poziomem sukcesu, o pełnym nie mówiąc. I pamiętam radość, kiedy od czasu do czasu pojawiało się kazanie po polsku, zawsze poprzedzone wyciągnięciem przez władykę Jakuba (bo to on był jedynym używającym tego języka) małego Pisma Świętego, co oznaczało przytoczenie fragmentu listu lub Ewangelii po polsku i odniesienie się do niego w homilii. W końcu jednak nastąpił ten moment, kiedy „zwykły" duchowny wygłosił kazanie po polsku, potem w następną niedzielę kolejny…, i tak już zostało. A w międzyczasie do czytania Ewangelii w języku cerkiewnosłowiańskim dodano czytanie po polsku – na początku traktowane przez wiernych jako coś dziwnego, wszyscy czynili znak krzyża tylko po czytaniu w cerkiewnosłowiańskim, jakby wszystko było już zakończone… Teraz ten znak poprzedza czytanie po polsku, co odbieram jako oznakę szacunku dla 'polskich' słów Ewangelii, i również kończy to czytanie – oba języki są więc u nas równoprawne.



To też mądrość Cerkwi, choć jej uznanie tym, którzy nastawieni są na 'bezbolesne' wejście, może zająć trochę czasu. Łatwo jest szybkim działaniem coś zburzyć, trudniej szybko zbudować coś, co przetrwa. Tym bardziej, że nasza Cerkiew jest niejednorodna narodowościowo / językowo. Znam głosy mówiące o konieczności szybkiej polonizacji, o tym, że na co dzień wszyscy tym właśnie językiem się posługujemy, a nauka Chrystusa powinna być dla nas zrozumiała, i takie było też podejście świętych Cyryla i Metodego. Trudno się z tym nie zgodzić. Z drugiej strony są emocje ludzi „z dziada pradziada" prawosławnych, wyrosłych i przyzwyczajonych do określonej kultury, zwyczajów. Może to utrudnia szeroką popularyzację prawosławia, czyni je „elitarnym" w nie do końca słuszny sposób, utrzymuje jako bastion lokalnej / mniejszościowej kultury. Myślę jednak, że ktoś, kto naprawdę chce poznać i przyjąć prawosławie, komu na tym zależy, będzie elastyczny i to zrozumie, i po prostu podejmie ze swej strony większy wysiłek. A zapewniam, że na przykład odkrywanie języka cerkiewnosłowiańskiego, nauczenie się czytania w nim, słuchanie go w cerkwi i choćby częściowe rozumienie niestałych fragmentów nabożeństw – daje niesamowitą satysfakcję.

Brzmi to prosto i łatwo, ale jestem realistą – wiem, że może też frustrować, rodzić pytania o sens trwania Kościoła, który wydawać się może zamknięty, choć Chrystus kazał głosić swoją naukę wszystkim narodom i nic o „świętym języku" ani tradycji nie wspominał… Tu też cennym wzorem jest podejście Cerkwi do różnych zagadnień – z reguły ostrożne, analizujące, wiadomo – trwające…

Myślę, że każdy „nowy" powinien to wziąć pod uwagę. Nikt nas przecież nie zmusza do wejścia do Cerkwi; podejmując taką decyzję warto rozważyć wszystkie okoliczności, w końcu powinna to być decyzja świadoma. Nie wszystko musi być „pod nas" przygotowane. Czyż jednak podejmowany wysiłek nie procentuje lepszym zrozumieniem tego, co się przyjmuje i większym przekonaniem o słuszności wybranej (acz trudnej) drogi?

Chciałbym powiedzieć jeszcze jedno – Cerkiew to my, nieważne czy duchowni, czy świeccy. To my ją tworzymy, kształtujemy, my jesteśmy jej znakiem i obrazem dla innych. Mam to szczęście, że każdy dotychczasowy kontakt z Kościołem prawosławnym i parafią był pozytywny, pełen otwartości i pomocy. Ciągle jeszcze pamiętam strach przed niewłaściwym zachowaniem, popełnieniem jakiegoś błędu wynikającego z nieznajomości zasad i obrzędów. Cokolwiek takiego jednak było (i pewnie nadal czasem jest) – nigdy nie zostało mi w żaden sposób zasygnalizowane, wytknięte. Sam z dużą radością patrzę teraz na przychodzących do cerkwi „obcych" – rozpoznawanych po lekkim zagubieniu, stawaniu pod ścianą, żegnaniu się w „drugą stronę". Miło, jeśli są w stanie wytrzymać całe nabożeństwo, nawet jeśli to dwie godziny – i miło widzieć, że wśród nas są ludzie, którzy z uśmiechem podpowiedzą, żeby odsunąć się od ściany bo diakon z kadzielnicą nadciąga… A to czasem wystarczy, żeby pozytywnie zaintrygować i zachęcić do powrotu, a kto wie - może i pozostania.

Bo to nie dogmat tak naprawdę przyciąga lub zatrzymuje w Cerkwi – to my jako wspólnota, nasze wzajemne relacje, odnoszenie się do siebie, szacunek okazywany innym, nieważne – czy swoim, czy „obcym", czy w „realu", czy w Internecie, i nie tylko „z prazdnikom", ale na co dzień.

Gabriel Szymczak
fot. **Dominika Kovačević**

Autor jest tłumaczem, wolontariuszem w serwisie cerkiew.pl

Jak amerykański adwokat przyjął prawosławie

„Nieświęci święci", książka obecnego metropolity pskowskiego i porchowskiego Tichona (Szewkunowa), stała się bestsellerem w Rosji, gdzie ukazało się osiemnaście jej wydań, a całkowity nakład przekroczył trzy miliony egzemplarzy. Zbiór opowiadań o życiu monasteru Pskowsko-Pieczerskiego w Pieczorach w obwodzie pskowskim został przetłumaczony na kilkanaście języków, m.in. na grecki, serbski, francuski, estoński, fiński, polski, bułgarski, włoski, czeski, portugalski, niemiecki, rumuński, hiszpański, a nawet chiński. Przekładu na język angielski dokonał amerykański adwokat Julian Henry Lowenfeld, który pod wpływem tłumaczonego tekstu przyjął prawosławie. W Bibliotece Kongresu w stolicy Stanów Zjednoczonych odbyła się uroczysta prezentacja książki, w której uczestniczył jej autor. Pozycja wydawnicza przyczyniła się do szerzenia wiedzy o prawosławnej duchowości w różnych kręgach w wielu krajach na świecie.

Amerykański tłumacz, adwokat, poeta, dramatopisarz i kompozytor, **Julian Lowenfeld** urodził się w 1963 roku w Waszyngtonie w rodzinie o tradycjach prawniczych. Jego ojciec był profesorem prawa międzynarodowego na Uniwersytecie Nowojorskim i doradcą dwóch amerykańskich prezydentów, wujek wykonywał zawód adwokata i był ostatnim demokratycznie wybranym burmistrzem stolicy Kuby, Hawany, a siostra stała się słynnym, cenionym kryminologiem. Dziadek pracował jako dyrektor Banku Światowego w Waszyngtonie, natomiast pradziadek, urodzony w Poznaniu, był znanym niemieckim slawistą, który po obronie doktoratu wykładał na Uniwersytecie Wrocławskim, a następnie pełnił funkcję korespondenta gazety Berliner Tageblatt w Sankt Petersburgu.



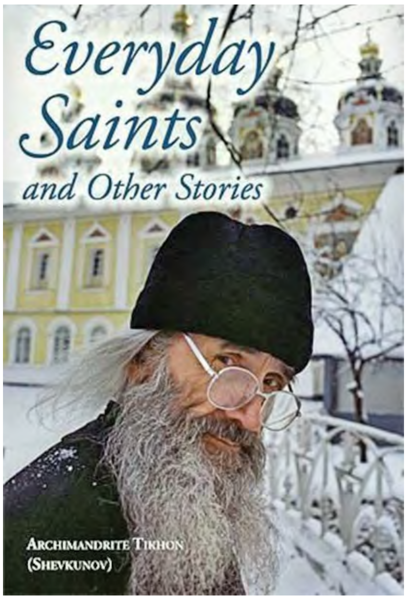
Julian Lowenfeld ukończył prawo na Uniwersytecie Nowojorskim, a także filologię rosyjską na Uniwersytecie Harvarda, gdzie otrzymał dyplom z wyróżnieniem. Odbył staż naukowy na Uniwersytecie w Sankt Petersburgu. Jako adwokat specjalizuje się w prawie autorskim i własności intelektualnej. Wielokrotnie wygrywał sprawy sądowe, w których przyznawano kilkumilionowe odszkodowania. Poza tym zajmuje się profesjonalnymi tłumaczeniami z ośmiu języków, m.in. z rosyjskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, francuskiego, włoskiego i łaciny. Przetłumaczył fragmenty dzieł rosyjskich pisarzy i poetów Michaiła Lermontowa, Aleksandra Błoka, Mariny Cwietajewej, Anny Achmatowej, Siergieja Jesienina, Władimira Majakowskiego. Jego przekłady twórczości Aleksandra Puszkina uznano za „najbardziej błyskotliwe i najpełniejsze tłumaczenia", ponieważ zachowują oryginalne i charakterystyczne rytmy większości wierszy. Za swą pracę otrzymał prestiżową rosyjską nagrodę w dziedzinie sztuki i literatury „Petropol", którą pierwszy raz w historii wręczono cudzoziemcowi.

Jego translatorski kunszt został dostrzeżony przez ówczesnego archimandrytę **Tichona** (**Szewkunowa**), który zwrócił się z prośbą o przetłumaczenie książki „Nieświęci święci" na język angielski. Julian Lowenfeld w jednym z wywiadów powiedział, że na początku swej pracy nie interesował się szczególnie prawosławiem. Zagadnienia zawarte w książce były dla niego czymś obcym, z lekka dziwnym, gdyż dotyczyły cudów, modlitewnej reguły, kanonów, pewnych zasad, a prawnik potrzebuje przecież realnych dowodów. W celu

należytego wykonania podjętego zadania, zamieszkał w monasterze w Pieczorach, aby go dokładnie poznać. Odwiedził prawie wszystkie miejsca, opisane szczegółowo w książce, dzięki czemu lepiej zrozumiał kontekst poszczególnych opowiadań. Osobiste doświadczenie modlitewnego życia umożliwiło dokonanie poprawnego tłumaczenia.

Po pewnym czasie poczuł obecność Boga, pojawiła się wiara, która stała się najważniejszym elementem jego życia. Stwierdził, że wiara nie jest konstatacją, lecz ciągłym odkrywaniem i czymś żywym. Nieoczekiwanie zrozumiał wiele rzeczy, o których wcześniej nie miał pojęcia. Otworzyły się przed nim nowe, dotąd nieznane horyzonty i zaczął inaczej postrzegać różne zagadnienia. Niezwykle cenna była także możliwość osobistej rozmowy z niektórymi osobami, opisanymi w opowiadaniach, a nawet zwykłe wspólne picie herbaty. Uczestnictwo w nabożeństwach i słuchanie każdego dnia bicia dzwonów, a także anielskiego śpiewu chóru cerkiewnego spowodowało, że stał się innym człowiekiem. Cebulaste kopuły, freski w świątyniach, ikony, świece, kadzidło, modlitwy, a nawet cerkiewnosłowiańskie słowa połączyły się w harmonijną całość, czyli w świat, w którym wszystko ma swój sens. To świat tradycji i godności, w pewien sposób surowy, ale jednocześnie pełen głębokiego współczucia, spokoju i wewnętrznego ładu. Świat skromności, ale i majestatu, gdzie każdy czyn, słowo i myśl mają swoje konsekwencje. Jest to świat, w którym człowiek nie jest sam i wszystko ma swoje uzasadnione znaczenie.

Amerykański adwokat, wychowany w zupełnie innej kulturze, jakże odległej od prawoslawia, podczas nabożeństwa w cerkwi nagle uświadomił sobie, że niektóre frazy, które kilka miesięcy wcześniej były dla niego kompletnie niezrozumiałe, stały się absolutnie jasne. Dostrzegł, że modlitwa to misterium pełne nieskończonej mądrości. Niespodziewanie otworzyła się przed nim szkatułka słowiańskiej tradycji duchowej, zazwyczaj zamknięta przed większością ludzi na Zachodzie. Po ukończeniu całego tłumaczenia Julian Lowenfeld zdał sobie sprawę, że wiara stała się dla niego bardzo istotna, podjął zatem decyzję o przyjęciu chrztu w Cerkwi prawosławnej. Wywołało to radość i zaskoczenie archimandryty Tichona, który w Wielką Sobotę 2012 roku udzielił mu sakramentu chrztu.



Książka „Nieświęci święci” w dostępny sposób otwiera okno na rosyjskie prawosławie i opisuje, jak siła wiary przezwyciężyła prześladowania ze strony komunistycznego ateizmu i okazała się jeszcze potężniejsza. Amerykański tłumacz stwierdził: „Wydaje mi się, że ta książka została napisana dla mnie, czyli dla wykształconej, ale niezbyt religijnej osoby. Jej docelowym odbiorcą jest przede wszystkim moje własne serce. Uważam, że chociaż w Ameryce żyje już ponad siedem milionów prawosławnych, to jednak ta pozycja wydawnicza została przetłumaczona nie tylko dla nich. Te unikalne historie zafascynują każdego człowieka, dowolnej narodowości i wyznania”.

Według Amerykanina we współczesnym świecie można zaobserwować pewien paradoks. Obecnie coraz więcej ludzi wierzy w Boga, wznoszone i remontowane są świątynie, nastąpiło jakoby duchowe odrodzenie. Jednak czasami wydaje się, że w minionych dziesięcioleciach ludzie byli na ogół bardziej uduchowieni, szczerzy i życzliwi wobec siebie. Rozmowy dotyczyły wtedy nie tylko pieniędzy, lecz wartości duchowych, a także literatury, poezji, muzyki, sztuki.

Dziś można zaobserwować, że dla niektórych rzekomo wierzących najważniejszy jest nie Bóg, lecz mamona, a ich świat wcale nie jest duchowy, lecz materialny.

We współczesnym społeczeństwie ludzie stają się coraz bardziej duchowo ubodzy, wiara zamienia się w cynizm, nadzieja w powątpiewanie, a serdeczność w chłodną obojętność. Zanika prawdziwa duchowość, uprzejmość, a ich miejsce zajmują arogancja i zuchwałość, które rozprzestrzeniają się jak wirusy. To jest bardzo zaskakujące i wielce niepokojące.

Julian Lowenfeld podkreśla, że nie należy oceniać ludzi po tym, jaką pełnią funkcję i co o sobie mówią, ale przede wszystkim po ich czynach i życiowej postawie. Są osoby, które się modlą, utożsamiają się z religijnymi wspólnotami, uczęszczają na nabożeństwa do świątyń i jednocześnie czynią zło innym poprzez swe niegodziwe czyny. Są także przeciwstawne sytuacje, gdy ludzie nie chełpią się swą pobożnością, nie robią tego na pokaz, ale szczerze pielęgnują wiarę w swym sercu, szanują innych i czynią dobro.

Najważniejsze jest to, w jaki sposób człowiek postępuje w swym codziennym życiu. Czy kiedykolwiek zastanawia się jakie wspomnienia po odejściu z tego świata po nim pozostaną? Czy pomaga i wspiera swych bliźnich? Przecież nawet jeden uśmiech może zmienić w życiu wiele. Szczęśliwy ten, kto wierzy, raduje się i czuje, że świat jest piękny. Błogosławiony ten, który rozumie, że my sami tworzymy każdą chwilę naszego lokalnego świata, że my wszyscy jesteśmy za to odpowiedzialni. Błogosławiony ten, kto zdaje sobie sprawę, że powinniśmy być wdzięczni Bogu za to, co zostało nam dane w tym życiu.

Andrzej Charyło

fot. **www.pravoslavie.ru**
www.orthochristian.com

Sprzeciw wobec napaści

Wybór Wołodymyra Zełenskiego na prezydenta Ukrainy (pokonał Petra Poroszenkę stosunkiem głosów 73 do 24 proc.) wśród wiernych Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi (UPC) zrodził nadzieję na zaprzestanie prześladowań i ingerencji państwa w wewnętrze sprawy Cerkwi. Rzeczywiście, przez blisko rok władze wobec utworzonej w grudniu 2018 roku nowej struktury, Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU), zachowywały dystans. Sytuacja zmieniła się po wizycie w maju 2020 roku w Kijowie sekretarza stanu przy prezydencie Donaldzie Trumpie Marka Pompeo, który ze zwierzchnikiem PCU, „metropolitą" Epifaniuszem (Siergiejem Dumenką), podpisał porozumienie o „dwustronnej współpracy". W Ławrze Kijowsko-Pieczerskiej odbył się 22 lutego zjazd przedstawicieli przejętych świątyń UPC, której zwierzchnikiem jest metropolita Onufry. W konferencji uczestniczyło 338 kapłanów i wiernych z czternastu obwodów Ukrainy, którzy najbardziej ucierpieli z powodu ataków zwolenników PCU. Podczas spotkania omówiono aktualną sytuację dotyczącą ewidentnych naruszeń praw do wolności religijnej obywateli tego kraju. Przedstawiono zatrważające i niezmiernie przykre historie z życia parafii, związane z aktami przemocy, okrutnej napaści i agresji. Przedstawiciele prześladowanych wspólnot UPC wystosowali apel do prezydenta, premiera i parlamentarzystów Ukrainy, w którym zawarto prośbę o ochronę życia, zdrowia i bezpieczeństwa duchowieństwa oraz wiernych UPC, a także o uchwalenie odpowiednich regulacji prawnych. Zaapelowano do lokalnych Cerkwi prawosławnych o wsparcie i modlitwę.

Metropolita kijowski i całej Ukrainy **Onufry** (**Berezowski**) w specjalnym przesłaniu do uczestników zjazdu podkreślił, że najważniejsze w życiu jest to, aby być z Bogiem zawsze i wszędzie. W takich warunkach ludzie nieustannie będą mieli siłę i zdolność do walki ze słabościami, a także do przezwyciężania wszelkich nieporozumień i prób. *Błogosławieni jesteście, gdy [ludzie] wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was* (Mt 5,11-12). Te słowa doskonale opisują sytuację wiernych UPC na przestrzeni ostatnich lat. Dochodziło i nadal dochodzi do przejmowania siłą świątyń, nielegalnych ponownych rejestracji parafii UPC do jurysdykcji PCU, przemocy fizycznej wobec wiernych, a także zastraszania i szantażowania ich rodzin. To jedynie część rożnego rodzaju niesprawiedliwości i jawnego naruszania prawa.

Hierarcha przypomniał, że prześladowania i ucisk towarzyszą Cerkwi Chrystusowej przez cały okres jej istnienia. Najważniejsze jest to, że pomimo wszelkich trudności i przeciwności ludzie pozostają wierni Bogu. Cerkiew zawsze troszczy się i wspiera wiernych na drodze wiodącej do zbawienia. Obecnie jest ona atakowana i pewne siły za wszelką cenę próbują ją podzielić i osłabić. Jednak wierni odważnie okazują swoją wierność Cerkwi, gdyż to jest najważniejsze, a nie geopolityka i pewne ideologie. Należy pamiętać słowa zawarte w Ewangelii: *Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców* (Mt 7,18). To kryterium pozwala zrozumieć, gdzie jest prawdziwa Cerkiew. Obecnie wiele różnych sił skłania ludzi do pójścia na kompromis z własnym sumieniem także w kwestiach wiary. Czy może być Bóg tam, gdzie naruszane są cerkiewne kanony i istnieje schizma. Czy ważne są sakramenty sprawowane w świątyniach, które zastały odebrane siłą wraz z przelaniem krwi, a także rozpaczą, krzywdą i żalem wielu ludzi? Czy łaska Boża przebywa w miejscu, gdzie panuje kłamstwo, przemoc i agresja? Szczere odpowiedzi na te pytania jednoznacznie wyjaśniają, dlaczego tak wiele ludzi pozostaje wiernych UPC.

Z całego serca modlimy się do Boga, aby wspierał i chronił prześladowanych na ich trudnej, ale pełnej nadziei drodze. Przecież Chrystus nauczał: *Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą* (Mt 10,28). Jeżeli jesteśmy z Bogiem i nadal będziemy Mu wierni, to nawet największe zagrożenia i próby nie staną się przeszkodą na drodze do zbawienia.

Metropolita stwierdził, że na przestrzeni wieków wielokrotnie wydawało się, iż Cerkiew znajduje się na skraju zagłady, a wrogowie świętowali jej koniec. Jednakże z Bożą pomocą Cerkiew za każdym razem odradzała się z popiołów, a prześladowcy wiary znikali na zawsze w wirze wydarzeń historycznych. Pamiętając o tej rzeczywistości trzeba mężnie bronić prawdy i niczego się nie bać, gdyż wszystko jest w rękach Boga. Najważniejsze jest, aby zachować spokój ducha i chrześcijańską miłość do siebie nawzajem. Chrystus powiedział: *Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali* (J 13,35). Zwierzchnik UPC przytoczył słowa św. Jana Złotoustego, który nauczał, iż Cerkiew to nie ściany i dach, ale wiara i życie. Nie należy oddalać się od niej, ponieważ nie ma nic silniejszego niż Cerkiew, która jest nadzieją i schronieniem.

Uczestnicy zjazdu zwrócili się z apelem do prezydenta **Wołodymyra Zełenskiego** w imieniu tych wiernych UPC, którzy zostali ciężko ranni podczas przejmowania świątyń, mają rozbite głowy i połamane ręce, a także w imieniu duchownych, którzy są bezzasadnie wzywani na przesłuchania do organów ścigania, poniżani na wszelkie sposoby, poddawani presji psychologicznej i szantażowani. Przedstawiciele zagarniętych świątyń UPC, do których chodzili ich dziadkowie i pradziadkowie, z przykrością stwierdzili, że będąc największą



Uczestnicy zjazdu w Ławrze Kijowsko-Pieczerskiej

wspólnotą wyznaniową w Ukrainie niestety tracą nadzieję, iż prawo do wolności wyznania zostanie zagwarantowane przez władze państwowe. Obecne ustawodawstwo, które powinno regulować religijne stosunki prawne w państwie, wręcz przeciwnie, pogłębia rozłam w społeczeństwie, dzieli ludzi na przyjaciół i wrogów, co prowadzi do wzrostu liczby konfrontacji międzywyznaniowych, wrogości religijnej i intensyfikacji konfliktów w państwie.

Wyrażono głębokie zaniepokojenie, że w ostatnich latach Ministerstwo Kultury Ukrainy, poprzez nadużycia i manipulacje, stosuje antykonstytucyjne ustawy wyłącznie przeciwko UPC i siłą próbuje zmienić jej własną nazwę. Urzędnicy łamią zasadę równości wszystkich wyznań i ograniczają prawa jednej wspólnoty religijnej spośród innych, co jest dyskryminacją milionów wyznawców UPC ze względu na wyznanie. Organy państwowe, ingerując w wewnętrzne sprawy Cerkwi, narzucają swoje pojmowanie jej struktury religijnej i hierarchicznej. Wspólnoty UPC znajdują się pod ciągłą presją władz państwowych i złoczyńców stosujących przemoc. Pozbawiono je możliwości m.in. wprowadzania zmian w dokumentach założycielskich, otwierania rachunków w instytucjach bankowych, korzystania z usług notariuszy, rejestrowania praw do działek pod budynkami sakralnymi. Prowadzone są działania prowokacyjne, destabilizujące ukraińskie społeczeństwo, które stanowią próbę dyskredytacji UPC. Wzrasta liczba przestępstw o podłożu religijnym, a także zażaleń do sądów wobec działań władzy państwowej. Przedstawiciele przejętych świątyń wezwali prezydenta do podjęcia niezwłocznych i stanowczych działań w celu ochrony konstytucyjnych praw wiernych UPC i stworzenia równych oraz bezpiecznych warunków życia dla wszystkich obywateli, a także zaprzestania wszelkiego rodzaju przemocy.

Do sytuacji na Ukrainie odniósł się metropolita Wostry **Tymoteusz** (**Margaritis**) z patriarchatu jerozolimskiego, egzarcha Świętego Grobu Pańskiego na Cyprze, który podzielił się swoimi przemyśleniami po obejrzeniu filmu o prześladowanych wiernych UPC pod tytułem „Wierni: hymn miłości". Hierarcha stwierdził, że jest to przerażające, iż ludzie nazywający się prawosławnymi chrześcijanami z wielką nienawiścią i przemocą przejmują świątynie, wyważają drzwi, prześladują swoich rodaków zarówno duchowo, jak i fizycznie, napadają na nich i dzielą Cerkiew. Brutalne stosowanie siły, piętnowanie i nękanie wywołują oburzenie i potępienie na całym świecie. To wszystko jedynie dowodzi, że zaangażowani w te działania są dalecy od chrześcijańskiego ducha i nauki, które cechuje miłość i miłosierdzie nawet wobec wrogów. Jeszcze bardziej haniebne jest to, iż niegodziwości czynią członkowie PCU lub w jej imieniu i przy udziale władz lokalnych, mimo że są to akty przestępcze, podżegające do nienawiści między wierzącymi tego samego narodu ukraińskiego. Takie zachowania służą interesom wrogów Cerkwi prawosławnej, pogłębiają podziały, niszczą mosty do pojednania i duchowego rozwoju prawosławnych na Ukrainie, gdzie UPC realizuje swoją zbawczą misję pod duchowym przywództwem metropolity Onufrego, który jest uznawany przez zdecydowaną większość lokalnych Cerkwi prawosławnych na świecie. Każdy prawdziwie wierzący człowiek niewątpliwie potępia te wszystkie nikczemne działania, które są obce duchowi chrześcijańskiemu – podsumował hierarcha.

Metropolita boryspolski i browarski **Antoni** (**Pakanycz**), kierujący sprawami UPC, stwierdził, że kłamstwa, tchórzostwo i podłość prześladowców są odrażające. Każdy wcześniej czy później poniesie odpowiedzialność za swoje czyny. Historia Cerkwi pokazuje, jak smutno i tragicznie kończyli swój żywot ci, którzy dręczyli i napadali na innych. Ewangelia zachęca, aby trzymać się z dala od takich ludzi: *To są ślepi przewodnicy ślepych. Lecz jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną* (Mt 15,14). Trzeba unikać osób, które uległy zepsuciu, gdyż one potępiły już samych siebie. Hierarcha podkreślił, że w trudnych momentach istnienia Cerkwi niezwykle ważne i umacniające są przykłady tych chrześcijan, którzy ponieśli męczeństwo w czasach prześladowań. Obecnie szczególnie bliscy dla wielu stali się nowi męczennicy i wyznawcy XX wieku.

Na Ukrainie jak dotąd odnotowano około pięciuset przypadków konfiskaty lub nielegalnej ponownej rejestracji wspólnot UPC. Złożono około czterystu pozwów sądowych w celu ochrony praw wiernych i wszczęto około 250 postępowań karnych w związku z działaniami związanymi z bezprawnymi przejęciami świątyń. W obliczu kolejnej fali nacisków, prześladowań i prowokacji, związanych z postawą władz państwowych, obserwuje się u wiernych UPC wzrost wiary, a także wzmożoną jedność lokalnych wspólnot parafialnych. Pomimo coraz częstszych ataków, szantaży, nękania i stosowania przemocy fizycznej, wśród ludzi rośnie determinacja i nieustępliwość w obronie swoich podstawowych i nienaruszalnych praw, gwarantowanych przez normy ustawodawstwa krajowego i międzynarodowego.

Andrzej Charyło
fot. **www.news.church.ua**



A nas coraz mniej

Białorusini w Polsce „wymierają". Tuż po zakończeniu wojny ich liczbę szacowano na 160 tysięcy. Około 40 tysięcy w latach 1945-1946, w obawie przed terrorem polskiego podziemia niepodległościowego, wyjechało do ZSRR. Z pozostałych około 50 tys. utraciło swoją narodową tożsamość. Proces szybkiej polonizacji polskich Białorusinów potwierdzają wyniki dwóch ostatnich, przeprowadzonych w latach 2002 i 2011, spisów, w których pojawiło się pytanie o narodowość. Na przestrzeni niespełna dziesięciu lat liczba mieszkańców województwa podlaskiego, deklarujących przynależność do białoruskiej mniejszości, zmniejszyła się o blisko 20 procent.

Przyczyny negatywnych dla naszej społeczności procesów są znane. Część z nich została wymieniona w uchwalonym przez sejmową Komisję Mniejszości Narodowych i Etnicznych, skierowanym do prezesa Rady Ministrów **Mateusza Morawieckiego** dezyderacie „w sprawie sytuacji mniejszości białoruskiej w Polsce".

„Z przedstawionych Komisji – napisali posłowie (pełny tekst dezyderatu na stronie sejm.gov.pl) – ekspertyz oraz opinii przedstawicieli organizacji białoruskich i osób reprezentujących samorządy regionu zamieszkałego przez mniejszość białoruską wynika, że głównymi przyczynami szybkiej asymilacji mniejszości białoruskiej są:

– brak perspektyw rozwojowych regionu, wynikający z peryferyjnego położenia oraz istniejących ograniczeń gospodarczych i inwestycyjnych – w powiecie hajnowskim 60 proc. powierzchni to obszary przyrodnicze prawnie chronione. Ograniczenia gospodarczego wykorzystania zasobów Puszczy Białowieskiej są jedną z ważnych przyczyn gwałtownej depopulacji w powiecie hajnowskim – na przestrzeni ostatnich 20 lat ludność tego powiatu zmniejszyła się o ponad 20 proc.

– funkcjonowanie białoruskiej mniejszości w sytuacji grupy stygmatyzowanej;

– rozbicie i rozdrobnienia organizacyjne ruchu białoruskiego, co utrudnia formułowanie wspólnego stanowiska odnośnie najważniejszych dla tej społeczności problemów;

– prawdopodobne ograniczenia, wynikające z obecnej sytuacji w Republice Białoruś – w realizowanych przez gminy euroregionu Puszcza Białowieska programów współpracy transgranicznej.

Komisja uznaje za konieczne podjęcie działań służących zahamowaniu procesów depopulacji obszarów zamieszkałych przez mniejszość białoruską. W związku z powyższym Komisja zwraca się do pana Premiera z prośbą:

– o objęcie gmin powiatu hajnowskiego i sąsiadujących gmin powiatów Bielsk Podlaski, Siemiatycze i Białystok, będących największym skupiskiem mniejszości białoruskiej, przewidywaną w dokumentach Unii Europejskiej i Strategii Rozwoju Województwa Podlaskiego formą Obszarów Strategicznej Interwencji (OSI) oraz programem Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych (ZIT);

– wsparcie budowy centrum przyrodoleczniczego i rehabilitacyjnego w Hajnówce, które daje szanse stworzenia ponad stu nowych miejsc pracy poza leśnictwem i przemysłem drzewnym;

– wsparcie inwestycji w Bielsku Podlaskim – budowy hali sportowej przy Liceum Ogólnokształcącym z Białoruskim Językiem Nauczania oraz budowy amfiteatru.

Inwestycje te, a także preferencje zastosowane w ramach wspomnianych wyżej programów, pozwolą zahamować negatywne tendencje demograficzne i ekonomiczne regionu zamieszkałego w dużej części przez obywateli należących do mniejszości białoruskiej. Komisja zwraca się do Pana Premiera z prośbą o podjęcie dialogu i współpracy między administracją rządową i samorządami z w/w obszarów. Celem takiej współpracy winno być zwiększenie efektywności działań mających chronić mniejszość białoruską przed procesami szybkiej asymilacji i utratą tożsamości kulturowej".

Pracami komisji, poza prof. **Olegiem Łatyszonkiem**, działacze i dziennikarze licznych białoruskich organizacji i redakcji nie byli zainteresowani. Żadna z tych organizacji nie zwróciła się do rządu z poparciem lub prośbą o uzupełnienie zawartych w dezyderacie postulatów.

Nie dziwi więc ogólnikowa odpowiedź rządu.

„Odnosząc się do postulatów zawartych w dezyderacie nr 1 Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP – czytamy w odpowiedzi – skierowanym do Prezesa Rady Ministrów i przekazanym do Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, pismem znak BMP-0718-4-1/2020/MJ z dnia 31 grudnia 2020 roku, przedstawiam następujące informacje.

Na wstępie, zgodnie z brzmieniem pisma Pana Błażeja Pobożego, Podsekretarza Stanu w MSWiA, informuję, że środki z budżetu państwa w części pozostającej w dyspozycji ministra właściwego do spraw wyznań religijnych oraz mniejszości narodowych i etnicznych są corocznie przyznawane na realizację zadań służących ochronie, podtrzymaniu i rozwojowi tożsamości kulturowej mniejszości białoruskiej.

Odnosząc się do postulatów przedstawianych w dezyderacie, przedstawiam – zgodnie z właściwością ministra właściwego do spraw rozwoju regionalnego – co następuje:

Jednym z celów Europejskiego Funduszu Społecznego jest poprawa jakości życia mieszkańców krajów członkowskich Unii Europejskiej. Z tego powodu zaplanowane wsparcie obejmuje między innymi działania dotyczące aktywizacji zawodowej osób bezrobotnych i biernych zawodowo oraz działania z zakresu poprawy sytuacji na rynku pracy osób pracujących, których zatrudnienie jest niskiej jako-

ści, tj. osób ubogich pracujących oraz pracujących w ramach umów krótkoterminowych i cywilnoprawnych. Wsparcie to realizowane jest zarówno w ramach Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój 2014-2020 oraz w ramach Regionalnych Programów Operacyjnych (RPO). Uczestnicy projektów uzyskują wsparcie „szyte na miarę", czyli jak najbardziej dopasowane do potrzeb i możliwości danej osoby. Dla każdego uczestnika projektu opracowywany jest Indywidualny Plan Działania, który określa formy pomocy dla danej osoby w projekcie. Oferowane wsparcie to między innymi doradztwo zawodowe, pośrednictwo pracy, staże, praktyki, szkolenia, zatrudnienie subsydiowane, pomoc przy założeniu działalności gospodarczej, uzupełnienie braków w edukacji, bony zasiedleniowe. Osoby z niepełnosprawnościami mogą dodatkowo skorzystać z zatrudnienia wspomaganego i możliwości zatrudnienia asystenta osobistego.

Równie istotną kwestią dotyczącą poprawy jakości życia mieszkańców danego regionu jest kwestia dostępu do wysokiej jakości usług społecznych. W ramach Działania 2.8 Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój 2014-2020 realizowane są projekty, których celem jest pilotaż rozwiązań przewidzianych w ustawie z 19 lipca 2020 roku o realizowaniu usług społecznych przez centrum usług społecznych, w wybranych gminach w Polsce. Jeden z tych projektów realizowany jest w gminie Łapy (powiat białostocki). (...) Realizacja projektu dopiero się rozpoczyna i będzie trwać do końca 2023 roku. Zaplanowany na to przedsięwzięcie budżet to ponad 3 mln złotych.

Również w ramach Działania 2.8 Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój 2014-2020 realizowany jest projekt Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, którego celem jest ułatwienie integracji społeczno-zawodowej osób z potrzebami wsparcia w zakresie mobilności poprzez zapewnienie przez jednostki samorządu terytorialnego usług indywidualnego transportu door-to-door oraz poprawę dostępności architektonicznej wielorodzinnych budynków mieszkalnych. Wśród gmin, które uzyskały dofinansowanie na to działanie, znalazła się wspomniana wyżej gmina Łapy oraz gmina Siemiatycze. Wartość grantów dla tych gmin to ponad 1,1 mln złotych. Realizację tych działań zaplanowano do końca 2022 roku.

Należy również zaznaczyć, że głównym dokumentem określającym potrzeby rozwojowe i kierunki wsparcia w województwie podlaskim jest Strategia Rozwoju Województwa Podlaskiego 2030, która została przyjęta w kwietniu 2020 roku i stanowi aktualizację wcześniej obowiązującej strategii województwa.

Głównym narzędziem realizacji Strategii Rozwoju Województwa Podlaskiego 2030 jest Regionalny Program Operacyjny Województwa Podlaskiego (RPO WP). Program koncentruje się na poprawie dostępności transportowej, gospodarce niskoemisyjnej, infrastrukturze dla usług użyteczności publicznej oraz kompetencjach i kwalifikacjach zawodowych. Głównymi beneficjentami w/w środków są jednostki samorządu terytorialnego (JST) oraz przedsiębiorcy. W ramach interwencji programu podejmowane są również działania na rzecz przeciwdziałania dyskryminacji na tle rasowym, etnicznym, narodowościowym oraz religijnym – szczególnie w zakresie działań związanych z włączeniem społecznym oraz edukacją, gdzie nacisk położony jest na kształtowanie otwartości mieszkańców na mniejszości. W związku z powyższym realizowane są m.in. działania ukierunkowane na rewitalizację społeczną, w tym na zaktywizowanie społeczności lokalnych i rozwój lokalny, ze szczególnym uwzględnieniem społeczności marginalizowanych, w szczególności na obszary biedy, rewitalizowane, wiejskie, a także działania wspierające dialog międzypokoleniowy i międzykulturowy. Powyższe działania możliwe będą do realizacji również w ramach wsparcia programów polityki spójności na lata 2021-2027.

Odnosząc się do wsparcia w formule Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych (ZIT), informuję, że ZIT w perspektywie finansowej 2021-2027 pozostanie instrumentem rozwoju terytorialnego dedykowanym w Polsce miejskim obszarom funkcjonalnym, jednakże delimitacja ZIT nie będzie narzucana lub sugerowana odgórnie (jak to miało miejsce w przypadku miejskich obszarów funkcjonalnych ośrodków wojewódzkich).

Miejskie obszary funkcjonalne mające zostać objęte ZIT w perspektywie 2021-2027 będą musiały być uprzednio wskazane we właściwej strategii rozwoju województwa jako jeden z typów obligatoryjnie wyznaczanych w niej obszarów strategicznej interwencji o znaczeniu regionalnym. W związku z powyższym ich wyznaczenie, a w konsekwencji decyzja o objęciu instrumentem ZIT, pozostaje w gestii samorządu województwa.

Z poważaniem
z upoważnienia ministra
Waldemar Buda, Sekretarz Stanu
w Ministerstwie Funduszy
i Polityki Regionalnej
(podpisano elektronicznie)".

Z odpowiedzi wynika, że w sprawie mniejszości białoruskiej rząd nie zamierza podejmować jakichkolwiek, oprócz realizowanych obecnie, dodatkowych działań. Te działania to przeznaczane z budżetu MSWiA środki na wydawnictwa i organizowanie białoruskich imprez kulturalnych (ponad dwa miliony zł każdego roku), zwiększona subwencja dla szkół, w których nauczany jest język białoruski (około 11 mln zł rocznie), finansowanie białoruskiego radia Racja i kanału TV Biełsat (w 2020 roku przeznaczono 40 mln zł).

Od 1 kwietnia do 30 czerwca zostanie przeprowadzony spis powszechny. Czy wyniki spisu potwierdzą smutną dla nas tendencję „wymierania" Białorusinów w Polsce? Jeśli tak, to będzie to ostatni dzwonek dla działaczy organizacji białoruskich, że najwyższy czas podjąć wspólne, ratujące naszą małą ojczyznę przed dalszą społeczno-ekonomiczną degradacją, działania.

Eugeniusz Czykwin



BLISKI WSCHÓD

Co osiągnięto wprowadzając demokrację siłą

Efektem amerykańskich wysiłków, by siłą „wprowadzać demokrację" na Bliskim Wschodzie, był gwałtowny spadek liczby chrześcijan mieszkających w tych krajach – tak metropolita **Hilarion**, przewodniczący oddziału ds. stosunków zewnętrznych ruskiej Cerkwi, skomentował zapowiedź **Antony'ego Blinkena**, sekretarza stanu USA, że jego kraj nie będzie już zaszczepiać demokracji z użyciem kosztownych operacji wojskowych.

– *Rozpatruję ten problem przez pryzmat położenia chrześcijan w tych krajach, bo informacje na ten temat posiadam z pierwszej ręki i mogę zaświadczyć, do czego doszło na przykład w Iraku, gdzie Amerykanie usiłowali wprowadzać demokrację poprzez wojskową interwencję* – podkreślił arcypasterz. – *Tam nadal nie ma demokracji. Ale pod rządami Saddama Husajna mieszkało tam półtora miliona chrześcijan, teraz w najlepszym razie pozostaje zaledwie 150 tysięcy.* Hierarcha odwołał się też do przykładu Libii: – *Obalono Muammara Kadafiego. Ale chrześcijanie żyli w Libii pod rządami Kadafiego, teraz praktycznie już ich nie ma. To bardzo prosta, bardzo żywa ilustracja tego, jak błędna, a nawet powiedziałbym że zbrodnicza, była polityka zagraniczna Ameryki wobec krajów Bliskiego Wschodu*.

Zdaniem hierarchy, jeśli Stany Zjednoczone odstąpią od takiego „promowania demokracji", „zostanie to bardzo pozytywnie odebrane nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale na całym świecie".

EGIPT

Odkryto być może najstarszy monaster

Pozostałości świątynnego kompleksu, który może być najstarszym monasterem, odkryła w Tel Ganoub Qasr al Agouz (370 kilometrów od Kairu) norwesko-francuska ekspedycja. Podczas wykopalisk odnaleziono szereg budynków wzniesionych z bazaltu i cegły, także wykutych w skale. Budowle, mimo solidnego wieku, zachowały się w dobrym stanie. Zdaniem ekspertów najstarsze z nich pochodzą z połowy IV wieku, najmłodsze z VII, kiedy monaster został opuszczony.

Szef ekspedycji, dr **Victor Gica**, poinformował, że w bieżącym sezonie naukowcy odnaleźli dziewiętnaście wysieczonych w skale komnat. Odkryto także jedną dość masywną cerkiew, zbudowaną obok podtrzymującej ją skały, w której zostały wykute dwa sąsiadujące z nią pomieszczenia. W centrum dużego kompleksu wcześniej odkryto świątynię i przylegające do niej pomieszczenia, *trapiezną*, sześć *kielii*, z których jedna była cerkwią.

Na ścianach odnaleziono napisy wykonane żółtym atramentem. Były to głównie fragmenty Biblii w języku greckim, co wskazuje na monastyczny charakter budowli.

Chrześcijańscy mnisi osiedli w tym regionie nie później niż w V wieku, a właściwie u zarania chrześcijaństwa jako religii powszechnej.

Większość znalezionych w pomieszczeniach naczyń datowana jest na V-VI wiek. Sądząc po sposobie budowania oraz wewnętrznym wystroju ta monasterska wspólnota, jedna z pierwszych w Egipcie, kierowała się obowiązującymi zasadami i surowo ich przestrzegała.

Pośrednie dowody wskazują na to, że pierwsze monasterskie budowle mogły być wzniesione około 350 roku. Jeśli to przypuszczenie się potwierdzi, kompleks zostanie oficjalnie uznany za najstarszy znany nauce chrześcijański monaster na świecie. Najstarsze znalezione tutaj monety i fragmenty ceramiki pochodzą z 350 roku. – *Wydaje się, że znaleźliśmy najstarszy monaster na świecie* – powiedział Wiktor Gica w wywiadzie dla norweskiej telewizji NRK. – *Te znaleziska zmieniają naszą wiedzę o wczesnym chrześcijaństwie. Już w 350 roku naszej ery na skraju rzymskiego imperium istniały monastyczne wspólnoty*.

Archeologowie znaleźli w pomieszczeniach także przedmioty ze szkła, uważane za bardzo cenny i ekskluzywny towar, a wyrabiane jedynie przez kilka pracowni na terenie współczesnego Tunisu i Algieru.

Wykopaliska dowiodły, że ludzie porzucili monaster w dużym pośpiechu. W piecach znaleziono resztki przygotowywanych potraw, na stołach stały naczynia. Sprawia to wrażenie, że ktoś nagle podczas *trapiezy* wtargnął do monasteru.

ETIOPIA

Giną chrześcijanie

Co najmniej 29 osób zginęło w wyniku ataku bojowników na cerkiew w etiopskim regionie Oromia, doniosło lokalne wydanie Addis Standard. Naoczni świadkowie poinformowali, że do ataku doszło 5 marca w rejonie Wschodnia Wellega. Nieznani sprawcy zaatakowali budynek świątyni, kiedy wierni etiopskiej Cerkwi rozpoczynali Wielki Post.

Zdaniem miejscowych, atakujący należeli do bojowego skrzydła

Frontu Wyzwolenia Oromo. Zginął proboszcz, także 21 kobiet, niektóre z małymi dziećmi. Bojownicy uprowadzili je do lasu, tam odnaleziono ich ciała. Jednej z kobiet udało się zbiec.

„Front wyzwolenia Oromo" do lipca 2018 roku znajdował się na liście organizacji terrorystycznych Etiopii. Po zapewnieniach o gotowości uczestnictwa w życiu politycznym kraju przy użyciu pokojowych metod, władze usunęły go z tej listy.

Wieści o prześladowaniach chrześcijan w Afryce docierają regularnie – media donoszą o podpaleniu już dziewiątej cerkwi podczas dwóch ostatnich miesięcy, dochodzi do powtórnych napaści. W celu zastraszania wiernych porywani są uczniowie i studenci.

IZRAEL

Kolejne zwoje znad Morza Martwego

Po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat w jaskiniach nad Morzem Martwym izraelscy archeolodzy odnaleźli około dwudziestu fragmentów zwojów biblijnych niemal sprzed dwóch tysięcy lat. Poprzednimi takimi artefaktami były słynne rękopisy z Qumran.

Odnalezione kawałki pergaminu z wierszami ksiąg Zachariasza i Nahuma z Księgi Dwunastu Małych Proroków, spisane są po grecku, jedynie imię Boga zapisano przy użycia pisma hebrajskiego. Ustalono już, że wyszły spod ręki dwóch różnych osób. Uczeni przypuszczają, że zostały ukryte przez żydowskich uchodźców podczas powstania Bar Kochby przeciwko Rzymowi w latach 132-136.

Zwoje znajdowały się w tzw. jaskini strachu w rezerwacie przyrody Nahal Heter Judea Desert, około osiemdziesięciu metrów poniżej szczytu stromej skały.

Do odkrycia, okrzykniętego już sensacyjnym, doszło w ramach bezprecedensowej operacji ratowania starożytnych artefaktów w jaskiniach w całej pustyni judzkiej. Rozpoczęła się ona w 2017 roku, po tym, jak jaskinie, prawdopodobnie w poszukiwaniu starożytnych tekstów biblijnych, zaczęli przeczesywać „czarni archeolodzy".

Warto przypomnieć, że słynne rękopisy z Qumran, odkryte około 70 lat wcześniej, zostały odnalezione nie przez uczonych, lecz Beduinów. Ogromna wartość takich artefaktów, a więc i wysoka cena z pewnością przyciąga uwagę handlarzy.

Podczas tej operacji archeolodzy odkryli także nakryty tkaniną pochodzący sprzed sześciu tysięcy lat zmunifikowany szkielet dziecka oraz idealnie zachowany duży kosz o pojemności 90-100 litrów sprzed 10,5 tysiąca lat.

– *Niedawno odkryte fragmenty zwojów z tekstami biblijnymi są dzwonkiem alarmowym dla państwa* – uważa **Israel Hasson**, generalny dyrektor Izraelskiego Urzędu ds. Starożytności. – *Powinniśmy się zatroszczyć o to, by odnaleźć wszystkie artefakty, nim to zrobią grabieżcy. Niektóre z tych eksponatów są bezcenne*.

W operacji uczestniczą trzy grupy archeologów. Korzystają z dronów i alpinistycznego ekwipunku, co pomaga dotrzeć nawet do bardzo trudno dostępnych jaskiń, do których ludzie nie zachodzili już prawie dwa tysiące lat.

ROSJA

Cerkiew odzyskała świątynię

Sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Z okazji 800-lecia urodzin św. Aleksandra Newskiego, jedyny w Aleksandronewskiej Ławrze poświęcony mu *prestoł* powrócił do swego pierwotnego właściciela. Władze właśnie przekazały monasterowi w nieodpłatne użytkowanie górną, poświęconą św. Aleksandrowi Newskiemu, świątynię dwupoziomowej *Błagowieszczańsko-Aleksandronewskiej* cerkwi, a tymczasowemu użytkownikowi, Muzeum Miejskiej Rzeźby, znalazły zastępcze pomieszczenie.

– *7 kwietnia, w dzień założenia wspólnoty, w cerkwi po 88-letniej przerwie zostanie odprawiona Liturgia* – poinformował namiestnik Ławry, biskup kronsztadzki **Nazarij**.

Budynek dwupoziomowej *Błagowieszczańsko-Aleksandronewskiej* cerkwi był pierwszą murowaną budowlą całego kompleksu, jednym z najbardziej charakterystycznych zabytków petersburskiej architektury początku XVIII wieku. Górna cerkiew została wyświęcona 12 września 1724 roku. Tego dnia, zgodnie z rozporządzeniem **Piotra I**, uroczyście zostały przywiezione z Włodzimierza relikwie świętego. Pozostawały one w Aleksandronewskiej cerkwi do wybudowania w 1790 roku soboru Świętej Trójcy.

Dolna cerkiew Zwiastowania Bogarodzicy została wyświęcona 7 kwietnia 1725 roku.

W obu cerkwiach przed rewolucją regularnie odbywały się nabożeństwa. W podziemiach dolnej planowano urządzić *trapiezną*, ale z powodu ograniczonego miejsca na pochówki znanych osób urządzono tam *usypalnicę*.

Nawet po zamknięciu monasteru w 1932 roku przy *Błagowieszczeńskiej* cerkwi jeszcze przez kilka lat istniała parafia. Z zachowanych ksiąg wynika, że regularnie odprawiano Liturgie i panichidy za dusze pochowanych w świątyni ludzi.

Cerkiew zamknięto w 1933 roku. Pierwsze piętro przekazano Muzeum Miejskiej Rzeźby (powstałe w oparciu o zbiory cmentarnych rzeźb i monumentów), drugie w 1935 podzielono na różne pomieszczenia. W latach 1948-1949 muzeum zajęło oba piętra.

Od czasu odrodzenia Aleksandronewskiej Ławry jako monasteru petersburskiej diecezji w 1996 roku, wspólnota niejednokrotnie apelowała o zwrot wszystkich swoich pomieszczeń z *Błagowieszczańsko-Aleksandronewską* cerkwią włącznie.

Wobec prześladowań w Afryce

Skala prześladowań chrześcijan w Afryce wcale się nie zmniejsza, podkreślił przewodniczący synodalnego oddziału moskiewskiego patriarchatu do spraw stosunków Cerkwi ze społeczeństwem i mediami **Władimir Legojda**. Media informują już o dziewiątym podpaleniu cerkwi w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, przy czym pod niektóre świątynie

ogień podkładany był powtórnie. W celu zastraszania i wywierania presji na wierzących porywane są dzieci w wieku szkolnym i studenci. W końcu lutego w Nigerii, podczas zbrojnego ataku terrorystów, uprowadzono 317 uczennic, a dwa miesiące wcześniej 350 chłopców. Przewodniczący synodalnego oddziału przedstawił statystyki, z których wynika, że nowy radykalny islamizm wymierzony jest w pierwszym rzędzie przeciwko chrześcijańskim regionom Nigerii, w których mieszka co najmniej 90 milionów chrześcijan. – *Czy można sobie wyobrazić, że gdzieś w Wielkiej Brytanii czy Niemczech doszło do zbrojnego uprowadzenia setek dzieci i nie stałoby się to przedmiotem dyskusji całej międzynarodowej społeczności? A jaka jest reakcja po tak nieludzkich czynach w krajach tzw. trzeciego świata? Niemal całkowite milczenie międzynarodowej społeczności* – powiedział.

Wcześniej ruska Cerkiew wezwała wszystkie wyznania chrześcijańskie i organizacje międzynarodowe do utworzenia szerokiego sojuszu w obronie prześladowanych chrześcijan w Afryce.

Jak podkreślił metropolita **Hilarion**, przewodniczący oddziału ds. stosunków zewnętrznych moskiewskiego patriarchatu, sojusz ów przekazywałby informacje o sytuacji chrześcijan oraz organizowałby pomoc humanitarną. – *Afrykańskie chrześcijaństwo jest obecnie najszybciej rozwijającym się na świecie, a działalność terrorystów może odwrócić ten trend* – powiedział podczas konferencji internetowej *Rossija siegodnia*. Jak wynika z zaprezentowanych przez niego danych, najtrudniejsza sytuacja występuje w regionach na południe od Sahary, w szczególności w Nigerii, gdzie „ma miejsce prawdziwe ludobójstwo”.

SERBIA

Pierwszy wywiad patriarchy

Podczas pierwszego wywiadu nowego zwierzchnika serbskiej Cerkwi, udzielonego serbskiej telewizji, patriarcha **Porfiriusz** zaprezentował swoje stanowisko wobec kwestii Kosowa.

Na pytanie dziennikarza, czy Kosowo jest częścią Serbii, odparł:

– Myślę, że nie ma tutaj żadnego dylematu. Fizycznie w tej chwili nasze państwo nie jest tam obecne w pełnym znaczeniu tego słowa, ale Kosowo jest częścią Serbii, a stanowisko Cerkwi w tej kwestii było już tyle razy wyrażane soborowo, że wszystko co bym tu dodał, byłoby zbyteczne. Referendum w sprawie Kosowa odbyło się w 1389 roku w Vidovdan – podkreślił hierarcha, mając na myśli kosowską bitwę. *– Kosowo jest nie tylko kolebką naszego narodu, ale i arką, pełną relikwii świętych. Kosowo to nie tylko kwestia geopolityczna, to także problem naszej narodowej tożsamości. Jestem głęboko przekonany, że chociaż polityczne okoliczności nie sprzyjają w najmniejszym stopniu naszemu narodowi, nasze państwo poprzez kanały dyplomatyczne i strategiczne czyni wszystko, żeby zachować pokój na tej ziemi i podejmuje wszelkie kroki dla dobra naszego narodu.*

Na pytanie o dialog i dyskusję nad dalszymi losami Kosowa oraz polityką Serbii w tej kwestii patriarcha powiedział: *Myślę, że o wszystkim trzeba rozmawiać, do tego wzywa nas Ewangelia,ale nigdy nie zgodziłbym się na prowadzenie rozmów ze szkodą dla nas albo ze szkodą dla innych. Kosowo w ciągu ostatnich sześciu wieków to modlitewny temat dla nas, Serbów. Po sześciu wiekach pozostaliśmy w Kosowie, Kosowo pozostało w Serbii. Dlatego rozmawiać o wspólnym życiu trzeba, ale wszystko co jest ponad to i oprócz tego byłoby dla Cerkwi wyrzeczeniem się istoty naszego bytu.*

Zostałem mnichem w Kosowie, w Deczanach. Moim pierwszym biskupem był zmarły patriarcha Paweł, który mówił, że modlitwa jest najsilniejszą bronią przeciwko złu i jeszcze dodawał: „Jeśli Bóg jest z nami, nikt niczego nie może nam zrobić. I ja wierzę, że Bóg rzeczywiście jest z nami, dlatego że w przypadku Kosowa prawda leży po naszej stronie. Musimy więcej modlić się do Boga, żeby nas umocnił, żebyśmy rzeczywiście wypracowali zasady koegzystencji z nie Serbami w Kosowie i pokazali i udowodnili, że Kosowo jednocześnie jest zarówno ich domem, jak i częścią Serbii”.

UKRAINA

Odnaleziono cenny rękopis

W archiwum Biblioteki Naukowej Uniwersytetu Lwowskiego odnaleziono odręczną kopię Kijowsko-Pieczerskiego Pateryku, sporządzoną w 1619 roku przez hieromnicha Maniawskiego *skitu* **Ignatija**, poinformował Uniwersytet Podkarpacki w Iwano-Frankowsku.

Po przeprowadzeniu badań sensacyjne znalezisko zaprezentuje jego współodkrywca, dziekan wydziału historii, politologii i stosunków międzynarodowych uczelni, prof. **Nikołaj Kugutiak**.

Historycy odkryli rękopis podczas poszukiwań wcześniejszego manuskryptu Kijowsko-Pieczerskiego Pateryku z dwunastego wieku, który ich zdaniem został sporządzony w tym samym Maniawskim *skicie* (nieopodal wsi Maniawa, obwód iwano-frankowski). Poszukiwania trwają już szesnaście lat.

Naukowcy, którzy dopiero zaczęli studiować dokument, już podkreślają że „świadczy on o jednym obszarze kulturowym od Kijowa po Karpaty”.

Kijowsko-Pieczerski Pateryk, zabytek staroruskiej literatury, jest zbiorem opowieści o założeniu kijowsko-pieczerskiego monasteru i życiu jego pierwszych mnichów. Jego podstawę stanowią teksty, spisane przez biskupa włodzimierskiego i suzdalskiego **Szymona** oraz mnicha monasteru **Polikarpa** z pierwszej połowy trzynastego wieku, uzupełniane w ciągu wieków o kolejne narracje.

na podst. spzh.news,
pravoslavie.ru, church.by
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **www.rtbf.be**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /149/ kwiecień 2021



Ne tak szcze poka u nas

Ostatnio jakoś wyskoczyw mnie na Internetowi taki strim (i ne odin, bo po perszomu sam komputer poczaw dobirati wsi podobny toho typu peredaczy, publiczny online konsultacji, webinary… czy jak by szcze tam ich ne nazywajut) pro relacji pożyłych bat'kuow i dorosłych diti. Nu tak słuchaju, dzwoniat dieti, wże dorosły, rozkazujut pro trawmy, czy nawet' czasami trudno to nazwati trawmoju, a raczej jakimś sowsiem neznacznym wydarzeniom z dalekoho proszłoho, kotore odnako tak wryezałoś w bardzo czustwitielnu strukturu psychiki ditiata, szto dosiuol, buduczy wże w lietiach, ne mohut pro siete zabyti i jak wyjaśniaje psycholog, w taki to a taki sposub odbiwajećcia wono na ich relacjach z okrużajuszczym mirom. Ne howoru tut pro oczywisty sytuacji nasilija fizycznoho czy psychicznoho, tut to poniatno. Ale jakijiś irundy, sztoś neznaczytielne bat'ki koliś skazali i dieti do swoji hroboweji doski nejak ne mohut toho zabyti. Uże simjie pozakładali, a wsio nesut (choczećcia skazati – tiahnut) obidu, a to i prosto nienawiść do bat'kuow. Wmiesto toho, kob jak dorosłomu do sietoho problemu, jaki by wuon ne byw, puditi, pererobiti (a jak samomu ne udajećcia, to z pomoszczoju terapeuta, ale dobroho terapeuta, kotory szcze buolsz ne powredit, a faktyczno pomoże), to derżat ciełe życie, sami muczaćcia i muczat druhich, bo ne pererobiwszy trawmy, jak twerdiat psychoanalityki, ne można miety poprawnych kontaktuw z druhimi ludima. To pro trawmy z maleńkości. Ale okazujećcia i teper ne umiejut po dorosłemu reagowati w relacjach z bat'kami; może to tyji tarakany z proszłoho wsio wyłaziat. Tak trudno pereżywajut i nerwujućcia tym, że na prykład mati (bo to czastiej wsio –taki wona) sztoś może i chotieła by szcze znati, intieresujećcia jak tam dieti, a toj i poraditi probuje, jak bida u ich, czy sztoś do jiedła pudsowaje. Dorosły nedorosły dieti wkurzajućcia: „jak maleńkomu" i nejak ne mohut poniati, że mati z troski, z dobroho sercia, ponimawszy, jak zabiehany nasz wiek, a

może kob i potryebnuj szcze czutiś. Kazałoś by, szto tut diwnoho pry bliśkich odnoszenijach. A tut im każut: „dosiuol ne nauczyli, to wsio – teper ne pchaj nosa". A szto ż psycholog na toje? A ot tak: raz tebe biesiat – ne jied' do bat'kuow, ne utrymuj kontaktuw, blokuj telefony. Ne narawićcia – ne obszczajsia, robi tuolko toje, szto choczesz, szto tobie pryjatne. Nu chwatit takiji dalni, formalny odnoszenija: kartka czy telefon pud świato, czy na urodziny „pozdrawlaju i pa pa, leczu u mene dieła". A druhi psycholog (a konkretno psycholożka) na pytanie słuchacza: „szto ja dołżen swojemu roditielu?" odkazuje: „Wy nie dołżny swojemu roditielu niczewo". Ot jak.

Ne odneji sugestyji, ny odnoho słowa, że może tyji pożyłyji batki mohut podilitiś swoim dowhim opytom życia i warto im chocz czasami prysłuchatiś. Ne wse ż wony z alzheimerom czy demencyjoju. To prawda, na komputerach ne bardzo znajućcia, po świeti – jak teper mołodyji – ne jiezdiat. Ale majut opyt życia, jak to w odnuoj kniżci skazane: mało baczyła, ale dowho baczyła.

Szto cikawo, ne było ne dnoho telefona na tuju około puwtora hodinnu peredaczu, a i w druhich, skargi od pożyłych bat'kuow.

Sława Bohu, ne tak szcze poka u nas.

Pryhledajuś na moje maleńkie seło. Bolszeństwo ostali starutki kobiety. Żywut odny. Musit na starość, poka szcze jako – tako na chodowi i hołowa rabotaje, najlepi w swojuom hnizdowi; de tam perebiratiś w druhie mieście, chaj i do diti (jak to w posłowici pro staryji derewa). Prywykli, wsio znajut u sebe od liet. Dieti, kotory żywut w horodach, pryjieżdżajut, opiekujućcia imi. Kob lokszej bat'kam było, porobili w chatach łazienki z brodzikami, bo do wanny ne bardzo wże wkarabkajućcia. I sztoś zwarane prywezut. Samochod to pryjieżdżaje z mnuożeń towaruw, ale i jakujuś strawu toże treba zjiesti. A ne wse je siły zwaryti. Pro pudwuorok uże ne howoryćcia, samo soboju ponimajećcia, szto od ranieji wesny do puoźnieji oseni wsio kruhom treba kositi.



Para konkretuw.

Lidia. Upała, złomała sztoś w biodrowi. Na dwuor uże ne wychodit. Treba pudwesti i pomożti projti do łazienki. Jiesti toże pryhotowiti. Dwie doczki, zamużom, dietie majut i wnuki. Szcze robiat. Odna żywe w horodowi, bulsz jak hodinu jiezdy. I wona po roboti jiede na wiosku, tut noczuje, a raneńko ohornuwszy mamu – znow do horoda za 50 kilometruw na robotu. W deń prybihaje druha doczka z susiednioho seła, miżdu robotoju na poli.

Nadia. Na dwuor uże ne wychodit. Odin syn z pobliśkoho horoda pryjieżdżaje w budionny dnie. Druhi, zdaliej – na subotu i niedielu. Tak miżdu soboju dohoworyliś i dielaćcia opiekoju.

Handzia. Nedawno ostała sama. Syn z horoda, sztoraz jiede i jiesti waryt, i pro pudwuorok dbaje. Po dochtorach chodit. Leki weze. Bywaje, że u matery ciśnienie poszybuje, spanikowana zwonit deś po puownoczy, a toj i zrazu w samochod. A zrania żesz do roboty. I może panika ne wse na mieści.

Ola. Syn z horoda, po roboti jiede. A to i z rania prypre, kob w pieczci napaliti, a to mati bude w zimnowi czerez deń sidieti. Koli treba, perenoczuje, jak matery huorsz. A jak ne noczuje, pered robotoju zwonit: wstała, jak czujećcia, szto prywezti. Robit zakupy w horodowi. Ale Ola poka szcze czasami i sama do samochoda obwoźnoho wyde, rozhlane. A syn juoj prykazuje: „Kuplaj szto tuolko choczesz, ne szkoduj hroszy". Jak i mało czoho w sadkowi czy horodowi, to wsio ż tuju żmieńku jahud, czy truskawok nese…Takaja mużskaja nieżność.

A z tym zwonieniom to wsiak bywaje. Bat'ki raz uczujut, raz nie. A to trubku kiepśko położat jeśli stacjonarny telefon, a to z komurkoju nejak ne rozberućcia. Neraz mnie rozkazowali pro takiji hłuchiji telefony. Jak tak zdarajećcią, zrazu dumka, że może sztoś stałoś. Wskakujut w samochod, neważne jak by zmuczany ne byli i prut na wiosku.

Trochi osteruożno zadaju pytanie czut' mołodszomu od mene znakomomu, kotory poczti deń w deń jiede do matery, chocz sam szcze ne na emerytury i robit:

– Szto by ty odkazaw na takoje pytanie: czom ty matery ne oddasi do domu starcuw?

Ne wahajećcia z odkazom.

– Tam by mama po dwoch-troch dniach spustiła duch. Wona by tak pereżywała, nerwowałaś i skuczała za domom, że ne wydierżała by. Nu – zadumujećcia – jak wże by sowsiem nedwiżyma była i bez pameti, a ja nejak by ne daw rady i opieki, i roboty pohoditi, to tohdy może. A poka szcze… Wona ż mene wyhodowała, kuolko noczuw ne dospała.

Pomniaćcia szcze takiji sceny, poza moim sełom. U praźnik do stoła zasiadajut i stareńki bat'ki. Ne bardzo i etykiety znajut, i nawet' toj wideleć i nuoż z ruki wylitaje, i

ciamkajut – słowom neestetyczno to wsio wyhledaje. A tut i hosti zza hranici. I oto simja syna ne wstydajećcia starutkich bat'kuow. Razom za stołom posadili, a szcze i honoraćcia, i zabotiaćcia pro jich.

I druhi prymier, de syn perebirajećcia z horoda na seło do mamy po wylewowi, nedwiżymeji, bez mowy. I sam try roki opiekujećcia jeju. Waryt, kormit, myje, pampersy zakładaje… Ot tak. De jaki i miew hryech mołodości – wsio zmyw.

Można by pytatiś, czy zawsze tak drużno, czy wse jak w skazci. Pewno szto nie. Jak to w życiowi: bywaje perehoworaćcia, a toj i pozłostujut trochi. Ale nechto nikoho ne pokidaje, dieti telefonuw ne blokujut, dalej jiedut i pomahajut. Może czasami prychodićcia im i zuby zatisnuti, bo razna wona taja starość, treba ż i siete pryznati. No im i w hołowu ne pryde, kob ostawlati bat'kuow, ne kontaktowatiś z imi. Samo soboju poniatne: to bat'ki dali życie, wyhodowali, wyuczyli, a teper jak neduży treba im pomożti. I jakaja tut szcze potryebna filozofia, koli u ich w hołowi i serciowi wsio poukładane jak treba, po bożomu.

A to sytuacja z kraju Jewrosojuza, sytuacja, pro kotoru realno znaju.

Pryjieżdżajut pożyłyji bat'ki do doczki do horoda. Staryji, ale szcze dosyć sprawny, skoro samochodom kawałok dorohi sami umieli projiechati. Doczka żywe, jak to teper każut – z partnerom, w dwupientrowum domowi. Bat'ki pryjieżdżajut ryedko, na try-sztyry dnie. I – noczujut w hotelowi. Na tyji dwie noczy ne znajszłoś mieścia w dwupientrowomu domowi u doczki. Neponiatno, nam szcze siete – neponiatne. Ode jakoś ne czułoś poka, kob chtoś nawet' znakomoho zaprosiwszy, odprawlaw joho naczowati do hotelu (i pry tuom szcze kazaw za sebe zapłatiti)… Nu, może skrajno piszu. I tam pewno dobry lude je.

Zoja Saczko
fot. **Marek Dolecki**

Niewysłuchana krzywda

Część 3

Od 1945 roku społeczność białoruska na Białostocczyźnie doświadczała szczególnie traumatycznych sytuacji ze strony polskiego podziemia, które uczyniło z wypędzenia stąd ludności prawosławnej jeden z głównych celów.

Do grudnia 1945 roku z gminy Barszczewo (Choroszcz) wyjechało na Białoruś ponad osiemdziesiąt rodzin. Pewna liczba gospodarzy opuściła swoje wsie, przenosząc się do Białegostoku, na Ziemie Odzyskane lub w inne rejony kraju. W styczniu 1946 roku urząd repatriacyjny przejął w gminie Barszczewo tylko dwa gospodarstwa. Jak pisano w sprawozdaniu urzędu za styczeń, *największą bolączką był wzmożony dopływ repatriantów ze Wschodu i brak gospodarstw pobiałoruskich nadających się do osiedlenia.* W tym punkcie cele władz i zbrojnego podziemia były zbieżne. W styczniu i lutym 1946 roku podziemni dokonali kolejnych zabójstw w Topilcu, Kościukach i Łyskach.

Wieś Kościuki była cała zasiedlona przez Białorusinów, to zmobilizowaliśmy całą siatkę i otoczyliśmy wieś. Strzelali do nas trochę, ale szybko to ucichło. Jeden czy dwa wyroki wykonaliśmy i kazaliśmy im wszystkim wyjechać do Rosji, skoro są Rosjanami. Tu nie było polskiej wsi. Jeszcze tej samej nocy przyjechali Ruscy. Samochody pancerne otoczyły wieś i dotąd pilnowali, aż wszyscy wyjechali. I na ich miejsce przyjechali ludzie z Wileńszczyzny – wspominał **Antoni Iwaszczuk** ps. „Zając" z oddziału dywersyjnego WiN. *W związku z tym* – pisano w marcowym sprawozdaniu urzędu repatriacyjnego – *Inspektorat Osadnictwa otrzymał około sześćdziesięciu nowych gospodarstw wolnych, białoruskich, na których osiedliło się 12 rodzin repatriantów (62 osoby).*

I kolejna ciekawa relacja **Adama Bobrowskiego** z NZW: *To było 4 marca 1946 r., już Białorusinów stąd wypędzaliśmy, ale nie bardzo chętnie wyjeżdżali i tego dnia dwa samochody sowieckie przez Barszczewo jechały na Gajowniki, Zaczerlany na ich ochronę, a w Zaczerlanach mieli swoją placówkę, bo przecież te wszystkie wioski, Gajewniki, Zaczerlany, Kościuki, Topilec, Zawady, Trypucie, to wszystko było białoruskie. (...) No to potem kto na wiarę katolicko przeszedł to został, a jak nie, to tak jak za okupacji niemieckiej Żydów furmankami do getta wieźli i tak samo oni jechali. Ochrona przyjechała to dwa razy my ją roz... (rozpędzili?). Gogol* (Józef, ps. Man, dowódca IV kompanii NZW, zam. kol. Zaczerlany) *opowiadał, że Ruskie* (z ochrony) *mówili mu, że te Białorusy nie chco stąd wyjeżdżać. No to weźcie erkaem i z lasu puście im kilka serii. (...) Ci z ochrony zrobili tak jak im radził Gogol: wieczorem postrzelali nad jedną i drugą wioską z zapalających i Białorusini zaczęli wyjeżdżać. To puste wioski były. Na ich miejsce przyjechali zza Linii Curzona, ale tam też było pełno gadów.*

We wsi Zawady, którą zamieszkiwało przed wojną prawie trzystu prawosławnych, nie doszło do zabójstw, a wieś opuścili prawie wszyscy mieszkańcy. Tę sytuację wyjaśnił mieszkaniec Zawad, **Mikołaj Siergiejew**. Otóż w każdej wsi był ktoś, kto informował podziemie o tym, co dzieje się we wsi. Taka osoba była również w Zawadach. Sołtys, Józef Reduta, po naradzie z mieszkańcami, zawiadomił miejscowego *informatora*, że nie trzeba tu nikogo zabijać, ponieważ wszyscy mieszkańcy postanowili wyjechać na Białoruś. Poskutkowało.

W kwietniu 1946 roku PUR informował: *akcja osadnictwa,*



Cmentarz w Topilcu

jak również ewakuacja ludności białoruskiej z terenu powiatu białostockiego wykazała duże nasilenie. Dzięki pomocy przydzielonego w tym celu wojska wieś Zawady i Zaczerlany gm. Barszczewo ewakuowały się w porządku i pozostawiając zabudowania w stanie nieuszkodzonym, nadającym się natychmiast do osiedlenia. Dzięki temu wieś Zawady zasiedlono całkowicie przez repatriantów zza linii Curzona, zaś wieś Zaczerlany na wszystkich wolnych gospodarstwach. Napływ repatriantów w kwietniu ogromnie się wzmógł. Mimo zwolnionych przeszło stu gospodarstw na terenie powiatu białostockiego, ilość ta okazała się niewystarczająca dla pomieszczenia przybywających zza granicy repatriantów.

Podziemni z NZW organizują kolejne akcje. Cytuję za **Henrykiem Zdanowiczem**: W godzinach rannych 19 kwietnia 1946 roku oddział NZW przybył do Zaczerlan. Dowodził **Władysław Sochor** ps. „Łysy", „Groch". W nocy pobierali kontrybucje od gospodarzy w Barszczewie, Ogrodniczkach, Czaplinie, Mincach, Tołczach i Trypuciach. Było ich 18. Mieli zamiar rozbroić oddział Armii Czerwonej, stacjonujący w Zaczerlanach. Kiedy okazało się, że we wsi nie ma żołnierzy, doszła ich wiadomość o aresztowaniu „Hawra" (**Mieczysław Popko** dowódca IV kompanii NZW, zam. na kol. Gajowniki). Wówczas ktoś z grupy zaproponował zabicie **Mikołaja Kołodko** (sołtysa Zaczerlan), **Pawła Boczara** (podsołtysa Zaczerlan) i **Józefa Sochora** (sołtysa Gajownik). Mikołaj Kołodko (rocznik 1902) jeszcze podczas niemieckiej okupacji był wybrany sołtysem Zaczerlan. Kawaler, znany z lewicowych sympatii. Jego dwaj bracia, **Władysław** i **Jan**, wyjechali już do ZSSR. Mikołaj mieszkał razem z matką. Józef Sochor (rocznik 1908), należał do KPZB, a po 1944 roku do PPR. Wyznaczeni dokonali tego czynu. Do głębszego zrozumienia sprawy – pisze Zdanowicz – podaję, że zamordowanie tych trzech osób nastąpiło po prostu na polecenie Popki, który miał powiedzieć przed aresztowaniem: *Jak ja zostanę zaaresztowany będzie trzeba Pawła Boczara, Mikołaja Kołodko i Józefa Sochora rozwalić.* Pierwszy około godziny szóstej został wyprowadzony Mikołaj Kołodko, który wywołał z domu Pawła Boczara (powrócił właśnie z robót w Niemczech do Zaczerlan i zamieszkał z matką **Anną** w gospodarstwie po kuzynie Józefie Sochorze zabitym podczas wojny). Obu rozstrzelano za stodołą Boczara. Potem udano się na kolonię wsi Gajowniki, gdzie mieszkał Józef Sochor w przystępach u teścia. Sochor został zastrzelony w łóżku. Żona **Anastazja** z ojcem i dwójką dzieci dwa tygodnie później wyjechała do ZSSR. Matka Pawła Boczara po zamordowaniu syna wyprowadziła do rodzinnej wsi Puchły.

26 lipca 1946 roku zabito prawosławną mieszkankę Rogowa, 29-letnią **Serafinę Liszyk**. Okoliczności i sprawcy zabójstwa tej młodej kobiety nie są znani.

13 sierpnia 1946 roku w nocy napadnięto na mieszkańca Majątku Rogowo **Jana Bartoszewicza**, (rocznik 1916), który spał w stodole. *Ktoś nagle ściągnął mnie z rusztu, zobaczyłem trzech osobników, których w ciemności nie mogłem rozpoznać. Wyrwałem się i schowałem się w siano, lecz przy świetle latarek odnaleziono mnie, wyciągnięto i zaczęto bić po twarzy. Następnie wyprowadzono na podwórze i trzymając za szyję w pole. W pewnym miejscu wyrwałem się i zacząłem uciekać, w tym momencie trzej osobnicy zaczęli strzelać z pistoletów, lecz żaden nie trafił. Bandyci zabrali ode mnie buty, marynarkę i wszystkie moje dokumenta, jak: paszport niemiecki, zaświadczenie RKU i dowody na konia. Z bandytów biorących udział w napadzie rozpoznałem* ***Andrzeja Łuszyńskiego****, mieszkańca majątku Rogowo,* ***Andrzeja Grynasza****, mieszkańca wsi Ruszczany. Wyżej wymienieni bandyci ukrywają się od władz.*

30 października 1946 roku członkowie NZW zamordowali we wsi Dzikie 17-letniego **Aleksandra Chaniewskiego**. Prawosławną rodzinę **Konstantego Chaniewskiego** zmuszono do opuszczenia wsi. Wyjechali do Białegostoku, ale syn Konstantego, Aleksander, przyjechał na wieczorek do sąsiadów. Dowiedzieli się o tym miejscowi członkowie NZW. Do tej organizacji należał stryjeczny brat Aleksandra, **Edward Chaniewski**, ps. „Szach", który zeznał, że wraz ze swoim drużynowym **Stanisławem Łotowskim**, ps. „Koło": *udaliśmy się do swoich mieszkań, aby zmienić bieliznę. Po przybyciu do wsi Dzikie dowiedzieliśmy się, że akurat jest Aleksander Chaniewski. Powiedział nam o nim* ***Henryk Łotowski****, ps. „Chart", brat zabitego mego kolegi Stanisława Łotowskiego. Po chwili ja i Stanisław Łotowski spotkaliśmy jeszcze dwóch członków naszej drużyny; pochodzą oni ze wsi Borsukówka, gm. Dobryniewo:* ***Józef Putra****, ps. „Ren" i* ***Eugeniusz Kruszewski****, ps. „Wicher" i razem udaliśmy się pod dom* ***Pawła Ostrowskiego,*** *gdzie siedział na wieczorkach Aleksander Chaniewski. Aby go wyprowadzić, ja i*

Stanisław Łotowski zostaliśmy na podwórku, bo by nas w mieszkaniu poznali, to do mieszkania poszli w/w ze wsi Borsukówka, my z Łotowskim staliśmy przy ganku. Kiedy wyprowadzili Aleksandra Chaniewskiego z mieszkania Ostrowskich, ja schowałem się za ganek, aby mnie nie poznał, gdyż jest on moim stryjecznym bratem. Stanisław Łotowski poszedł naprzód, ci dwaj poprowadzili Chaniewskiego w stronę pagórka Kurhan, gdzie rośnie kilka sosen i tam go z nagana jednym strzałem zastrzelił Łotowski. Tamże na miejscu został on pochowany, zakopali jego w/w ze wsi Borsukówka. Gdy o aresztowaniu stryjecznego brata, Edwarda, dowiedziała się siostra Aleksandra, **Lidia**: *...od razu udałam się do Woj[ewódzkiego] U[rzędu] B[ezpieczeństwa] P[ublicznego] w Białymstoku i złożyłam zameldowanie, że to na pewno Edward Chaniewski zamordował mego brata Aleksandra. W tym czasie wezwano Edwarda Chaniewskiego a i on mnie w oczy powiedział, że brat mój jest zabity i zakopany za wsią Dzikie na kurhanie w lasku, po czym narysował plan w jakim miejscu jest zakopany. Wtedy ja z* ***Ewarestem Borkowskim*** *pojechaliśmy tam, gdzie był zakopany mój brat i miejsce to znaleźliśmy. Ja zaczęłam grzebać ziemię i odgrzebałam pantofle na nogach, więcej patrzeć się nie mogłam, a odkopywał Borkowski. Brat mój był zakopany w ziemi nogami głębiej w ziemię, natomiast głowa była zakopana płytko, gdy odkopaliśmy to ręką trzymał się za włosy, które wyrwał z głowy i tak pozostało.*

Dwa miesiące później prokurator polecił dokonać ekshumacji i sekcji zwłok Aleksandra, która wykazała, że na jego ciele nie było żadnych ran postrzałowych. Śmierć nastąpiła na skutek uduszenia, *gdyż po otrzymanych uderzeniach tępym narzędziem w czoło i prawą szczękę, stracił przytomność, a następnie został zagrzebany.*

Na kolejnym przesłuchaniu Edward zeznał, że z rozkazu „Białego” *zabito Aleksandra jakoby zdrajcę organizacji.* Tak mógł brzmieć rozkaz – meldunek o konieczności zabicia Aleksandra – „zdrajca organizacji”, choć do organizacji mógł nie należeć.

Nie są to wszystkie ofiary terroru podziemia w naszych dwóch parafiach, topileckiej i choroszczańskiej. Przytoczyłam te, które zostały dokonane na parafianach. Ale nie wszyscy, których tu zamordowano, byli wiernymi parafii. Kilka osób spoza gminy Choroszcz pytało mnie swego czasu, czy nie spotkałam się z opisem zbrodni ich bliskich, zabitych po wojnie w tutejszej gminie.

Jaki był ogólny bilans? Ówczesną gminę Barszczewo opuściło ponad dwieście rodzin prawosławnych, z czego 190 wyjechało na Białoruś. Parafia choroszczańska liczyła w 1938 roku 667 wiernych, w 1944 – 550 parafian, a po okresie terroru i ewakuacji, w 1947 roku – 262 wiernych. Parafia Topilec przed wojną, w 1938 roku miała 1402 wiernych, w 1945 – 952 parafian, a w 1946 – już tylko 275 wiernych.

Stopniowo aresztowano większość członków podziemia, ale nie **Piotra Grzybko**. Sprawę agenturalno-poszukiwawczą „Młota” prowadzono aż do 1967 roku. Ale zanim zorganizowano stąd jego ucieczkę, w przebraniu księdza, „Świerk”, bo taki przybrał pseudonim, po 1946 roku dał się we znaki tutejszej ludności. Jak prosperowała „firma: „Świerka” opowiada anonimowy donos: *W sprawie Piotra Grzybko syna* ***Franciszka*** *zamieszkałego w Majątku Rogowo. Piotr Grzybko syn Franciszka z Majątku Rogowo rabuje spółdzielnie i ludność cywilną ze swymi wspólnikami* ***Bołtryczukiem*** *synem Nauczyciela* ***Bogusławem****. Wszystkie rzeczy zrabowane ukrywa u swoich kolegów, jak u* ***Bagnowskiego****, który utrzymywał dla nich nie tylko sklepik, ale restauracje, a towarami rabunkowymi handlował, wywoził do Białegostoku do sklepików, a w zamian przywoził różne napoje i zakąski. (...) On ostatnio ukrywa się u* ***Sokoła Piotra****, sołtysa [Paniek] (...). My wszyscy boimy się jego. On postawił nowy dom za rabowane pieniądze, narobił w nim kryjówek i przechowuje w nich bandytów. Piotra Grzybka i bratanka swojej siostry (nieczytelne), u których znajdują się nieznajomi i wypijają, a później idą rabować proszę ich wszystkich wyłapać to możnaby spokojnie żyć.*

Prawosławni Białorusini nie mieli znikąd pomocy – nikt nie przeciwstawił się ich bezsensownej wywózce (zginęło tysiące ludzi, zniszczono setki gospodarstw!). Ówczesna władza polska (i podziemie) potrzebowała gospodarstw dla Polaków-repatriantów.

Poza tym miejscowi podziemni dążyli też do przejęcia najlepszych ziem, które były własnością gospodarzy białoruskich. Część właścicieli zamordowano, część wyjechała, a niemało z nich zostało katolikami.

Jednak szczególnie zainteresowany ewakuacją Białorusinów był rząd radziecki. Białoruś była wyjątkowo wyniszczona i opustoszała, dlatego każdy przesiedleniec był na wagę złota. Na Białoruś wyjechało około 36 tysięcy osób wyznania wschodniego. Z pisma **Wiktora Abakunowa** i **Ławrientija Canawy** do Berii jeszcze z 3 listopada 1944 roku wynika, że w Polsce miały być aresztowane *osoby przeciwdziałające prowadzonym przez nas działaniom zmierzającym do przesiedlenia Białorusinów, Ukraińców, Rosjan i Rusinów z terytorium Polski do Związku Sowieckiego.* Abakumow i Canawa byli przekonani, że agentura Armii Krajowej prowadzi wielką pracę propagandową przeciwko przesiedleniom na Wschód. Jednak zgromadzone materiały nie dały podstawy do takiego wniosku.

Jaki powinien być stosunek Polaków do różnych grup ludności mówią *Raporty sytuacyjne Komendy Okręgu AKO – WiN* i tak:

Do Wojska należało podchodzić serdecznie, zdecydowanie wrogo podchodzić do wyższych dowódców, zdrajców, kacapów i Żydów. (…) Wszyscy Żydzi są współpracownikami UB i NKWD jako agenci, konfidenci i informatorzy. Białorusini – pracownicy UB i MO odznaczają się specjalnie wrogim nastawieniem do Polaków. A w innym raporcie: *Zdecydowanie wrogo należy podchodzić do kacapów, Żydów i bić w nich stale.(!)*

Kacap – to pogardliwe określenie chłopa ruskiego lub człowieka ograniczonego, a także pejoratywne określenie Białorusinów mieszkających na Podlasiu. A znacie to? *Ja nie kacap, ja katolik.* To jeszcze ciągle ma miejsce i wcale nierzadko zdarza się w szkole wśród uczniów. Swego czasu pewien prawosławny uczeń z piątej klasy tuż przed moją lekcją uderzył kolegę – mocno. Obaj wylądowali na dywaniku u dyrektora. Milczeli jak zaklęci. Gdy ukończyli gimnazjum (w zespole szkół), ten prawosławny przyszedł do mnie. Chciał wyjaśnić tamtą sytuację. *Proszę pani, on przez kilka miesięcy, prawie codziennie, po cichu podchodził do mnie i do ucha mówił mi „kacap” i uciekał.*

Każdy z nas, prawosławnych nosi w sobie piętno, które nałożono nam jeszcze przed wojną – przechodzi ono z pokolenia na pokolenie, ma swój wzorzec uczuć i zachowań. Taki problem opisała w 2017 roku **Ola Czerniawska**, pochodząca z Białegostoku a mieszkająca w Warszawie malarka. W swoim artykule „Najważniejszy człowiek w moim życiu” pisała: *Maluję to, co opowiadał mi dziadek. Pokazał, jak wygląda silnik samochodowy. Dzięki niemu dowiedziałam się wielu rzeczy: co to są tłoki i cylindry. Nauczył, gdzie szukać prawdziwków. I pomógł mi zrozumieć, kim jestem.*

Gdy był weekend, jechaliśmy w nasze ulubione miejsce – na plażę nad Czaplinianką, dopływem Narwi. Mijaliśmy po drodze Zaczerlany i dziadek za każdym razem mówił: „Tu stał nasz dom, a to pole aż po horyzont było nasze”. Nigdy się tam nie zatrzymywaliśmy. Przed powrotem do domu zachodziliśmy na mały cmentarz prawosławny, gdzie leżą moi prapradziadkowie – Agafia i Józef, pradziadek Michał i brat dziadka Stefan. A gdy był już starszy i rzadziej jeździliśmy do lasu, zaczął wspominać to, o czym w mojej rodzinie się nie mówiło. O tym, że prababcia Mania tak boi się podróżować, bo w 1915 r. przeżyła bieżeństwo. I że to dzięki temu, że Niemcy weszli, Sowieci nie zesłali ich do łagrów jako kułaków.

I że jak po wojnie poszedł na dancing i spotkał dwóch sąsiadów ze wsi obok, co byli w partyzantce, to musiał uciekać przez okno, bo rzucili w jego stronę: „A ten co tu robi? Bić kacapa!”. W rowie przy rzece przeleżał aż do rana, bo bał się, że przyjdą po niego do domu. Wiedział, że nie odpuszczą, bo wiadomo, że jak prawosławny, to pewnie kolaboruje z nową władzą ludową. Opowiedział też o Stefanie, tym, który leży obok prapradziadków na cmentarzu. Że zginął na wojnie od kuli. Jak byłam już w liceum, opowiedział więcej: że widział, jak go zastrzelili. Ostatnia wersja, jaką pamiętam, to taka, że we wsi ukrywał się kolaborant. Wyszedł z kryjówki i partyzant zaczął go gonić. Kolaborant wpadł do naszego domu i wyskoczył oknem, żeby zmylić tamtego. Dziadek się wystraszył i pobiegł na górę. Stefan zaparł drzwi swoim ciałem przed partyzantem, a ten strzelił w drewnianą przeszkodę, nie widząc, kto stoi po drugiej stronie. Trafił mu w głowę. Dziadek mówił, że ten człowiek potem bardzo żałował.

To, że prawosławie nas odróżnia, wiedziałam zawsze. Nie wiedziałam jednak, dlaczego dziadkowie mówią po polsku, chociaż ich pierwszym językiem jest białoruski. I dlaczego prababcia Mania nigdy nic po polsku nie powiedziała. Zaczęłam się zastanawiać, kim jestem. I dlaczego historia, jaką znałam ze szkoły, odbiega od tej dziadkowej. Już na studiach profesorowie z warszawskiej ASP mówili mi, że jestem zbyt grzeczna i ułożona. Bo przecież artysta musi mieć w sobie trochę szaleństwa, ognia. A ja ten ogień dostałam trochę od tych dziadkowych historii. Po tym, jak opowiedział mi o Stefanie, zaczęłam rysować scenki z jego dzieciństwa w różnych konfiguracjach: z kolaborantami, Niemcami, sąsiadami z wioski, partyzantami. Przerabiałam to w kółko. Odtwarzałam te historie i czułam gniew. Że ta krzywda jest niewysłuchana i że Białorusini z Podlasia nie mają swojego głosu.

I wtedy pojawiły się moje wspomnienia. Gdy byłam mała, usłyszałam dziwną mowę, którą rozmawiały mama, ciocia, babcia **Tosia** i jej siostra **Stefa**. A gdy pytałam, dlaczego tak mówią, ciocia prosiła, żeby już nie mówić *po naszemu* – trzeba rozmawiać po polsku, bo jak dzieci pójdą do szkoły, to będą je wytykać palcami. Ale zawsze, gdy przyjeżdżały do nas, mówiły i szeptały *po swojemu.* A mnie tak podobał się ten język i wspomnienia sprzed wojny, gdy rodzina mojej mamy zamieszkała w *świronku*, bo dziadek Józef budował piękny dom w Folwarkach. I te straszne wojenne, gdy Niemcy zastrzelili koleżankę mamy i gdy na kolonii nocowali partyzanci, których trzeba było nakarmić, napoić i pilnować, kiedy spali. A gdyby ktoś dowiedział się, to... wiadomo. Kiedy całą noc przeszukiwali gospodarstwo dziadków, zabierali wszystko co najlepsze, kiedy zamordowali z nieznanego powodu wuja w Tatarowcach, który osierocił czwórkę dzieci. I wiele inmnych, ciągle szeptem, ciągle cicho opowiadały sobie te niewysłuchane krzywdy.

Halina Surynowicz

W publikacji korzystano z zasobów Archiwum Diecezji Białostocko-Gdańskiej, Archiwum Państwowego i Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, Ośrodka Karta-Archiwum Wschodnie, ze „Wspomnień z czasów wojny” o. Wł. Garustowicza, z publikacji zamieszczonych na stronie internetowej Stowarzyszenia Pamięć i Tożsamość „Skała”, literatury przedmiotu i relacji.

Siewcy grozy

Żołnierzy wyklętych na Podlasiu często postrzega się wyłącznie w kontekście narodowościowym, jako zapiekłych nacjonalistów, wrogich wszystkiemu co – w ich pojęciu – nie dość polskie i rzymskokatolickie, w osiadłych tu od wieków Białorusinach widzących agentów obcego, wrogiego, państwa, wyznających – w zasadzie wszyscy – obowiązującą w nim ideologię.

Działania „wyklętych" nie były jednak skierowane wyłącznie przeciwko tym, których uznawali za „obcych". Przez kilka powojennych lat toczyła się swoista wojna polsko-polska i poza wschodnim pograniczem i Podkarpaciem jej ofiarami padali głównie „swoi".

Książka **Krystyny Badurki-Rytel** i **Zygmunta Rytla** „Patriotyzm po polsku" rzuca światło na położenie mieszkańców małych miejscowości wobec działań „leśnych". Autorka, bo to ona napisała większość tekstów, urodziła się w Łazowie w gminie Sterdyń, w powiecie sokołowskim. To ta część historycznego Podlasia, którą po trzecim zaborze władze pruskie oddzieliły administracyjnie od reszty, a po 1815 roku znalazła się w Królestwie Polskim. Ale że to historyczne Podlasie, stała tam (a właściwie w położonym dwa kilometry dalej Łazówku) cerkiew, najpierw prawosławna, potem unicka, po 1875 roku znów prawosławna. Jeszcze w XVI wieku objawiła się w tym miejscu Matka Boża. Świątynię zbudowano nad kamieniem, na którym była widziana, szczególną czcią otaczano zaś umieszczoną w niej ikonę Matki Bożej z Dzieciątkiem, zwaną Łazówkowską. Ikonę w 1915 roku mniszki z Wirowa wywiozły do Rosji, skąd nie wróciła, a po wojnie cerkiew, na prośbę ludności – jak się podkreśla we współczesnych opracowaniach – stała się kościołem rzymskokatolickim, sanktuarium Maryjnym, w którym szczególną cześć oddaje się odtworzonej ikonie.

Opowiadam o tym tak szeroko, by podkreślić, że na tym terenie, zamieszkałym przez ludność obecnie uważającą się za odwiecznie katolicką, kwestia narodowościowa i wyznaniowa nie odgrywała żadnej roli.

Krystyna Badurka jest córką **Feliksa Badurki**, pierwszego przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Sterdyni (odpowiednik wójta), w styczniu 1945 roku uprowadzonego i zamordowanego – no właśnie, przez kogo? Głównym wątkiem książki jest dochodzenie prawdy o tym co stało się z ojcem, kto za to odpowiada i gdzie został pochowany.

Feliks Badurka, ojciec rodziny, który w czasie wojny działał w AK, nie był ani członkiem PPR, ani wyznawcą komunizmu. Wojna się skończyła i wiedział, że teraz trzeba jak najszybciej pomóc ludziom. A że był z ducha społecznikiem, podjął się zadania.

W okolicy działały różne grupy „wyklętych" (nikt ich tak wówczas oczywiście nie nazywał). Niełatwo było ustalić, która z nich zamordowała ojca. Nie to było jednak najtrudniejsze. Najgorsza była zmowa milczenia, jednakowo twarda przez pierwsze lata po zabójstwie, jak i współcześnie. Milczeli – to oczywiste – sprawcy, milczeli też wszyscy, którzy cokolwiek, nawet z drugiej ręki, wiedzieli. Strach zamykał usta. Ludzie ze sobą o tym co się dzieje w okolicy nie rozmawiali, nie wiedząc z kim mają do czynienia. Mama autorki na targu rozpoznała na ręce pewnej kobiety obrączkę męża. Jej też przerażenie ścisnęło gardło. Nie chciała ryzykować życia dzieci.

Groza tamtych lat, nigdy głośno nie ujawniona, zamknięta w prywatności, w kręgu najbliższych, a teraz przekuwana w mit i pomniki nieprawdziwych bohaterów, wciąż mrozi wiele serc. Siewcy tej grozy, jeśli dożyli, są publicznie honorowanymi starcami. O ich ofiarach pamiętać się nie chce.

Krystyna Badurka ustaliła wreszcie, z dużym prawdopodobieństwem, co stało się z ojcem. Groza tamtych lat nie stała się przez to mniejsza.

Dorota Wysocka

Krzyki słychać było daleko

Daleka jestem od politykowania. Jednak zdarzenia, które miały miejsce 75 temu nie mogą pozostać mi obojętne. To właśnie wtedy spalono wieś Zaleszany, a potem też Zanie i Szpaki. Przypominam co mama mówiła o tym. Nie o Zaleszanach, bo te były daleko. Tylko o Szpakach i Zaniach, i o Strykach. Kiedy płonęły domy w Szpakach, było słychać do Stryk jak krzyczeli ludzie, a to odległość około 10 km. Niektóre rodziny z Zań uciekły do Stryk. Wiem o jednej rodzinie, która już tam została i mieli przydomki Zaniuweć albo Zaniuwianka.

Mama najgorzej wspominała te czasu powojenne. A wojna przecież w takich Strykach skończyła się w 1944 roku. Ale czy się naprawdę skończyła? Jeszcze nie zapadał zmrok, a już przychodzili bandyci, bo tylko tak ich nazywano. Ludzie tak bardzo skrzywdzeni przez wojnę, często bez domów, bo te się spaliły, wciąż się bali. Mama

Konsul Michał Aleksiejczyk (z lewej) i Michał Bajko

opowiadała, jak Niemcy dawali cukierki, a partyzanci zapraszali na kaszę. Nawet to, że w 1944 roku spłonęły ludziom domy, nie było tak straszne jak ten czas późniejszy. Mama zawsze mówiła, że tamto to była wojna, front, jak to określała. I było wtedy bardzo źle, jednak ten późniejszy czas był o wiele gorszy. Może dlatego, że tymi bandytami okazywali się sąsiedzi?

Ten strach zostawał przez lata. Strach przed bandytą, co zapuka do drzwi, zabierze najcenniejsze rzeczy, a w najgorszym wypadku podpali dom i zabierze życie. To był najstraszniejszy czas w życiu tych ludzi. Nie wojna, która była czasem niepewności, śmierci, pozbawienia domów, wywózek, ale ten czas wydawałoby się pokoju. Ludzie na wsiach nie zajmowali się polityką. Chcieli spokojnie żyć, pracować, odbudować dom po wojnie. Ci którzy krzyczeli wtedy w Szpakach, to nie byli jacyś zdrajcy, kolaboranci, wrogi element, tylko zwykli prości ludzie, dzieci, kobiety, kobiety w ciąży, starcy. Ludzie, którym udało się przeżyć wojnę, ale czas powojenny stał się dla nich straszniejszy.

Jak napisałam na początku, nie chcę zajmować się polityką. Nie chcę wnikać jakoś w to głęboko. Jednak wiem, że pozbawianie życia prostego człowieka, palenie jego domu, zabijanie dzieci, nie może być w żaden sposób usprawiedliwione. Może dziś, kiedy tak dużo mówi się o ochronie życia w każdej jego fazie, warto też pomyśleć, że nie można gloryfikować tych, którzy zabijali dzieci, starców, kobiety w ciąży. A bandytę po prostu nazwać bandytą i starać się, żeby takie rzeczy nigdy się nie powtórzyły. W każdym narodzie są dobrzy i źli ludzie. Tylko zło też trzeba nazwać po imieniu.

Wyobrażam sobie taką styczniową, czy lutową zimną noc i krzyki ludzi, które słychać na dziesięć kilometrów dalej. Jakie to musiało być straszne.

Iwona Zinkiewicz

Michał Wasiljewicz Aleksiejczyk nie żyje

Człowiek niezwykły – białoruski patriota. **Michała Wasiljewicza Aleksiejczyka** poznałem w 1992 roku, kiedy przywiózł go z Warszawy do Hajnówki białoruski działacz społeczny dr Mikołaj Aleksiejuk na jubileuszowy koncert poświęcony dziesięcioleciu Białoruskiego Zespołu Pieśni Hajnowskiego Domu Kultury.



Po koncercie spotkaliśmy się w moim domu na kolacji, na której był obecny o. **Michał Niegierewicz**. W ten sposób zadzierżgnęła się przyjaźń trzech Michałów. Później zawsze przypominał, że Hajnówkę łączy trójca. Trójca trzech Michałów – Michał Aleksiejczyk, o. Michał Niegierewicz, Michał Bajko.

Często opowiadał o trudnych sytuacjach, jakie spotykały go podczas pełnienia służby konsularnej. Przypomina mi się jedna, związana z wycofywaniem żołnierzy radzieckich z NRD. Wyjeżdżających żołnierzy zatrzymały władze polskie i kazały płacić za przejazd. Koczowanie trwało chyba ze dwa tygodnie. Michał Wasiljewicz prowadzil rozmowy z władzami i dowoził zatrzymanym jedzenie i środki higieniczne. W końcu przepuszczono wracających do Rosji żołnierzy.

Lubił zbierać grzyby. Często przyjeżdżał na grzybobranie. Jego służbowy samochód stawialiśmy w garażu, a wyjeżdżaliśmy moim. Żona pilotowała nas na miejsce zbierania grzybów, w okolice Jelonki.

Lubił również wędkować. Kiedyś dzwoni do mnie: – Złowiłem dużo ryb, jest post, czy wypada zawieźć ryby mnichom w Supraślu?

Od redakcji:

Michał Aleksiejczyk, gdy zakończył służbę dyplomatyczną w Polsce, pracując już w Mińsku, wszystkie swoje siły zaangażował w budowę cerkwi w Marinej Gorce. To niedaleko Mińska, na Puchłowszczyźnie, na której komuniści zmietli 27 cerkwi, zostawiając jedną, jak ziarno – później się okazało. Wszak region, przylegający do stolicy, miał być wolny od cerkwi i duchownych, którym dano miejsce w łagrach, więzieniach lub rozstrzelano. Dziś na tej ziemi, na której niósł swój *podwig* władyka **Wieniamin**, obecny metropolita miński i słucki, otwarto już ponad 20 parafii. Cerkiew, budowę której wspomagał Aleksiejczyk, nie jest parafialna. Wzniesiono ją dla studentów kolegium rolniczego i oddano pod opiekę św. Tatianie, *pokrowitielnice* studentów oraz jego żony. To białoruski dyplomata zamówił na Atosie i ufundował do tej cerkwi ikonę św. Gabriela Zabłudowskiego, a władyka białostocki i gdański **Jakub** podarował w lutym 2019 roku do ikony cząstkę relikwii św. Gabriela. W części ołtarzowej tej cerkwi położono kamień przywieziony przez Aleksiejczyka z Atosu, który odwiedzał Świętą Górę.

Gdy pewien wysokiej rangi urzędnik podsumował jego zaangażowa-

Zawsze był obecny na Nocy Kupały w Białowieży.

Nie był obojętny na losy naszych weteranów, którzy walczyli w Armii Radzieckiej. Ubolewal, że polskie władze nie chcą o nich pamiętać. Organizował spotkania z weteranami. Mówił: – Jak ja nie zorganizuję, to kto o nich wspomni? Że walczyli i wyzwolili Białostoccyznę od niemieckiego okupanta.

Przyjaźnił się z wieloma Białorusinami na Białostocczyźnie. Zawsze przed Nowym Rokiem przyjeżdżał i przywoził prezenty. Dzwonił i pozdrawiał z okazji imienin i świąt Paschy czy Bożego Narodzenia.

Ostatnie pozdrowienia nadeszły z Mińska na bardzo ozdobnej kartce z życzeniami Bożego Narodzenia.

Pracował zbyt wiele i chyba dlatego zachorował. Znalazł się w szpitalu w Bielsku Podlaskim. Odwiedziłem go. Stan był niezadowalający. Zapadł w śpiączkę. Dopiero po kilku dniach, gdy stan się bardzo pogorszył, odwieziono go do Mińska.

Już nie wrócił do Białegostoku, a miał zrobić pożegnanie w związku z odejściem na emeryturę.

Michał Bajko
fot. a**rchiwum autora**

nie przy budowie cerkwi słowem „zwariowałeś!”, odpowiedział mu: – Odebraliście młodzieży *oktiabriat*, pionierów, komsomoł, wszystkie idee odebraliście, pozwólcie więc młodemu człowiekowi do Boga się zwrócić! Niech wzrasta pod opieką Bogarodzicy i świętych, bo Internet do duchowego dobra nie doprowadzi, choć jest użyteczny.

Michał Aleksiejczyk był w dzieciństwie ochrzczony potajemnie. Wspominał: „Szofer Kapustin przywiózł do naszego domu batiuszkę, ukrytego oczywiście. W domu zgromadzono wtedy dużo dzieci. Batiuszka chrzcił je wszystkie. Takie były czasy!”.


Ніва 65
ТЫДНЁВІК БЕЛАРУСАЎ У ПОЛЬШЧЫ
PL ISSN 0546-1960 e-mail: redakcja@niva.bialystok.pl NR INDEKSU 366714 http://e-niva.org http://niva.bialystok.pl
№ 10 (3382) Год LXVI Беласток, 7 сакавіка 2021 г. Цана 3,00 зл. (у тым VAT 5%)

“Ніве” – 65 гадоў

Першы нумар Тыднёвіка беларусаў ў Польшчы “Ніва” быў выпушчаны ў Беластоку 4 сакавіка 1956 г. Назву выдання трэба звязваць з “Нашай Нівы”, якая напачатку XX ст. выходзіла ў Вільні. Першым рэдактарам газеты стаў літаратар **Георгій Валкавыцкі** (1923-2013), ураджэнец Белавежы. Дзякуючы яго дыпламатычным здольнасцям, “Ніва” далікатна абыходзіла абавязваючую тады цэнзуру. Друкаваліся тут матэрыялы пра гісторыю і культуры беларусаў у Польшчы, вылучаліся добрыя рэпартажы.

З самога пачатку вялікай папулярнасцю карыстаўся насценны “Каляндар”, з пазначанымі праваслаўнымі святамі.

У 1960-ыя гг. у “Ніве” надрукавалі вялікі фотарэпартаж **Уладзіміра Паўлючука** і **Міколы Гайдука** пра свята Спаса на Грабарцы, а ў 1981 г. інтэрв'ю з мітрапалітам **Васіліем** (**Дарашкевічам**). У гэты час гістарычныя матэрыялы пра цэрквы пачаў у “Ніве” друкаваць а. **Рыгор Сасна**.

З самога пачатку змяшчала тут свае матэрыялы шмат іншых карэспандэнтаў з розных куткоў Беласточчыны. Рэдакцыя арганізавала для іх штогадовыя з’езды.

Дзякуючы Георгію Валкавыцкаму важнае месца ў “Ніве” займала літаратура. На спецыяльнай “Літаратурнай старонцы” газета друкавала творы беларускіх паэтаў і празаікаў з Беласточчыны ды іншых рэгіёнаў Польшчы. У 1958 г. стварылі яны сваю арганізацыю – Літаратурнае Аб’яднанне “Белавежа”.

Шмат увагі “Ніва” прысвячала беларускаму школьніцтву на Беласточчыне. Журналісты наведвалі школы, пісалі рэпартажы пра настаўнікаў і вучняў. З часам узнікла старонка для дзяцей “Зорка”, дзе маглі друкавацца таксама школьнікі. Доўгія гады дадаткам кіравала **Яніна Чэрнякевіч**. Цяпер рэдактарам “Зоркі” з’яўляецца **Ганна Кандрацюк**, аўтарка дасканалых рэпартажаў. Пад яе кіраўніцтвам, з 1990-ых гг. пастаянна праводзяцца “Сустрэчы Зоркі” – майстаркласы для дзяцей, звязаныя з журналістыкай і мастацтвам.

З 1992 г. выдаўцом “Нівы” з’яўляецца Праграмная рада, якую складаюць члены розных беларускіх арганізацыяў. Апрача выпуску газеты, важным напрам-

кам дзейнасці Рады з’яўляецца выдаванне кніжак гістарычнага і літаратурнага зместу. Вылучаецца тут серыя мемуараў жыхароў Беласточчыны пра падзеі XX стагоддзя. Дагэтуль выйшла чатыры яе тамы, пачынаючы з “Бежанства 1915 года”.

Два гады пасля выхаду першага нумару “Нівы”, 15 чэрвеня 1958 г. Польскае радыё Беласток выпусціла 15-ці хвілінную перадачу на беларускай мове. Праграмы спачатку рыхтаваў **Мацей Канапацкі** (1926-2020), народжаны ў Вільні беларускі татар, выпускнік Віленскай беларускай гімназіі. Пасля займаўся гэтым **Лявон Майсяюк**, **Віктар Рудчык** ды **Уладзіслаў Праховіч**. З 1990 гг. беларускія перадачы “Пад знакам Пагоні” выходзяць штодзённа. У суботы і нядзелі пабеларуску гучаць і праваслаўныя перадачы.

Важную ролю для беларусаў Падляшша мае Радыё Рацыя. Сярод перадач вылучаецца суботні, трохгадзінны “Беларускі канцэрт пажаданняў”, які спрыяе кансалідацыі мясцовых беларусаў і падтрымцы роднай мовы. Іншай, істотнай з нашага пункту гледжання перадачай, з’яўляецца “З Падляшша родам”. Дзякуючы ёй удалося стварыць вялікі аўдыёархіў звыш 500 гадзінных размоваў з рознымі асобамі, звязанымі з Падляшшам. Мае гэта незвычайную, гістарычна-культурную вартасць.

Дарафей Фіонік

Узараў Георгій «Ніву» ў 1956 годзе...

Лёс **Георгію Валкавыцкаму** наканаваў 90 гадоў, як яму цыганка наваражыла яшчэ ў Кёнігсбергу, калі быў на прымусовых работах. Скончыў сямігодку і рамесную школу, працаваў леснікам, рабочым, слесарам.

У 1954 годзе Валкавыцкі скончыў Літаратурны інстытут імя Максіма Горкага у Маскве. Прыехаў у Беласток, дзе ў 1956 годзе заснаваў тыднёвік “Ніва”, якім кіраваў 32 гады. Быў адным са стваральнікаў і лідараў Беларускага грамадска-культурнага таварыства і Беларускага літаратурнага аб'яднання “Белавежа” ў Польшчы.

Хросны бацька пасляваеннага беларускага літаратурнага руху ў Польшчы паходзіў якраз з Белавежы, асаджанай пасярод слыннай пушчы на польска-беларускай мяжы. Акрамя “Нівы”, шмат гадоў рэдагаваў “Беларускія календары” і многія літаратурныя выданні, якія выходзілі на Беласточчыне. Зрабіў неацэнны ўклад у захаванне беларушчыны на Беласточчыне, на наш доступ да беларускага слова напісанага ў свеце, не толькі ў Беларусі.

Пад псеўданімам Юрка Зубрыцкі, Ювэ, Рыгор Лясун і іншымі Георгій Валкавыцкі пісаў і друкаваў свае вершы. Сам свайго выдаваў мала, аддаўшы сваю ўвагу творчасці калег, моцна і быццам бы непрыкметна кіруючы літаратурным рухам. Быў паэтам, але перш за ўсё журналістам і рэдактарам. Як пісаў у «Вірах», ён «Журналістам стаў па наіўнасці. Відаць, прыроднай, бо яна дагэтуль ставіць мяне часта ў клапатлівыя сітуацыі. У дзіцячых летуценнях увесь свет скалясіў, і, мабыць, не толькі дзеля адкрывання таямнічых выспаў...”. І прыцягнуў у «Ніву», ад 1956 года, месца спалучэння беларускага ўсходу і захаду, былога і новага, такіх як ён...

Выйшла дугэтуль 3385 нумароў «Нівы» – тыднёвіка беларусаў у Польшчы!

Міра Лукша

Wieś i ludzie

Nakładem Stowarzyszenia Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, w ramach serii wydawniczej „Historia i kultura podlaskich Białorusinów”, ukazała się książka „Wieś Gregorowce i… ludzie”. Jej autorem jest Eugeniusz Siemieniuk, absolwent liceum białoruskiego w Bielsku Podlaskim, architekt z wykształcenia i zawodu oraz genealog, krajoznawca, animator historii i kultury z zamiłowania. Twórca przenikliwy, obdarzony darem literackiego słowa. Gregorowce są jego rodzinnym gniazdem, porzuconym w szesnastym roku życia, obecnie na nowo odkrywanym.

Gregorowce, tak jak dawniej, zamieszkuje dziś w większości prawosławna ludność białoruska. Wjeżdżających do niej witają dwujęzyczne, polsko-białoruskie tablice z nazwą miejscowości. Bo przecież Gregorowce leżą w gminie Orla, gdzie język białoruski jest drugim urzędowym i której większość mieszkańców, w spisie powszechnym sprzed dziesięciu lat, zadeklarowała narodowość białoruską. Wierzymy, że tak będzie również podczas spisu tegorocznego.

Już w pierwszym rozdziale książki autor absorbująco pisze o tym, skąd się wzięły Gregorowce. „Najstarsza, znana siedziba rodu Skirmuntów znajdowała się w okolicach Mohylewa na obecnej Białorusi oraz niedalekiego Smoleńska. To ziemie odległe 600 kilometrów w linii prostej od Gregorowców. Tam do lat 20. XX wieku znajdowała się miejscowość parafialna Hrehorowce. Ale nie tylko... W niewielkiej odległości od siebie były tu także



Gregorowskie dziewczęta, około 1955 roku, fot. Jerzy Kostko



Trzynastoletni autor książki z bratem Szurką i kobyłką, 1968 rok

zlokalizowane: Kruhłe, Olekszy, Krasna (Wieś), Suraż, Horodok (Gródek), Swetowszczyna, Kliny i Teklinowo. Wojny, epidemie i inne kataklizmy powodowały ucieczkę ludności z tych terenów i przeniesienie się do nowych, bezpieczniejszych do życia miejsc. W taki sposób na Podlasie trafiło wielu ludzi spod Witebska, Mohylewa czy Smoleńska, zakładając tu nowe miejscowości".

Autor oczywiście zaznacza, że to tylko legenda, jednakże nie bez podstaw… Dokładniejsze dokumentowanie naszych Hrehorowców (Gregorowców) rozpoczyna się jednak dopiero w I połowie XVI wieku, kiedy rozległymi terenami w granicach obecnych parafii Podbiele i Wólka Wygonowska władał wpływowy, ruski ród Wahanowskich. Właścicielem Wólki Wahanowskiej (Wygonowskiej), Podbielska (Podbiela) i Krasnego Sioła (Krasnowsi) był wówczas **Hrehor Aleksandrowicz Wahanowski**. To on mógł dać początek nazwie wsi Hrehorowce, która w języku podlasko-ruskim brzmi – *Ryhoruwci*.

Książka o Gregorowcach to przede wszystkim książka o ich ludziach. Oczywiście nie wszystkich. Autor skupia się szczegółowo nad historią nazwisk ludzi, którzy w wieku XIX i XX przybyli tu z innych miejscowości. Pokazuje przez to, że również wcześniej społeczności wiejskie nie były hermetyczne i zasilały się wzajemnie w sensie demograficznym. Nie można więc mówić o *zawołokach* czy miejscowych „czystych rodach", bo w większości naszych rodowodów istnieją różnorodne linie. Do Gregorowców ludzie wychodzili za mąż lub wżeniali się z różnych kierunków, najczęściej z najbliższych miejscowości, takich jak Suchowolce, Saki, Gredele, Dydule, Moskiewce, Czechy Zabłotne czy Malinniki. Ale przybywali też z dalszych – Policznej, Witowa czy Kuzawy. Dzięki nim niewielkie niegdyś Gregorowce mogły się rozwijać.

Poza księgami metrykalnymi, z których autor korzysta skrupulatnie, dużą wiedzę o demografii i nazwiskach dają cmentarne nagrobki. **Eugeniusz Siemieniuk** dokonał szczegółowej inwentaryzacji gregorowskiego cmentarza, włącznie z nadaniem każdemu pochówkowi współrzędnych GPS.

Rozdział o gregorowskich nazwiskach ilustruje kilkadziesiąt fotografii portretowych, które ilustrują piękno i dostojeństwo naszych prostych ludzi. Na podstawie tych obrazów można stwierdzić, że kiedyś prawie wszyscy ludzie byli fotogeniczni. Część z zamieszczonych w książce fotografii wykonał **Aleksander Siemieniuk**, zwany Szurką, ojciec autora. W społeczności wiejskiej była to postać nietuzinkowa. Człowiek przedsiębiorczy, postępowy, odważny, zaradny i bezkompromisowy. To dzięki m.in. niemu po wojnie w Gregorowcach powstała spółdzielnia produkcyjna, a we wsi już w 1952 roku założono elektryczność.

Podobnie jak ojcu, oddzielną opowieść autor poświęca swej matce **Aleksandrze Siemieniuk,** Szurce. Pochodziła z Topczykał. Po śmierci pierwszego męża wyswatano ją do Gregorowców. Drugi mąż zmarł jednak po kilku latach, a ona pozostała sama z czwórką dzieci. Im poświęciła całe swoje życie. Autor w szczegółach rekonstruuje obraz tej najbliższej sobie osoby, wystawiając jej piękny, nie ręką uczyniony pomnik.

Inne opowieści o ludziach z Gregorowców dotyczą również postaci ciekawych: **Andrzeja Szkody**, wiejskiego kowala, przez najbliższą rodzinę w dzieciństwie „spisanego na straty" oraz **Aleksandra Krota**, Ola, wielkiego społecznika, na którym w społeczności wiejskiej ciążyło brzemię dziecka nieślubnego. Znajdziemy także opowieść o bezdomnym, ale zawsze eleganckim **Wani Kacu**.

Oddzielny rozdział w książce to „Ryhoruwśki roskazy", napisany w gregorowskiej gwarze języka podlasko-ruskiego. W *roskazach* przejawia się literacki talent autora, zdolność tworzenia wciągającej opowieści na podstawie jednego wydarzenia czy losu. Pierwszy z *roskazuw* powstał na kanwie historii kobyłki – klaczy, którą rodzina Siemieniuków zakupiła do swego gospodarstwa. Niestety, okazała się zwierzęciem wrednym i nieprzewidywalnym, dlatego trzeba było ją zbyć. W taki sposób trzynastoletni

Wieś Gregorowce



autor pojechał z bratem Szurką do Bielska, aby sprzedać kobyłkę handlarzowi z ulicy Brańskiej. Ale tu oto mimochodem wszyscy stali się zupełnie przypadkowymi świadkami… inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Przez kilka godzin Szurka, Gienio i kobyłka wspólnie obserwowali, jak brańską szosą, ze wschodu na zachód, ciągnie kawalkada techniki wojskowej. Był rok 1968…

Inne dwa *ryhoruwśki roskazy* opowiadają o Waniuszce – **Janie Siemieniuku**, stryju autora oraz Naści Policzniukowej – **Anastazji Stepaniuk**, osobie z niezwykłym darem opowiadania historii. Takich zresztą w Gregorowcach było i jest więcej. Możemy się o tym przekonać z filmów wspomnieniowych, zamieszczonych przez autora na kanale YouTube. Część z nich można odtworzyć smartfonem, za pomocą kodów QR, umieszczonych w książce. Filmy i inne materiały o Gregorowcach Eugeniusz Siemieniuk sukcesywnie udostępnia na stronie https://pl-pl.facebook.com/gregorowce/, którą prowadzi od sześciu lat.

Niewątpliwym walorem książki „Wieś Gregorowce i… ludzie" jest przystępność tekstu, przejrzysty układ i mnogość fotografii. To zachęci niewątpliwie ludzi związanych z Gregorowcami do dalszego odkrywania własnych rodzinnych historii. Książka nie jest, jak podkreśla autor, kompleksową monografią miejscowości. Nie znajdziemy tu bowiem opisu



historii dworów, parafii, stacji kolejowej czy szkolnictwa. Mamy za to do czynienia z unikalną pracą u podstaw, gdzie tradycja historyczna niewielkiej wsi staje się bazą wieloletnich badań i popularyzacji.

O. **Konstanty Bondaruk** w swym „Słowie", napisanym specjalnie do książki o Gregorowcach, stwierdził: „Autor uczynił to w wieku dojrzałym, u szczytu swej kariery zawodowej, jako człowiek spełniony, gdy przezwyciężył odwieczną zmorę naszych ojców i dziadów: chłód, głód i ubóstwo. To jest prawidłowość – biedak nie zaprząta sobie głowy tym, z czego nie będzie chleba! W autorze stopniowo kiełkowała myśl, że to kim człowiek się staje, wynika z jego korzeni. Jak sam pisze – bez świadomości skąd wyrósł człowiek jest „jak drzewo bez korzeni, niestabilne i anemiczne… i skoro urodził się jako brzoza, nie da się go przesadzić do dębowego lasu, aby tam udawał dąb…".

Książkę o Gregorowcach można nabyć bezpośrednio u wydawcy (kontakt: dfionik@o2.pl), autora oraz w księgarni internetowej www.sklep.cerkiew.pl.

Doroteusz Fionik
fot. **ze zbiorów**
Eugeniusza Siemieniuka

Eugeniusz Siemieniuk, *Wieś Gregorowce i… ludzie*, Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach 2020, ss. 128, il. 170.

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Andrzej Charyło (sekretarz redakcji), Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Doroteusz Fionik, Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk, Anna Petrovska
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl

2021 Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej
Festiwal jubileuszowy

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL HAJNOWSKIE DNI MUZYKI CERKIEWNEJ

Stowarzyszenie „Miłośnicy Muzyki Cerkiewnej"
ul. ks. A. Dziewiatowskiego 15 17-200 Hajnówka
Konto: PKO BP O/Hajnówka nr 85 1020 1332 0000 1402 0195 6317
www.festiwal.cerkiew.pl **e-mail:festiwal@cerkiew.pl** **Tel/fax: +48 85 682 33 51**

Po raz czterdziesty w Hajnówce

Przeprowadzenie czterdziestej jubileuszowej edycji Międzynarodowego Festiwalu Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej zaplanowano na 13-18 września. Jego organizatorami są Stowarzyszenie „Miłośnicy Muzyki Cerkiewnej", parafia Świętej Trójcy w Hajnówce oraz Hajnowski Dom Kultury. Festiwal odbywa się z błogosławieństwa metropolity warszawskiego i całej Polski **Sawy** oraz pod honorowym patronatem prezydenta RP **Andrzeja Dudy**.

W tym roku wystąpi około trzydziestu chórów – nowych i nagradzanych w Hajnówce w latach ubiegłych. Chóry zaprezentują się w dziewięciu kategoriach – zawodowe, amatorskie, młodzieżowe, dziecięce, akademickie, parafialne miejskie, parafialne wiejskie, nowością będzie wprowadzenie kategorii chórów rodzinnych.

Na jubileusz zaplanowano wydanie albumu, prezentującego historię festiwalu.

Podobnie jak w latach poprzednich, odbędą się koncerty towarzyszące, m.in. w Warszawie, Krakowie, Siemiatyczach, Bielsku Podlaskim, Ełku, gminach powiatu hajnowskiego, białostockiego i bielskiego.

Przy organizacji festiwalu pracuje ponad trzydziestu doświadczonych specjalistów (obsługa artystyczna, medialna, techniczna) oraz czterdziestoosobowa grupa innych osób. Wsparcia udzielają lokalne samorządy, przedsiębiorstwa, osoby prywatne. Liczbę odbiorców edycji w 2021 roku szacuje się na około 60 tysięcy (odbiorcy bezpośredni oraz za pośrednictwem mediów społecznościowych – liczba szacowana na podstawie wyświetleń transmisji, postów).

Dzięki współpracy z portalem cerkiew.pl jest możliwość zwiększenia zasięgu odbioru festiwalu, poprzez promocję w Internecie, transmisję on-line, co stwarza możliwość dotarcia do odbiorców w kraju i za granicą.

Ramowy program festiwalu:

czerwiec – koncert okolicznościowy.

13 września – koncert inauguracyjny w soborze Świętej Trójcy.

14 września – otwarcie wystaw w Hajnowskim Domu Kultury i w soborze Świętej Trójcy.

14-15 września – seminarium poświęcone muzyce cerkiewnej.

15-17 września – przesłuchania konkursowe w soborze Świętej Trójcy oraz online.

18 września – koncert galowy w Hajnówce w soborze Świętej Trójcy oraz w Białymstoku w cerkwi Hagia Sophia.

Realizacja przedsięwzięcia nie byłaby możliwa bez wsparcia finansowego ministerstwa kultury i dziedzictwa narodowego, marszałka województwa podlaskiego, samorządu powiatu hajnowskiego, miasta Hajnówka, okolicznych gmin, sponsorów.

Podajemy numer konta festiwalu i kontakt do przedstawiciela komitetu organizacyjnego dla tych, którzy zechcą wesprzeć festiwal finansowo: o. **Nikita Kazakiewicz**, tel. +48 607 886 931, e-mail: festiwal@cerkiew.pl.

PKO BP O/Hajnówka 85 1020 1332 0000 1402 0195 6317.

Hagia Sophia. Świątynie Mądrości Bożej w historii i świecie

Międzyparlamentarne Zgromadzenie Prawosławia (MZP) organizuje trzeci konkurs fotograficzny i zaprasza do udziału wszystkich chętnych.

Konkurs organizowany jest, w kontekście zachowania i promocji kultury prawosławia, na wniosek Komisji Kultury Międzynarodowego Sekretariatu MZP oraz we współpracy z serwisem OrthPhoto.net.

Jego celem jest wyeksponowanie idei „Mądrości Bożej" we współczesnym świecie i uhonorowanie budowanych od wieków ku jej czci świątyń.

Świątynia Mądrości Bożej w mieście miast, Konstantynopolu, „Wielki



Kościół", „Wielki Monaster", jest wyjątkowym zabytkiem o uniwersalnym charakterze, który „należy do ludzkości i światowego dziedzictwa kulturowego".

Hagia Sophia w Konstantynopolu była w całym prawosławnym świecie wzorcem do budowy setek świątyń poświęconych Mądrości Bożej.

Konkurs ma ukazać dynamikę, jaką Mądrość Boża, Jezus Chrystus, emanuje w prawosławnym świecie.

Nagrody dla zwycięzców:

Grand Prixe 500 euro, 1 miejsce 300 euro, 2 miejsce 200 euro, 3 miejsce 100 euro.

Wyróżnienia: albumy (o liczbie wyróżnień zdecydują jurorzy).

Więcej informacji o konkursie na stronie: http://hagiasophia.orthphoto.net lub na Facebooku: https://www.facebook.com/HagiaSophiaTheTemplesOfWisdomOfGod.

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto:
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej"

Prenumerata e-wydania Przeglądu Prawosławnego

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik: ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9, tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność. Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):

Miesięczna: Polska **11,00 zł**; Europa **20,00 zł**, Australia, USA i Kanada **20,00 zł**.
Kwartalna: Polska **33,00 zł**, Europa **60,00 zł**, Australia, USA i Kanada **60,00 zł**.
Półroczna: Polska **66,00 zł**, Europa **120,00 zł**, Australia, USA i Kanada **120,00 zł**.
Roczna: Polska **132,00 zł**, Europa **240,00 zł**, Australia, USA i Kanada **240,00 zł**.
Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

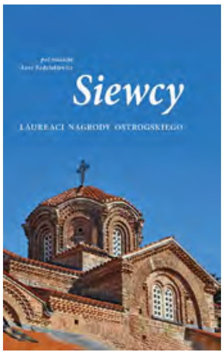
Fundacja Ostrogskiego poleca



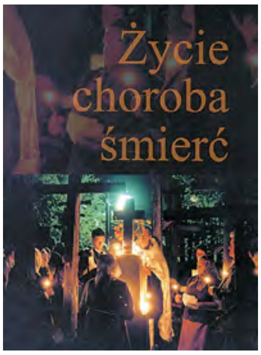
Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 20 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 27 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) – 15 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 15 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 19 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) – 10 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 25 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 32 zł hurtowa (powyżej 5 egz.) – 20 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 10 zł, z wysyłką – 14 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 40 zł, z wysyłką – 48 zł

ul. Składowa 9, 15-399 Białystok Konto: 98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

O innych książkach Fundacji na stronie internetowej przegladprawoslawny.pl

1% wspólną sprawą

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO

Drodzy Czytelnicy!

1% pozostaje narzędziem w Waszych rękach, a nie komisji rządowych czy innych gremiów. Przekazując 1% swego podatku, głosujecie na te działania, które Waszym zdaniem są godne wsparcia. Wielu naszych Czytelników i Sympatyków uważa od 2007 roku, bo od tego czasu pozyskujemy 1%, że to właśnie wydawanie Przeglądu Prawosławnego jest naszą wspólną sprawą, a nie tylko jego wydawcy, Fundacji Ostrogskiego.

I za to zrozumienie jesteśmy niezmiernie wdzięczni. Przekazanie 1% jest bowiem nie tylko istotną pomocą finansową – w ubiegłym roku z tego źródła otrzymaliśmy 55 330 złotych – ale i inspiracją do naszej dalszej pracy, do pokazywania światowego prawosławia w jego pięknie, świętości, ale też w trudnych i dramatycznych sytuacjach, historycznych i współczesnych.

Bądźmy razem! Trwajmy! 1% ma siłę jednoczenia.



Zwracamy się z prośbą do wszystkich Ludzi Dobrej Woli o włączenie się do akcji i przekazywanie ofiar na konto parafii św. Aleksandra z dopiskiem: „Ratujmy katedrę". Numer konta 02 1020 3352 0000 1702 0089 9575. Adres: Narutowicza 46/1, Łódź 90-135. Za wszystkich Ofiarodawców będziemy wznosić gorące modlitwy, prosząc o łaskę Najwyższego, opiekę Matki Bożej i wstawiennictwo św. Aleksandra.

Katedra św. Aleksandra Newskiego to perła architektury Łodzi. Znajduje się w ścisłym centrum miasta, tuż przy Dworcu Głównym PKP Łódź-Fabryczna. Jest wizytówką tej wspaniałej, wielowyznaniowej aglomeracji. Powstała w 1884 roku dzięki sponsorom należącym do różnych wyznań i religii, wśród których znaleźli się między innymi Karl Wilhelm Scheibler, Juliusz Heinzel, Ludwik Grohman, Edward Herbst, Władysław Pieńkowski, Izrael Poznański, Herman Konstadt, Józef Paszkiewicz, Reinhold Finster, Karol Strenge, Walerian Makowiecki, Aleksander Chudziński i inni. Cerkiew była nieprzerwanie czynna.

Katedra zasługuje na szczególną uwagę. Trzeba teraz zadbać o jej stan techniczny. Pilnego remontu potrzebuje sama świątynia i dzwonnica. Trzeba dokonać renowacji elewacji i elementów dekoracyjnych, ale i konstrukcyjnych. Wewnątrz należy odnowić polichromie, zabytkowe witraże, ikonostas, zabytkowe wyposażenie. Wszystko wymaga natychmiastowych prac konserwatorskich.

Od trzech lat parafii nie udało się – mimo licznych prób – pozyskać potrzebnych środków z funduszy państwowych i/lub międzynarodowych.

Dlatego podjęliśmy decyzję o rozpoczęciu szeroko zakrojonej akcji społecznej, prowadzonej w Internecie i stacjonarnie, mającej na celu zebranie niezbędnych środków od Osób Dobrej Woli.


CERKIEW ŚW. MIKOŁAJA W MICHAŁOWIE

Fot. Anna Miszczuk

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO

PROSIMY O 1% KRS 0000106814

SERDECZNIE DZIĘKUJEMY ZA WPŁATĘ 1% PODATKU NA RZECZ DZIAŁALNOŚCI FUNDACJI W UBIEGŁYM ROKU

ISSN 1230-1078
9 771230 107005